

DICK FRANCIS

ZASŁONA DYMNA

Tłumaczyła MIRA MICHAŁOWSKA

CZYTELNIK ■ WARSZAWA 1976

Jane i Christopherowi Coldrey z podziękowaniem

Rozdział pierwszy

Byłem spocony, nękanym pragnieniem, zgrzany i zmęczony do granic wytrzymałości.

Dla zabicia czasu zabawiałem się wyliczaniem wszystkich swoich kłopotów.

A było ich sporo.

Siedziałem za kierownicą sportowego samochodu o opływowych kształtach, zrobionego niewątpliwie na zamówienie dla synka jednego z naftowych szejków, któremu się widać znudziła ta kosztowna zabawka. Nazwaliśmy go Specjał. Siedziałem tak od bez mała trzech dni. Przede mną ciągnął się wysuszony piekielnym słońcem rozległy płaskowyż, zakończony hen na horyzoncie łańcuchem brunatnofioletowych wzgórz. Godziny mijały, a zarys horyzontu nie zmieniał się ani na milimetr, nie zbliżał, nie oddalał, a to po prostu dlatego, że ten Specjał, przeznaczony do robienia co najmniej dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę, tkwił w miejscu.

I ja też. Ponurym wzrokiem wpatrywałem się w mocne, nierdzewne kajdanki na moich przegubach. Jedno ramię przewleczone miałem przez kierownicę, drugie obejmowało ją górą. W ten sposób byłem przykuty do tej kierownicy, a tym samym do samochodu.

Ale zaraz, nie zapominajmy o jeszcze jednym drobiazgu, a mianowicie o pasach bezpieczeństwa. Specjał nie mógł ruszyć, jeżeli pasy nie były zapięte. Jednakże, mimo że w stacyjce nie było klucza, pasy miałem założone bardzo starannie i ciasno: jeden wciskał mi się w żołądek, drugi przecinał klatkę piersiową:

Znajdowałem się - jak to w samochodzie sportowym - w pozycji na pół leżącej, toteż zgięcie nóg w kolanach było wykluczone. Wielokrotnie próbowałem to zrobić, gdyż chciałem silnym uderzeniem stóp złamać kierownicę. Ale byłem za wysoki i miałem za długie nogi. Poza tym kierownica skonstruowana była na pewno z bardzo solidnego i zupełnie niełamliwego materiału. Firmy, które zajmują się produkcją tak kosztownych samochodów

jak Specjał, nie wykonują kierownicy z masy plastycznej. Moja, co tu gadać, była mała, ale metalowa, obciążona autentyczną skórą. A trwała jak Mont Blanc.

Miałem naprawdę tego dość. Bolały mnie wszystkie mięśnie, nogi, kręgosłup i ramiona. Głuchy ból zaciskał mi się ciasną obręczą wokół czaszki.

No, ale co tam, trzeba zrobić kolejny wysiłek, żeby się uwolnić, mimo że poprzednie nie dały rezultatu.

Napiąłem znowu mięśnie i wytrzymałem wszystkie siły, próbując przerwać pasy i kajdanki. Pot już strumieniami spływał mi po twarzy. I nic.

Odchyliłem głowę, oparłem ją o miękkie zaplecze fotela i zwróciłem twarz w prawo, ku otwartemu oknu.

Przymknąłem oczy. Promień słońca jak ostrze brzytwy przeciął mi policzek, szyję i ramię. Zapomniałem na chwilę, że jest lipiec, godzina trzecia po południu, i że znajduję się na trzydziestym siódmym równoleżniku. Słońce odparzyło mi lewą powiekę. Wiedziałem, że na mojej twarzy maluje się wyraz cierpienia, że czoło pokrywają bruzdy bólu, a kąciki ust opadły. Mięśnie szczęk zaczęły mi drgać spazmatycznie, z trudem przełykałem ślinę. Opuściła mnie wszelka nadzieja.

A potem siedziałem już tylko bez ruchu i czekałem.

Dokoła panowała pustynna cisza.

Czekałem.

Evan Pentelow krzyknął „Stop!”, bez zresztą większego entuzjazmu i kamerzyści oderwali oczy od obiektywów. Najmniejszy nawet wiaterek nie poruszał wielkich, kolorowych parasoli, które chroniły ich i aparaturę przed morderczym działaniem słońca. Evan zaczął się energicznie wachlować trzymanym w ręku skryptem, próbując wytworzyć chociażby najlżejszy ruch powietrza, a spod zielonych, poliestrowych daszków wyłaniali się powoli inni członkowie zespołu. Widać było, że są u kresu sił, że ich energia życiowa roztopiła się po prostu w tej bezlitosnej temperaturze. Dźwiękowiec zdjął z uszu słuchawki, zawiesił je na poręczy krzesła i powoli kręcił gałkami Nagry, podczas gdy litościwi elektrycy gasili skierowane na mnie reflektory, którymi wzmacniali efekt słonecznych promieni.

Spojrzałem w soczewkę Arriflexa, która precyzyjnie rejestrowała każdą kroplę mojego potu. Była ustawiona w odległości prawie dwóch metrów od mojego prawego ramienia. Kamerzysta Terry wycierał sobie kark zakurzoną chustką do nosa, a Simon pisał zlecenie do laboratorium i etykietkę dla negatywu.

Z większej odległości i pod innym kątem ta sama scena została zarejestrowana na taśmie aparatu kamery Mitchell, której pojemność wynosi trzysta metrów taśmy. Obsługiwał

go Lucky. Zauważyłem, że od rana unika mojego wzroku i zastanawiałem się dlaczego. Pewnie myśli, że gniewam się na niego za to, że wszystkie zdjęcia, jakie zrobiliśmy poprzedniego dnia, okazały się do niczego, bo taśma miała jakieś braki. Powiedziałem mu tylko, stosunkowo zresztą łagodnie, że mam nadzieję, że dzisiaj wszystko pójdzie gładko, bo nie wyobrażam sobie, żebym mógł scenę 623 powtórzyć jeszcze kilka razy.

Mimo to powtarzaliśmy ją jeszcze sześć razy. Tyle że z przerwą na lunch.

Evan Pentelow bardzo głośno i wielokrotnie przeproszał zespół, zapewniając nas jednocześnie, że będziemy powtarzali tę scenę, dopóki nie zagram jej bezbłędnie. Zmieniał jednakże instrukcje po każdym ujęciu, a chociaż uwzględniałem niemal każdą jego precyzyjną wskazówkę, wciąż nie był w pełni zadowolony.

Wszyscy członkowie zespołu, którzy przyjechali z nami do południowej Hiszpanii na dokręcenie plenerów, zdawali sobie sprawę z niechęci, kryjącej się za dymną zasłoną uprzejmości, z jaką Pentelow zwracał się do mnie, no ale doceniali również moją zimną krew. Słyszałem, że idą duże zakłady o to, kiedy wreszcie stracę cierpliwość.

Dziewczyna, której powierzono bezcenne kluczyki od kajdanków, wyłoniła się spod zielonego daszku, gdzie na rozłożonych na piasku ręcznikach siedziały jej koleżanki, odpowiedzialne za garderobę, makijaż i ciągłość, i zaczęła iść ku mnie powolnym krokiem. Otworzyła drzwiczki wozu, wsunęła kluczyk do stacyjki. Kosmyki wilgotnych włosów wiły się na jej karku. Kajdanki były angielskie, takie zwykłe, policyjne, z zamkiem obracającym się na dość sztywnej śrubie. Przy ostatnich i najważniejszych obrotach kluczyka dziewczyna zawsze natrafiała na trudności.

Spojrzała na mnie nerwowo, bo zdawała sobie sprawę z tego, że jestem bliski wybuchu. Zdobyłem się na uśmiech, przypominający raczej skurcz mięśni policzkowych, więc uszczęśliwiona, że jej nie zwymyślałem, szybko i sprawnie uwolniła mi ręce.

Odpiąłem pasy, wysunąłem się z wozu i wyprostowałem się. Na zewnątrz było o dobre 10 stopni chłodniej.

- Wracaj! - krzyknął Evan. - Zrobimy jeszcze jednego dubla.

Nabrałem w płuca haust istic pustynnego powietrza i policzyłem w duchu do pięciu. - Pójdę tylko do przyczepy, żeby się odlać i coś wypić. Zaraz wrócę.

To chyba nie zostanie uznane przez zakładające się strony za moment decydujący, pomyślałem i uśmiechnąłem się do samego siebie. Wulkan zaczął wprawdzie już pomrukiwać, ale do wybuchu było mu jeszcze daleko. A może pozwolą mi obstać niewielką sumą granicę własnej wytrzymałości?

Nikt się nie pofatygował, żeby zasłonić Minimoka przed słońcem, toteż kiedy wsunąłem się za kierownicę, aż syknąłem z bólu. Skórzane siedzenie rozpalone było tak silnie, że sparzyło mi uda poprzez cienką bawełnę spodni. Na kierownicy można było śmiało smażyć jajecznicę.

Nogawki miałem zawinięte do kolan, a na nogach klapki. Stanowiło to dość groteskowy kontrast z białą koszulą i ciemnym krawatem, ale Arriflex ujmował mnie od kolan, a Mitchell tylko od pasa.

Bez większego pośpiechu pojechałem do bazy, składającej się z kilku przyczep, ustawionych półkolistie w niewielkiej dolince, odległej o jakie dwieście jardów od Specjała. W cherlawym cieniu małego drzewka zaparkowałem - jeeпа i wszedłem do przyczepy, która służyła mi za garderobę.

Zimne, klimatyzowane powietrze spadło na mnie jak lodowaty prysznic i z miejsca zrobiło mi się lepiej. Rozluźniłem krawat, rozpiąłem kołnierzyk koszuli, wyjąłem puszkę piwa z lodówki i runąłem na tapczan.

Evan Pentelow wyrównywał ze mną stare porachunki i nie miałem niestety żadnego sposobu na to, żeby go powstrzymać. Pracowałem z nim dotychczas tylko jeden jedyny raz. Był to wówczas jego pierwszy liczący się film, a mój siódmy. Kiedy skończyły się zdjęcia, byliśmy wrogami. Od tej chwili odmawiałem podpisania jakiegokolwiek kontraktu na pracę w filmie jego reżyserii, co w rezultacie pozbawiło go możliwości nakręcenia przynajmniej dwóch bardzo kasowych szlagierów.

Evan był bożyszczem tych wszystkich krytyków, którzy uważają, że aktorzy potrafią grać tylko wtedy, gdy reżyser prowadzi ich za rękę krok za krokiem. Evan nigdy nie udzielał ogólnikowych wskazówek. Dążył do tego, żeby o jego filmach pisano „najnowsze dzieło Pentelowa”, a osiągał to wmawiając naiwniakom, że wszystko, co widzą na ekranie, jest w najdrobniejszych szczegółach owocem jego i tylko jego talentu. Niezależnie od tego, jak stary i doświadczony był aktor, Evan komenderował nim bezlitośnie.

Evan nigdy nie omawiał żadnej kwestii czy sceny z aktorami. Dyktował im, co mają robić.

Przyczynił się do niejednej klęski wielu słynnych aktorów, do notatek takich jak: „Pentelow wydobył z takiej to a takiej gwiazdy zupełnie niezłą kreację...” Nienawidził aktorów mojego pokroju, takich co nie podporządkowują się reżyserowi bezapelacyjnie.

Był to niewątpliwie doskonały reżyser, obdarzony wspaniałą wyobraźnią. Większość aktorów chwaliła sobie współpracę z nim, a to głównie dlatego, że robił filmy kasowe, a krytycy zwracali baczną uwagę na każdą jego produkcję. Tylko tacy bezkompromisowi

kretyni jak ja upierają się, że aktor powinien być co najmniej w dziewięciu dziesiątych odpowiedzialny za własną pracę.

Westchnąłem, wysączyłem ostatni łyk piwa, załatwiłem, co miałem do załatwienia, i powlokłem się z powrotem do Minimoka. Na niebie w dalszym ciągu szalał Apollo, jak można by powiedzieć, gdyby się miało skłonność do takich metafor.

Pierwotnym reżyserem dość komercyjnego dreszczowca, który nakręcaliśmy w tej chwili, był smutnawy inteligent o cichym głosie, który już przed śniadaniem wychylał pierwszego kielicha i pewnego pięknego dnia przed godziną dziesiątą rano wykitował na skutek zbyt wielkiej dawki Scotcha. Stało się to w czasie wolnego weekendu, który spędziłem na samotnych spacerach po wzgórzach Yorkshire'u, a kiedy w następny wtorek powróciłem na plan, zastałem tam Evana, który przejął produkcję i już zaczynał się wszystkim dobrze dawać we znaki.

Pozostała mniej więcej jedna ósma filmu do nakręcenia. Kiedy Evan mnie zobaczył, na jego ustach pojawił się filuterny uśmiezek, za którym kryła się czysta i niczym nie zmącona złośliwość.

Moje protesty pod adresem kierownictwa produkcji spotkały się wprawdzie ze zrozumieniem, ale spełzły na niczym.

- Nie udało nam się znaleźć tej miary reżysera, który byłby akurat wolny... nie możemy ryzykować pieniędzy naszych finansistów, wie pan przecież, jaka jest sytuacja... trzeba patrzeć na sprawę realistycznie... jasne, Link, wiemy, że z zasady z nim nie pracujesz, ale to sytuacja specjalna, człowieku, rozumiesz... tym razem nie masz tej klauzuli w kontrakcie, stary, sprawdzaliśmy... no cóż, liczymy wszyscy na twój dobry charakter, bo inaczej jak?...

- I na fakt, że mam czteroprocentowy udział w zyskach, prawda? - przerwałem.

Kierownictwo chrząknęło. - Nie chcieliśmy być nietaktowni, więc nie wspominaliśmy o tym... ale skoro sam sobie przypomniałeś... więc tak, oczywiście.

Rozbawiony, zgodziłem się w końcu na skończenie filmu, ale nie bez wewnętrznych obaw, bo pamiętałem, że sceny plenerowe w samochodzie nie zostały jeszcze nakręcone. Wiedziałem, że Evan będzie niełatwy ale nie wpadło mi do głowy, że okaże się niemal sadystą.

Ze zgrzytem hamulców zatrzymałem jeepa, zaparkowałem go w cieniu, nakryłem pokrowcem. Nie było mnie dokładnie dwanaście minut, ale kiedy wchodziłem do przyczepy, słyszałem, jak Evan przeprosza kamerzystów za to, że przeze mnie przedłuża się robota w tym okrutnym upale. Terry wzruszył ramionami. Właśnie kończył ładowanie Arriflexa świeżą

rolką filmu wyjętą z lodówki. Nikt nie odpowiedział Evanowi. Czterdzieści stopni w cieniu i jedynym człowiekiem, który mimo to nie tracił energii, był Evan.

- No dobra - odezwał się szorstko. - Wracaj do wozu, Link. Scena 623. Ujęcie dziesiąte. I na litość boską, zrób coś, żeby ci to tym razem wyszło.

Nie odezwałem się. Z poprzednich dziewięciu powtórek trzy były nieostre, ale z sześciu dzisiejszych każda nadawała się moim zdaniem do kopiowania.

Wsiadłem więc do samochodu i powtórzyliśmy całą tę sekwencję jeszcze dwa razy.

Evan nawet po drugim dublu zdobył się na to, żeby powątpiewająco kiwać głową, ale kamerzysta oświadczył, że jest późno, światło robi się żółte, więc dalsze kręcenie jest bez sensu, bo te zdjęcia będą za bardzo kontrastowały z poprzednimi. Evan ustąpił tylko dlatego, że nie potrafił wymyślić żadnego pretekstu, za co w duchu złożyłem dzięki Apollinowi.

Zaczęto zbierać ekwipunek. Dziewczyna przywlokła się i zdjęła mi kajdanki. Dwaj pomocnicy zabrali się do nakrywania Specjała brezentem, Terry i Lucky rozbierali kamery i układali poszczególne ich części do pudeł.

Następnie cała ekipa ruszyła dwójkami i trójkami w stronę zaparkowanych przyczep. Zabrałem Evana Minimokiem, ale przez całą drogę nie odezwałem się do niego ani jednym słowem. Z pobliskiego miasteczka o dźwięcznej nazwie Madroledo nadjechał autobus, wioząc dwóch nocnych dozorców. Rozklekotany, dawno odstawiony autobus linii lotniczych, w którym było mnóstwo miejsca na ekwipunek, niezbyt wygodne siedzenia dla pasażerów. W Londynie firma zapewniała nas, że będziemy mieli do dyspozycji luksusowy, klimatyzowany pojazd, ale skończyło się na przyrzeczeniu.

Hotel, w którym byliśmy zakwaterowani, należał do mniej więcej tej samej kategorii co autobus. Miasteczko Madroledo, położone daleko od wybrzeża, było tak nędzne, że nawet organizatorzy wycieczek zbiorowych zbledliby na jego widok; ale firma zmuszona była nas tutaj ulokować, ponieważ wszystkie dobre hotele w pobliskim uzdrowisku Almeria były jakoby zajęte przez kilkuset amerykańskich filmowców, którzy kręcili jakąś westernową epopeję na skrawku pustyni sąsiadującym z naszym.

Prawdę mówiąc, nawet najbrutalniejsze odcinki tego filmu były dziecinną zabawką w porównaniu ze scenami z mojej ostatniej epopei filmowej, w której całymi dniami wspinałem się we mgle po górskich zboczach, czepiając się kurczowo ostrych występów skalnych, podczas gdy zlewano mnie kubłami wody, żeby stworzyć wrażenie tropikalnego deszczu. Mogłem narzekać, ile chciałem, ale bez skutku. Wiadomo było, że zacząłem karierę jako kaskader, więc na pewno jestem nieczuły na upał czy mróz. Podczołgaj się na skraj przepaści, żądali, skacz do samochodu. I pomyśl sobie przy okazji, ile zbijasz pieniędzy. Przydadzą

się, jak trzeba będzie leczyć artretyzm. Nic się nie bój, dodawali, nie dopuścimy do tego, żeby ci się stała krzywda, w końcu jesteś ubezpieczony na niezłą sumę, a każdy z twoich filmów zwraca włożony weń kapitał w ciągu pierwszego miesiąca. Cóż to za uroczy ludzie, ci kierownicy zespołów filmowych! W miejscu oczu mają dolary, a zamiast serc - pancerne kasy.

Przed kolacją cała nasza ekipa, wymyta i trochę wypoczęta, zebrała się na małego drinka w barku hotelowym, urządzonego niby to na wzór baru amerykańskiego.

Oświetlony reflektorami, zasłonięty płachtami brezentu mój Specjał odpoczywał wśród tropikalnej nocy na piasku naszego skrawka pustyni. Jutro wieczorem, a najdalej pojutrze, myślałem, zakończymy kręcenie scen, w których jestem przykuty do tej cholernej kierownicy. Chyba że Evan znajdzie jakiś nowy powód, żeby powtórzyć po raz nie wiedzieć który scenę 623. Jeżeli nie, zostały nam tylko sceny 624 i 625, w których kawaleria przybywa na mój ratunek. Nakręciliśmy już sceny 622 i 621, które pokazywały, jak bohater budzi się z narkotycznego snu i zaczyna orientować się w sytuacji. Zdjęcia robione z lotu helikoptera też mieliśmy już za sobą. Były to ujęcia Specjała, stojącego samotnie na piaszczystej pustyni ukazujące skulonego w środku człowieka. Od nich miał się zacząć film i na nich miała lecieć czołówka. Potem, z retrospekcji, widz miał się dowiedzieć, jak doszło do tego, że ten samochód i ten człowiek znaleźli się w tak okropnej sytuacji.

W barze Terry i kierownik zdjęć prowadzili dość bezładną rozmowę na temat zalet obiektywów o różnych ogniskowych, kwitując każdą złotą myśl haustem sangrii. Kierownik zdjęć, imieniem Konrad, znany był w kołach fachowych jako „szybki Bill”. Poklepał mnie po ramieniu ze współczuciem i wcisnął mi do ręki prawie zimną szklanę. Wszyscy zdążyliśmy polubić popularny, miejscowy napój, składający się z czerwonego wina, łądu i pokrojonych owoców.

- Masz, drogi chłopcze - odezwał się - wypij to. To cudowny środek na odwodnienie organizmu. - A potem dodał tym samym tonem i na tym samym oddechu, zwracając się do Tony'ego: - Więc rozumiesz, wziął osiemnastomilimetrowy szerokokątny obiektyw ogniskowy, no i oczywiście cała scena wypadła płasko, ani cienia napięcia.

Konrad był laureatem Oscara, co dodawało mu, rzecz jasna, autorytetu i zwracał się do wszystkich z wyjątkiem prezesa firmy, per „drogi chłopcze”. Miał wspaniałe bas oraz starannie wypielęgnowane, opadające wąsy. Udało mu się zdobyć opinię „oryginała” w zawodzie, w którym wszyscy chcą być niezwykli, ale za jego pozorną błyskotliwością kryła się pierwszorzędna fachowość. Miał bystry analityczny umysł prawdziwego technika; myślał w kategoriach dwudziestu czterech klatek na sekundę, a wszystko widział w Eastmankolorze.

- Beale Films nie zatrudnią go już nigdy! - odpowiedział Terry. - Bo wiesz, co im zrobił? W czasie wyścigów w Ascot nakręcił 750 metrów taśmy bez filtra, i oczywiście nic z tego nie wyszło, a na dodatek przez następny miesiąc nie było żadnych innych zawodów na tym torze.

Terry był łysy, tłusty, właśnie przekroczył czterdziestkę i zrezygnował z ambicji zaawansowania kiedykolwiek na kierownika zdjęć i ujrzenia własnego nazwiska, wybitego tłustą czcionką w czołówce. Był jednakże solidnym, pracowitym, godnym zaufania i stale zatrudnionym kamerzystą. Konrad chętnie brał go do swojej ekipy.

Po pewnym czasie przyłączył się do nas Simon. Konrad od razu podał mu szklanekę sangrii. Simon pełnił funkcję ładowacza i kłapsera w ekipie Konrada, był stanowczo zbyt mało pewny siebie na swoje dwadzieścia trzy lata, a czasami okazywał taką naiwność, że ludzie zastanawiali się, czy jest po prostu zapóźniony w rozwoju. Praca jego polegała na trzaskaniu kłapsem przed każdym ujęciem, na rejestrowaniu ilości i gatunku używanej taśmy i na ładowaniu kamer.

Sam Terry wyuczył go ładowania kamer. Polegało to na nawijaniu świeżej taśmy na rolki w idealnie ciemnym pomieszczeniu kierując się wyłącznie dotykiem. Najpierw ćwiczone się w oświetlonym miejscu na eksponowanej taśmie tak długo, aż można to było wykonywać na ślepo. Kiedy zdawało się, że Simon wyuczył się tej funkcji bezbłędnie, Terry powierzył mu naładowanie kamery świeżą taśmą, a po całym długim dniu zdjęciowym okazało się w laboratorium, że taśma jest eksponowana.

Potem wyszło na jaw, że Simon zrobił wszystko dokładnie tak, jak go uczono, mianowicie wszedł do ciemni, zamknął oczy, nawinął taśmę na rolki i naładował kamerę. Tylko nie zgasił światła.

Teraz wziął duży łyk różowego płynu, spojrzał na nas zdumionymi oczami i powiedział: - Evan kazał kopiować wszystkie dzisiejsze powtórki. - Spojrzał po naszych twarzach tak, jak gdyby się spodziewał na nich wyrazu zdumienia. - Ale słuchajcie - krzyknął - jeżeli pierwsza scena nadawała się do kopiowania, to dlaczego kazał robić tyle powtórek?

Nikt mu nie odpowiedział z wyjątkiem Konrada, który popatrzył na niego ze współczuciem i mruknął: - Zastanów się, drogi chłopcze! No, zastanów się! - Ale myślenie nie było mocną stroną Simona.

Bar był obszerny i chłodny, o grubych, białych ścianach, z brunatną, wyłożoną kafelkami podłogą. Szczególnie miło było w nim za dnia, ale wtedy my nie mieliśmy czasu. Jakiś dureń zainstalował na suficie rząd silnych jarzeniówek, więc wieczorem nie było już mowy o nastroju. Dokoła okrągłego stołu siedziały cztery dziewczyny, popijając leniwie

napój, złożony z soku cytrynowego, dzinu i wody sodowej. W miarę jak słońce za oknami chyliło się ku zachodowi, cera ich nabierała coraz zielonkawszego odcienia. Dodawało im to co najmniej dziesięć lat. Sińce pod oczami Konrada ciemniały, a podbródek Simona cofał się coraz bardziej.

Przed nami rozciągał się jeszcze jeden nudny wieczór, identycznie taki sam jak wszystkie wieczory ubiegłego tygodnia, a więc kilkugodzinna rozmowa o robocie, przeplatana plotkami, koniakiem, cygarami i kolacją, złożoną z niby to hiszpańskich potraw. Nie musiałem się nawet uczyć tekstu na jutrzejszy dzień zdjęciowy, ponieważ w scenach 623 i 625 wydawałem z siebie tylko nieartykułowane dźwięki i trochę stękałem. Jezu, myślałem, ale będę szczęśliwy, jak się to wreszcie skończy.

Udaliśmy się na wieczorny posiłek do bocznej salki, równie nieprzytulnej, jak bar. Przy stole znalazłem się pomiędzy Simonem a dziewczyną, której specjalnością było zdejmowanie mi kajdanków. Było nas dwadzieścia pięć osób, obsługa techniczna, ja i aktor grający meksykańskiego wieśniaka, który pod koniec filmu ratuje mnie z opresji. Nasza ekipa została przez kierownictwo zredukowana do minimum, a pobyt w Hiszpanii skrócony, na ile się tylko dało.

Sprawa kosztów. Z początku chciano, żeby sceny pustynne były, podobnie jak reszta filmu, kręcone w studio w Pinewood, albo na jakimś piaszczystym kawałku Anglii, ale nieboszczyk reżyser uparł się twierdząc, że potrzebna mu jest atmosfera autentycznego upału i owa migotliwa mgielka, jaka unosi się nad rozpalonym piaskiem. Niech mu tam ziemia lekką będzie.

Miejsce Evana u szczytu stołu - było puste.

- Telefonuje - wyjaśniła dziewczyna od kajdanków. - Mnie się zdaje, że od powrotu z planu nie wypuścił słuchawki z rąk.

Skinąłem potakująco głową. Evan prawie co wieczór dzwonił do dyrekcji, chociaż były to zazwyczaj krótkie rozmowy. Widocznie miał dzisiaj trudności z otrzymaniem połączenia.

- Już bym chciała być w domu - westchnęła dziewczyna. Był to jej pierwszy wyjazd w plener. Na pewno bardzo cieszyła się na tę przygodę, a teraz była rozczarowana. Nie spodziewała się tego upału i tej okropnej nudy. Jill - na imię miała Jill, chociaż Evan nazywał ją Kajdusia od słowa kajdanki, co zostało natychmiast podchwyczone przez resztę ekipy - rzuciła mi badawcze spojrzenie i zapytała: - A pan?

- Ja też - odparłem dość obojętnie.

Siedzący naprzeciwko nas Konrad spojrział na nią karcącym wzrokiem: - Kajdusiu, moje dziecko, to jest nieuczciwe. Nie wypytuj go, bo unieważnię twój zakład.

- Kiedy ja go wcale nie wypytuję - broniła się.

- A mnie się zdaje, że tak.

- Ile osób bierze w tym udział? - zapytałem.

- Wszyscy, z wyjątkiem Evana. Zebrała się już wcale niezła sumka.

- A czy ktoś już przegrał?

- Prawie wszyscy, drogi chłopcze. Dzisiaj po południu.

- A ty?

Przymrużył oczy i przekrzywił głowę.

- Wiadomo, że jesteś narwany, ale zazwyczaj awanturujesz się o cudze krzywdy.

- On nie może panu odpowiadać na pytania - wyjaśniła mi Jill. - Bo to też jest przeciwne zasadom gry.

Ale ja pracowałem z Konradem już przy trzech filmach, więc powiedział mi, oczywiście, kogo obstawił.

Evan powrócił od telefonu, energicznym krokiem podszedł do swojego krzesła, usiadł i zabrał się do zupy żółwiowej. Wpatrywał się w zamyśleniu w blat stołu i najwyraźniej nie miał ochoty na wysłuchiwanie życiowych mądrości Terry'ego.

Przyjrzałem mu się uważnie. Miał czterdziestkę, był szczupły, średniego wzrostu, pełen energii i rozmachu. Włosy ciemne, wijące się, twarz kościstą, zacięte usta i piwne, płonące oczy. Teraz był zamyślony, po jego głowie snuły się widać jakieś obrazy, jakieś wizje i pomysły. Był bardzo nerwowy, łyżkę trzymał mocno, kurczowo, jego kark i plecy były sztywne i napięte.

Bardzo nie lubiłem tych jego nastrojów. Wywoływały we mnie idiotyczną reakcję. Miałem wówczas ochotę robić mu na złość i nie słuchałem jego wskazówek, nawet jeżeli miał rację. Teraz widziałem, że gotuje się w nim, i moja antypatia do tego człowieka rosła z sekundy na sekundę.

Spałaszował porcję zanglizowanej paelli, odsunął pusty talerz i powiedział: - No więc... - W jadalni natychmiast zapanowała cisza. Głos Evana był napięty. Wszystkim udzieliło się jego zdenerwowanie. Nie można było siedzieć w jednym pokoju z tym facetem i ignorować go.

- Jak wiecie; tytuł naszego filmu brzmi „Człowiek w samochodzie”.

Wiedzieliśmy o tym doskonale.

- Wiecie również, że co najmniej połowa scen, jakie nakręciliśmy dotychczas, zawiera samochód.

I to wiedzieliśmy doskonale, nawet leniej niż on, bo pracowaliśmy przy tym filmie od początku.

- No więc - powtórzył, zrobił pauzę i popatrzał po twarzach zgromadzonej przy stole ekipy. - Rozmawiałem przed chwilą z naszym producentem... przekonałem go... zamierzam zmienić cały układ... całą koncepcję filmu. Miała być jedna sekwencja retrospektywna, będzie ich kilka. Za każdym razem wyjdziemy ze sceny na pustyni, w ten sposób, żeby każde ujęcie, ukazujące człowieka w samochodzie zamykało dzień, który minął... ubytek jego sił... No i likwiduję scenę ratunku... nasz bohater zginie... obawiam się, Steve, że oznacza to... - spojrzał na aktora, który miał grać meksykańskiego wieśniaka - że twoja rola zostanie całkowicie wyeliminowana, no ale, oczywiście, zapłacimy ci według umowy. - Zwrócił się znowu do całej ekipy: - Wyrzucamy te wszystkie eleganckie i dowcipne scenki z dziewczyną, nakręcone w Pinewood. Film skończy się dokładną odwrotną sceny pierwszej. To znaczy pełnym planem z helikoptera, najazdem na samochód i powolnym odejściem, tak że w końcu zostanie tylko mała, ciemna kropka na pustyni. Potem kamera przeniesie się na skraj pobliskiego wzgórza, zobaczymy wieśniaka prowadzącego osła na sznurku i widz będzie mógł sobie dopowiedzieć, czy wieśniak zauważy naszego bohatera i uratuje go, czy też pójdzie dalej obojętny i nieświadomy tego, co się tuż koło niego dzieje.

Evan skończył. W jadalni panowało pełne napięcia milczenie.

- Oznacza to, oczywiście, że musimy pozostać tu znacznie dłużej i zrobić znacznie więcej zdjęć. Myślę, że co najmniej dwa dodatkowe tygodnie. Potrzebne mi będą głównie sekwencje, pokazujące Linka uwięzionego w samochodzie.

Ktoś jęknął. Evan spojrzał złym wzrokiem w kierunku, z którego doszedł ten dźwięk, i już było wiadomo, że mało kto się odezwie. Zrobił to jednakże Konrad.

- Cieszę się, że jestem za kamerą, a nie przed nią - powiedział z namysłem. - Link już jest zmęczony, a co będzie później?

Grzebałem widelcem w talerzu, powoli przesuwalem ostatnie dwa kawałki kury prawie ich nie widząc. Konrad wpatrywał się we mnie przez stół. Czulem na sobie jego wzrok. Nie tylko jego, bo i wszystkich pozostałych biesiadników. Ale jestem w końcu aktorem, więc przełknąłem ostatni kęs, popiłem winem i spokojnie spojrzałem na Evana.

- Doskonale - powiedziałem.

Ekipę przeszedł kolektywny dreszcz. Zdałem sobie sprawę, że wstrzymywali oddech, spodziewając się awantury stulecia. Ale niezależnie od moich własnych interesów, musiałem

w duchu przyznać Evanowi rację. To co proponował, miało sens. Nie chciałem być zdany na jego dobroć, ale instynkt filmowy facet ten posiadał niewątpliwie. A ja gotów jestem do dużych poświęceń dla dobrej sprawy.

Evan był wyraźnie zaskoczony moją postawą, a to podnieciło jego wyobraźnię. Widać było, że obrazy nasuwają mu się szybciej, niż jest w stanie opisywać.

- Pokażemy w zbliżeniu łyzy... splekaną skórę... bąble od oparzenia słonecznego... wysuszone usta... mięśnie i ścięgna naprężone i drgające jak struny, palce podkurczone... rozpacz i ból... i milczenie, straszliwe, palące, bezlitosne milczenie... a pod koniec powolny rozkład ludzkiej duszy... tak, żeby widz wiedział, że nawet gdyby uratowano nieszczęśnika, nic by już z niego nie było... żeby każdy człowiek po obejrzeniu tego filmu wyszedł z kina wyżęty, skopany emocjonalnie... żeby nigdy nie mógł zapomnieć tych strasznych obrazów.

Kamerzyści słuchali tego wszystkiego obojętnie, jak gdyby chcieli dać do zrozumienia, że znają wszystkie numery, a charakteryzatorka przybrała szczególnie myślący wyraz twarzy. Tylko ja, siłą rzeczy, musiałem się zastanawiać nad tym wszystkim z punktu widzenia człowieka siedzącego w środku, a nie na zewnątrz. Skurcz lęku ścisnął mi trzewia, zupełnie jak w czasie prawdziwego, a nie pozornego zagrożenia. Bzdura. Odrzuciłem głowę w tył. Usiłowałem otrząsnąć się z wrażenia o grożącym mi niebezpieczeństwie. Aktor, żeby być dobry, nie może być zaangażowany emocjonalnie w to, co gra.

Evan umilkł, wbił oczy w moją twarz i czekał na moją reakcję. - Wiedziałem, że jeżeli nie chcę, żeby mnie do końca zgnoił, muszę coś powiedzieć.

- Dźwięki - powiedziałem więc.

- Co...?

- Dźwięki. Ten człowiek musi wydawać z siebie jakieś dźwięki. Najpierw powinien wołać o pomoc, potem wrzeszczeć z wściekłości, z głodu, ze strachu. Poza tym musi drzeć na całym ciele jak opętany.

Evan otworzył szeroko oczy. Pewnie to sobie wyobrażał.

- No tak - powiedział wreszcie i nabrał w płuca pełny haust powietrza... - Tak.

Buchający w nim płomień podniecenia przygasł do rozmiarów nieco bardziej umiarkowanych.

- No i jak myślisz? - zapytał. Wiedziałem dobrze, co zawierało to pytanie.

Evan chciał wiedzieć, czy zniosę to fizycznie, ale też, czy gotów jestem dać z siebie wszystko. Potym, jak traktował mnie przez całe popołudnie, było to niewątpliwie pytanie sensowne. Ale ja zamierzałem mu pokazać, na co mnie stać. Postanowiłem, że zagram rolę mojego życia. Rzuciłem jednakże dość obojętnym tonem:

- Zasunę tak, że nie będzie suchego oka na widowni.

Z satysfakcją stwierdziłem, że zdenerwowałem go i rozczarowałem swoją odpowiedzią. Ekipa odprężyła się, zaczęły się znowu ogólne rozmowy, ale coś z podniecenia Evana udzieliło się wszystkim i w rezultacie spędziliśmy pierwszy doprawdy sympatyczny wieczór.

No, a nazajutrz powróciliśmy na pustynię i przez bite dwa tygodnie kręciliśmy od rana do nocy. Nie była to dziecinna zabawka, ale w sumie opłaciła się, bo dość komercyjny, awanturniczy filmik zmienił się w niesłychanie kasowy szlagier i nawet zdobył uznanie krytyków.

Przez te całe dwa tygodnie ani razu nie straciłem nerwów i w rezultacie Konrad, który, jak się okazało, jedyny postawił na mnie, zagarnął całą wygraną.

Rozdział drugi

Kiedy w sierpniu powróciłem do Anglii, wyspa wydała mi się zieleńsza i chłodniejsza niż kiedykolwiek. Na lotnisku Heathrow odebrałem z parkingu ciemnoniebieskiego BMW w niczym nie przypominającego mojego niebywałego pustynnego Specjała i ruszyłem na zachód, do hrabstwa Berkshire. Czułem się jak człowiek, któremu spadł z serca ogromny kamień.

Czwarta po południu.

Powrót do domu.

Zorientowałem się w pewnym momencie, że z niewiadomych powodów uśmiecham się sam do siebie jak idiota. Jak młody chłopiec wypuszczony ze szkoły. Czy to nie cudownie tak wracać do własnego domu w piękny, letni wieczór?

Nasz dom stoi nad Tamizą, na łagodnym zboczu, na skraju niewielkiego miasteczka. Jest częściowo nowy, częściowo stary, z widokiem na rzekę, zachody słońca.

Prowadzi do niego ścieżka, którą ledwo widać z szosy.

Chłopięcy rower leżał w połowie na trawniku, w połowie na zwirowanym podejździe, a tuż przy klombie walały się grabie i łopatką. Zatrzymałem samochód pod garażem, a że drzwi frontowe były zamknięte, okrążyłem dom i wszedłem wprost do ogrodu.

Zobaczyłem całą moją czwórkę, zanim oni mnie spostrzegli. Stałem przez dłuższą chwilę i podpatrywałem ich. Obaj malcy pluskali się w basenie, przerzucając się dwiema biało-czarnymi piłkami. Opodał, pod wyblakłym parasolem, na nadmuchanym materacu leżała mała dziewczynka. A w słońcu na rozłożonym kocu siedziała młoda kobieta o krótko obciętych kasztanowych włosach.

Jeden z chłopców uniósł wzrok, spojrział przez trawnik i zobaczył mnie.

- Hej! - krzyknął. - Tato wrócił! - i wcisnął głowę brata pod wodę.

Uśmiechnąłem się i ruszyłem w ich kierunku. Kit wstała i podeszła do mnie bez pośpiechu.

- Cześć - powiedziała - uważaj, bo jestem cała wysmarowana olejkiem.

Ujęła moją twarz przegubami rąk i wysunęła usta do pocałunku.

- Na litość boską, co się z tobą stało! - zawołała. - Wychudłeś na kość.

- W Hiszpanii było bardzo gorąco - odparłem i razem poszliśmy na skraj basenu. Po drodze zrzuciłem krawat i koszulę.

- Wcale się nie opaliłeś.

- Nie... bo prawie cały czas siedziałem w samochodzie.

- Jak ci poszło? Skrzywiłem się.

- Bo ja wiem? To się okaże... Jak dzieciaki?

- Świetnie.

Nie było mnie przez miesiąc. Ale zdawało mi się, że odjechałem od nich zaledwie wczoraj. Czulem się jak każdy ojciec, powracający do domu po całodziennej pracy.

Pete wygramolił się z wody i chlapiąc na wszystkie strony nadbiegł przez trawnik.

- Co nam przywiozłeś? - zapytał.

- Pete, przecież ci, mówiłam, że jak się będziesz napraszał, to nic nie dostaniesz - strofowała go Kit.

- I tak niewiele przywiozłem. Byliśmy całe kilometry od najbliższego przyzwoitego sklepu. A teraz pobiegnij, synu, i zabierz rower z drogi.

- Masz ci - zachnął się Pete. - Jak tylko wracasz do domu, to zaraz coś trzeba robić. - Jednakże posłuchał mnie, chociaż plecy jego wyrażały nieklamany protest.

Kit roześmiała się. - Cieszę się, że jesteś - stwierdziła.

- Ja też.

- Tato, popatrz! Tato, zobacz, co potrafię! Patrzałem posłusznie, jak Chris fika przemyślnie koziołki podrzucając przy tym piłkę. W końcu wyskoczył z wody z triumfalnym uśmiechem na ustach i otrząsając się jak szczeniak, czekał na komplementy.

- Doskonale to robisz - oświadczyłem.

- Zobacz jeszcze raz.

- Za sekundę.

Podeszliśmy z Kit do parasolki, pod która leżała nasza córka. Miała pięć lat, była śliczna, ciemnowłosa. Przykląknęłam przy nadmuchanym materacu i połaskotałam ją po brzuszku. Roześmiała się.

- No jak tam? - spytałem Kit.

- Nic nowego.

- Czy zabrać ją do wody?

- Pływała ze mną przed południem... ale weź ją. Ona to strasznie lubi.

Kit także przyklęła przy małej.

- Tato wrócił, kruszynko - powiedziała, ale dla Libby słowa te nic nie znaczyły.

Rozwijała się umysłowo normalnie do dziesięciu miesięcy, ale po pęknięciu podstawy czaszki rozwój jej uległ niemal całkowitemu zahamowaniu. Pete miał wówczas pięć lat. Chcąc przysłużyć się matce, wyjął siostrzyczkę z wózek i niósł do mieszkania. Ale potknął się i upadł, a główka Libby uderzyła o kamienny próg balkonu. Mieszkaliśmy wówczas w czynszowej kamienicy. Kit była bezsilnym świadkiem wypadku, a zresztą lekarze orzekli, że nic się nie stało, że to zaledwie niewielki wstrząs mózgu.

Dopiero po dwóch czy trzech tygodniach mała dostała nagle wysokiej gorączki, a znacznie później, kiedy się znowu niespodzianie rozchorowała i o mały włos nie umarła, lekarze powiedzieli nam, że doszli do wniosku, iż doznała wówczas pęknięcia podstawy czaszki, a to wywołało infekcję i zapalenie mózgu. Byliśmy tak szczęśliwi, że życiu jej nie groziło już niebezpieczeństwo, iż właściwie nie zrozumieliśmy, co oni nam usiłują powiedzieć... żebyśmy się nie dziwili, jeżeli mała będzie się prawdopodobnie nieco powolniej rozwijała... to przecież jasne, w końcu przeszła niemalże śmiertelną chorobę. No, ale nadrobi to szybko, nieprawda? Nie chcieliśmy zauważyć ich min pełnych współczucia, nie dotarło do naszej świadomości wyrażenie „zapóźniona w rozwoju”.

W ciągu następnego roku zrozumieliśmy dokładnie, co ono znaczy. Przeżywaliśmy wspólnie wielką tragedię i poznawaliśmy się coraz lepiej. Przed wypadkiem małej małżeństwo nasze - pod wpływem dobrobytu i sukcesu - zaczynało się powoli rozkładać. Ale potem scementowało się; nabraliśmy dystansu do drobnych spraw, nauczyliśmy się odróżniać sprawy ważne od nieważnych.

Wynieśliśmy się ze stolicy i zamieszkaliśmy na wsi, skąd zresztą oboje pochodzimy. To zdrowiej dla dzieciaków, mówiliśmy, ale w głębi duszy wiedzieliśmy, że i lepiej dla nas.

Stan Libby przestał być przyczyną ostrego bólu. Stał się po prostu składową częścią naszego losu, przywykliśmy do niego i zaakceptowali go. Chłopcy bawili się z nią. Kit otaczała ją miłością i troską, ja czułością, a że niezmiernie rzadko chorowała i robiła wrażenie szczęśliwej, doszliśmy do wniosku, że mogło być gorzej.

Jak się szybko okazało, najtrudniej było wyrobić sobie odporność na reakcję osób trzecich, ale teraz, po latach, ani ja, ani Kit nie zwracaliśmy już najmniejszej uwagi na ludzkie

gadanie, Libby nie umiała mówić, chodzić o własnych siłach, rozgrzebywała jedzenie, czasami jeszcze moczyła się, ale była naszą córeczką i było nam obojętne, co ludzie o niej mówią.

Wszedłem do domu, nałożyłem spodenki kąpielowe i zabrałem ją do basenu. Zaczynała już pływać i zupełnie nie bała się wody. Trzymałem ją, a ona pluskała się, głaskała mnie po policzkach, wołała „Dada”, obejmowała mi szyję swoimi małymi rączkami i przyciskała się do mnie jak mała małpeczka.

Po pewnym czasie podałem ją Kit, żeby ją wytarła, i przez pewien czas grałem z chłopakami w waterpolo (a raczej w coś podobnego do tej gry). Po dwudziestu minutach zabawy doszedłem do wniosku, że nawet Evan Pentelow jest mniej wymagającym od nich mentorem.

- Jeszcze, tato! - wrzasnęli. - Tato, przecież nie wychodzisz jeszcze z wody?!

- Owszem - powiedziałem bardzo stanowczo, usiadłem na kocu obok żony i zacząłem się wycierać grubym ręcznikiem.

Podczas kiedy ona szykowała dzieciaki do snu, rozpakowałem się. Poczytałem im do poduszki, a potem siedliśmy do kolacji. Spędziliśmy wieczór we dwoje, patrząc na stary film w telewizji. Wstawiliśmy naczynia do zmywaka i poszliśmy, spać.

Cztery razy w tygodniu zjawiała się sprzątaczką, mieszkająca w pobliskiej wsi, a jeżeli chcieliśmy wyjść wieczorem, sprowadzaliśmy z miasteczka emerytowaną pielęgniarkę, żeby zajęła się chłopcami i małą. Taki styl życia wybrała Kit: ożeniłem się z inteligentną, spokojną dziewczyną, z której wyrosła kobieta praktyczna, trzeźwa i - ku jej Własnemu zdumieniu - świetna gospodyni. Od wyjazdu z Londynu przybyła jej jeszcze jedna cecha charakteru. Można by to chyba nazwać pogodą ducha. Chociaż Kit potrafiła od czasu do czasu wpaść w złość wcale nie gorzej niż ja, na co dzień była zrównoważona i solidna jak skała.

Wielu ludzi z branży filmowej uważało moje życie rodzinne za koszmarną nudę i spodziewano się powszechnie, że lada dzień zadurzę się w jakiejś blondynce czy rudej. Ale ja w gruncie rzeczy byłem zupełnie niepodobny do bohaterских postaci, jakie grałem w filmach. Ci wspaniali mężczyźni byli moją wersją zawodową, włożyłem w ich skórę w godzinach pracy, ale do domu jej nie zabierałem.

Kiedy byliśmy już w łóżku, Kit przytuliła się do mnie i położyła mi głowę na ramieniu. Przesunąłem ręce po jej gładkiej skórze, jej płaskim brzuchu i smukłych udach. Przeszedł ją dreszcz pożądania.

- Okej? - zapytałem, całując jej włosy.

- Jeszcze jak...

Potem kochaliśmy się po prostu i zwyczajnie, jak zawsze, ale jako że nie robiliśmy tego przez bity miesiąc, było nam ze sobą bardzo, można nawet powiedzieć, niezwykle dobrze. Przeżyliśmy te chwile dogłębnie i intensywnie, a nawet dosyć niecodziennie. Takie momenty łączą ludzi najsilniej, wiążą ich najbardziej. Na tym polega poczucie pewności i bezpieczeństwa, pomyślałem. Czego człowiekowi jeszcze trzeba?

- Fantastyczne - westchnęła Kit. - To było fantastyczne.

- Przypomnij mi, żebyśmy to robili jeszcze rzadziej. Roześmiała się: - Czy uważasz, że co się odleży, to się ucukruje?

- Mmmm - ziewnąłem.

- Wiesz, byłam dzisiaj z Chrisem u dentysty i w poczekalni przeczytałam w takim jednym magazynie list od jakiejś baby, która pisze, że ma starzejącego się, łysego, tęgawego męża, który jej bokiem wychodzi, więc pyta, co ma robić, żeby uatrakcyjnić ich życie seksualne. No i wiesz, jaką jej dali radę? - Po jej głosie poznałem, że uśmiecha się. - Kazali jej sobie wyobrażać, że śpi z Edwardem Lincolnem.

- Bzdura - ziewnąłem po raz drugi. - A tobie pewnie kazaliby sobie wyobrazić, że, śpisz z tłustym, łysym facetem w średnim wieku, który ci się nie podoba.

- Może za dwadzieścia lat to będzie prawdą - roześmiała się.

- Jesteś bardzo miła.

- Nic podobnego!

Zasnęliśmy przytuleni do siebie.

*

Byłem dumnym właścicielem pięknego konia wyścigowego, którego trzymałem w doskonałej stajni, położonej w odległości około ośmiu kilometrów od naszego domu. Trenowano go do wyścigów z przeszkodami. Kiedy przebywałem w domu, jeździłem tam prawie codziennie i brałem udział w porannym treningu. Trener, Bill Tracker, człowiek niezmiernie energiczny, nie lubił? właścicieli, którzy wyrażali chęć jazdy na swoich koniach, ale ja miałem u niego i jego stajennych specjalne fory, i to z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że mój ojciec był za młodych lat razem z Trackerem chłopcem stajennym w Lambourn i że dawniej sam brałem udział w zawodach.

W sierpniu nie było większych wyścigów, więc w dwa dni po powrocie udałem się do stajni i przejechałem się na przelaj przez pola. Sezon skoków ledwie się rozpoczął i większość koni - w tym i mojego - na razie trenowano do biegów płaskich. Bill łaskawie pozwolił mi dosiąść jednego z dobrze już podtrenowanych do skakania koni, który notabene miał wziąć

udział w wyścigach za dwa tygodnie. Dało mi to miłe uczucie przydatności i pozwalało wskrzesić umiejętność, z którą, rzecz można, niemalże się urodziłem.

Nauczono mnie jazdy konnej, zanim jeszcze umiałem chodzić. Zamierzałem zostać dżokejem, ale los nie był dla mnie łaskawy: kiedy kończyłem siedemnaście lat, miałem już metr osiemdziesiąt wzrostu, a poza tym brak mi było tego czegoś specjalnego i nieokreślonego, co predestynuje człowieka do tego zawodu. Było to dla mnie wielkie rozczarowanie. Zdecydowałem się wówczas na karierę filmową, ale bez entuzjazmu. Zabawne, co?

Wjechaliśmy na pastwiska, po których hulał ostry, orzeźwiający wiatr; widok stąd był szeroki na wciąż jeszcze dziewiczy krajobraz skalany tylko zarysem elektrowni na horyzoncie i szumem samochodów, dochodzącym z dość odległej szosy. Jeździliśmy na rozkaz, najpierw stępa, potem klusem, galopem, wreszcie powracaliśmy do stępa, żeby pozwolić koniom ochłonąć; była to cudowna zabawa.

Trackerowie zaprosili mnie na śniadanie, potem jeszcze przejechałem się na własnym koniu po okolicznych drogach i razem z chłopcami stajennymi kląłem na przejeżdżające samochody, które nie raczyły nawet zwalniać przy mijaniu nas. Siedziałem w siodle luźno i przypominałem sobie młode lata, kiedy to ojciec uczył mnie jazdy i wrzeszczał na mnie: - Trzymaj się równo, durniu jeden! I łokcie przy sobie!

Evan Pentelow i Madroledo byli hen daleko, w zupełnie innym świecie.

*

Kiedy powróciłem do domu, zastałem żonę w kuchni zajętą pieczeniem babki, a chłopców kłócących się o to, który z nich będzie pierwszy jeździł na nowych wrotkach.

- Cześć - przywitała mnie Kit. - Jak ci się jeździło? - Wspaniale.

- Cieszę się... nikt nie dzwonił... tylko Nerissa... cicho tam, chłopcy, własnych słów nie słysząc...

- Bo na mnie kolej! - darł się Pete.

- Jeżeli się w tej chwili nie uspokoiacie, to natrę wam uszu - oświadczyłem.

Zamknęli się. Nigdy jeszcze nie wykonałem tej groźby, ale woleli nie ryzykować. Chris porwał wrotki i wybiegł z kuchni, a Pete poleciał za nim.

- Dzieci! - jęknęła Kit.

Wsadziłem palec w surowe ciasto i dostałem po łapie.

- Czego chciała Nerissa?

- Zaprosiła nas na lunch. - Kit zatrzymała się w pół zdania. Drewnianą łyżką wlewała płynną czekoladę do miski. - Była... bo ja wiem... była jak gdyby zdenerwowana. W każdym razie jakaś dziwna. Chciała, żebyśmy przyszli do niej dzisiaj...

- Dzisiaj! - spojrzałem na zegarek.

- Powiedziałam jej, że to wykluczone, że na pewno nie wrócisz przed dwunastą. Więc zapytała, czy nie przyslibyśmy jutro.

- Pali się, czy co?

- Pojęcia nie mam, złotko. Chce się z nami zobaczyć możliwie najszybciej. Zanim zabierzesz się do nowego filmu, powiedziała.

- To dopiero w listopadzie.

- Nie masz pojęcia, jak nalegała. Więc w końcu przyrzekłam, że przyjedziemy jutro, chyba że nie będziesz mógł, to wtedy mam zadzwonić po dwunastej.

- O co jej chodzi? - zdziwiłem się. - Nie widzieliśmy jej co prawda od niepamiętnych czasów. Trzeba chyba będzie tam jutro pojechać.

- No tak.

I pojechaliśmy do Nerissy.

Dobrze, że człowiek nie wie z góry, co go czeka.

Nerissa była dla mnie ciotką, matką chrzestną i opiekunką w jednej osobie. Połączeniem trzech istot, których niestety nigdy w życiu nie miałem. Miałem za to macochę, która kochała wyłącznie swoich dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa, i mojego zaharowanego ojca, którego zanudzała na śmierć.

Nerissa trzymała trójkę koni w stajni, w której niepodzielnie królował mój ojciec. Kiedy byłem mały, dawała mi cukierki, później banknoty funtowe, później dobre rady, a wreszcie, po upływie wielu lat - ofiarowała mi swoją przyjaźń. Nie byliśmy nigdy bardzo blisko ze sobą, ale lubiliśmy się bardzo.

Teraz siedziała w letnim salonie swojej wspaniałej rezydencji, w fotelu za stolikiem, na którym na srebrnej tacy stała kryształowa karafka z sherry i kilka starych kieliszków. Kiedy usłyszała głos lokaja witającego nas w hallu, podniosła się, żeby nas uściskać.

- Witam was, moi kochani! Jakże się cieszę, że was widzę. Kit, ślicznie ci w żółtym kolorze... Aleś zeszcupłał. Edwardzie...

Siedziała tyłem do okna, z którego rozciągał się najwspanialszy widok w całym hrabstwie Gloucester i dopiero kiedyśmy się wycalowali i wyściskali, zobaczyłem, jak bardzo zmieniła się od naszego ostatniego spotkania.

Była wówczas niezwykle atrakcyjną panią, już dobrze po pięćdziesiątce, ale o młodych, niebieskich oczach i niezniszczalnej na pozór żywotności. Poruszała się sprężystym krokiem, a w tonie jej głosu brzmiała nuta humoru. Należała do najwyższej arystokracji angielskiej i posiadała niewątpliwie to, co mój ojciec nazywał „klasą”.

Ale przez te trzy krótkie miesiące zaszła w niej niezwykle wprost zmiana. Wzrok miała teraz mętny, nie było w niej ani odrobiny dawnej energii. Jej włosy straciły połysk, chód lekkość, głos zachrypł, a ręce drżały. Wyglądała na siedemdziesięcioletnią staruszkę.

- Nerissa! - wyrwało się Kit, która, podobnie jak ja, żywiła w stosunku do tej wspaniałej pani uczucia daleko wykraczające poza zwykłą sympatię.

- Tak jest, złotko, wiem, wiem - pocieszała ją Nerissa. - Siadajcie, moi mili. Edwardzie, nalej nam po kieliszku sherry.

Spełniłem jej życzenie, ale Nerissa nawet nie umoczyła ust w bladozłotym płynie. Siedziała w pięknym, obitym brokatem fotelu, odziana w niebieską lnianą suknię z długimi rękawami, tyłem do światła.

- Jakże się miewają te wasze dwa wisusy? - zapytała. - A Libby? Drogi Edwardzie, uważam, że stanowczo za bardzo zeszczuplałeś. Wcale ci z tym nie jest do twarzy...

Przez dłuższą chwilę stawiała te zdawkowe pytania, uprzejmie wysłuchiwała naszych odpowiedzi, blokując w ten sposób jakąkolwiek możliwość dowiadywania się o przyczynę jej wyglądu.

Do jadalni poszła wsparta na lasce i moim ramieniu. Podano nam bardzo lekki lunch, który z całą pewnością nie przyczynił się do odzyskania ani jednego ze straconych przeze mnie kilogramów. Po posiłku wróciliśmy powolnym krokiem do salonu na kawę.

- Proszę cię, Edwardzie, zapal... cygara znajdziesz w szufladzie... Przecież wiesz, jak bardzo lubię ten zapach... Mało kto teraz pali.

Pomyślałem sobie, że pewnie nikt nie chce tego przy niej robić, ale skoro ma na to ochotę... sam paliłem rzadko, a jeżeli, to raczej po kolacji. Znalazłem pudełko cygar marki Corona. Były świetne, chociaż nieco wyschnięte. Zapaliłem i zauważyłem, że Nerissa z przyjemnością wdycha ich dym.

- Lubię to - uśmiechnęła się.

Kit naląka kawę, ale pani domu ledwie umoczyła usta. Usadowiła się wygodnie w fotelu.

- A więc, moi mili - powiedziała spokojnie. - Na Boże Narodzenie nie będzie mnie już na świecie.

Nie odezwaliliśmy się. Nietrudno było dać wiarę jej słowom.

- Jesteście, jak zawsze, rozsądni - uśmiechnęła się Nerissa. - Żadnego tam niemądrego zaprzeczania, żadnych niepotrzebnych sentymentów. Powiedziano mi, że zapadłam na jakąś chorobę, na którą nie ma żadnego sposobu. Niestety muszą jednak coś robić i głównie dlatego czuję się i wyglądam tak marnie. Przedtem czułam się znacznie lepiej... ale wciąż każą mi się prześwietlać... i dają mi najrozmaitsze obrzydliwe antybiotyki, które mi naprawdę bardzo szkodzą. - Wymusiła z siebie jeszcze jeden uśmiech. - Proszę, żeby dali z tym spokój, ale wiecie przecież, jak to jest... powiadają, że to ich obowiązek, no i nie ma na to rady... Bardzo niemądry punkt widzenia... Ale w każdym razie, moi drodzy, proszę was, żebyście się tym nie przejmowali...

- O ile dobrze rozumiem, wezwałaś nas, bo jesteśmy ci do czegoś potrzebni - odezwała się Kit.

Nerissa spojrzała na nią ze zdumieniem;

- A więc się domyśliłaś?

- Wezwałaś nas tak nagle... a rozumiem, że chorujesz już od kilku tygodni.

- Edwardzie, twoja Kit jest naprawdę bardzo mądrą kobietą - powiedziała Nerissa. -

Tak jest, moi drodzy...

Chciałam poprosić Edwarda o wielką przysługę, jeżeli to się da zrobić.

- Ależ oczywiście - odparłem.

W głosie jej zabrzmiały echa dawnego humoru: - Nie zgadzaj się, zanim nie usłyszysz, o co chodzi.

- Okej.

- To sprawa moich koni. - Zamilkła, zamyśliła się na kilka sekund i dodała: - Widzisz, biegają ostatnio fatalnie.

- Nie rozumiem - odparłem. - Przecież sezon wyścigowy jeszcze się nie zaczął.

Wiedziałem, że Nerissa jest właścicielką dwóch koni do biegów z przeszkodami z dawnej stajni mego ojca i przypominałam sobie mgliście, że w poprzednim sezonie wygrały chyba dwukrotnie.

- Nie, Edwardzie, nie chodzi o te moje skoczki. Posiadam poza tym jeszcze jedenaście dwulatków, w tym sześć klaczy do biegów płaskich.

- Do biegów płaskich? Daruj, ale nie miałem o tym pojęcia.

- Bo nie są tu, ale w Południowej Afryce.

- Ach tak? - Spojrzałem na nią z lekkim zdumieniem. - Zupełnie nie orientuję się w wyścigach południowoafrykańskich, Nerisso. Bardzo mi przykro. Chciałbym ci się na coś przydać... ale niestety, nie potrafię powiedzieć, dlaczego twoje konie tam nie wygrywają.

- To miło z twojej strony, Edwardzie, że jesteś taki rozczarowany, ale zapewniam cię, że jeżeli tylko zechcesz, będziesz mi mógł pomóc.

- Powiedz mu tylko dokładnie, o co chodzi! - zapewniała ją Kit. - Edward zrobi dla ciebie wszystko, co potrafi, Nerisso.

Kit miała oczywiście rację. Szczególnie wtedy i w tamtych okolicznościach. Patrząc na Nerisnę uświadamiałem sobie dojmująco, ile jej zawdzięczam: nie były to może nawet konkretne przysługi, ale świadomość jej obecności, świadomość tego, że jestem jej bliski, że obchodzą ją moje sprawy. Kiedy byłem młodym, osieroconym chłopcem, miało to dla mnie kolosalne znaczenie.

Nerissa westchnęła: - Napisałam w tej sprawie do mojego tamtejszego trenera, ale i on nie wie, o co chodzi. Wszystkie inne konie z jego stajni mają doskonałe wyniki, tylko moje stale przegrywają. Listy idą nieskończenie długo... w ostatnich czasach zarówno nasza, jak i ich poczta funkcjonuje fatalnie. Tak więc, drogi Edwardzie, pomyślałam sobie, że może zechciałbyś... Wiem, że jest to nie byle jaka przysługa... ale czy mógłbyś mi poświęcić tydzień swego czasu... czy nie pojechałbyś do Johannesburga i nie zobaczył, co się tam właściwie dzieje?

Zapanowało krótkie milczenie. Tym razem nawet Kit nie pospieszyła się i nie krzyknęła od razu, że oczywiście, natychmiast pojedę, chociaż było dla nas wszystkich rzeczą jasną, że już nie chodzi o „czy”, ale o „jak” i „kiedy”

Nerissa ciągnęła dalej: - Widzisz, Edwardzie, jesteś znawcą wyścigów, koni, stajni i treningu. Na pewno zorientujesz się, czy ten trener nie robi jakiegoś błędu. No, a poza tym masz wspaniałe zdolności detektywistyczne...

- Detektywistyczne? - zdziwiłem się. - Przecież ja nigdy w życiu nie wykryłem żadnej zbrodni.

- Ale świetnie wiesz, jak zabrać się do rzeczy i niełatwo dajesz się zbić z tropu.

- Nerisso - odezwałem się podejrziwym tonem - czy ty przypadkiem nie oglądasz moich filmów?

- Znam prawie wszystkie.

- No tak, ale ten bohater filmowy to przecież nie ja. Ja tylko gram takich wspaniałych, doświadczonych mężczyzn.

- Nie mówże głupstw, kochany Edwardzie, gdybyś nie był człowiekiem odważnym, wytrwałym i inteligentnym, nie potrafiłbyś przekonywająco zagrać tych ról.

Patrzałem na nią z mieszaniną sympatii i niecierpliwości. Jakże łatwo ludzie dają się zwieść postaciom, które odgrywamy na ekranie. Ale żeby Nerissa...?

- Znasz mnie od ósmego roku życia - zaprotestowałem. - Wiesz doskonale, że nie jestem ani specjalnie odważny, ani zbyt wytrzymały. Jestem i zawsze byłem przeciętnikiem. Staram się być sobą. Ileż to” razy, kiedy spadałem z konia i płakałem, karmiłaś mnie na pociechę cukierkami. A jak się okazało, że nie mam dość odwagi na to, żeby zostać dżokejem, to nikt mnie tak nie pocieszał jak ty.

Nerissa uśmiechnęła się pobłaźliwie: - No tak, ale od tego czasu nabrałeś krzepy. Stwierdziłam to na twoim ostatnim filmie. „Wisisz nad przepaścią, uczepiony jedną ręką skały, a pod tobą ziele kilometrowa otchłań...

- Nerisso - przerwałem jej. - Kochana Nerisso. Pojadę dla ciebie do Afryki. Przysięgam, że pojadę. Ale pamiętaj, że w tych bójkach w filmie... to przeważnie nie ja się biję, tylko kaskader o mniej więcej mojej figurze i twarzy, który świetnie zna dżu-dzitsu. Ja w ogóle nie umiem się bić. Na zbliżeniach pokazują moją twarz i tyle. A te przepaści, nad którymi tyle razy zwisiałem... były rzeczywiście autentyczne, ale gdybym spadł, to nie poleciałbym daleko. W każdym razie nie kilkaset metrów, a najwyżej dziesięć i to w taką siatkę, jak w cyrku. Filmowaliśmy te sekwencje w górach północnego Devonu, bo tam jest dużo dogodnych płaskich występów, na których można ustawiać kamery.

Nerissa słuchała mnie z całkowitym niedowierzaniem. Zrozumiałem, że dalsze wywody nie miałyby sensu: chciałem jej wprawdzie jeszcze powiedzieć, że nie jestem ani strzelcem wyborowym, ani pilotem, ani rekordzistą w skokach narciarskich, nie umiem rozładowywać niewypałów ani konstruować nadajników radiowych. I że gdyby mnie ktoś próbował poddać torturom, od razu wsypałbym wszystkich. Ale nie uwierzyłaby mi, bo przecież widziała mnie w zupełnie innym świetle i to na własne oczy. Wyraz tych oczu mówił wiele.

- Świetnie - skapitulowałem. - Prawdą jest, że znam się coś niecoś na stajniach. W każdym razie na stajniach angielskich.

- No widzisz - odezwała się Nerissa z wielkim spokojem.

- Nie powiesz mi chyba, że ktoś wykonywał za ciebie te wszystkie karkołomne jazdy na początku twojej filmowej kariery.

Tego rzeczywiście powiedzieć nie mogłem. Ale nie były to naprawdę wielkie wyczyny jeździeckie.

- Dobra - powiedziałem więc - pojadę, popatrzę na twoje konie i pogadam z trenerem.

- Ale skoro ci napisał - dodałem w duchu - że nie ma pojęcia, co się z nimi dzieje, to i ja pewnie niczego nie odkryję.

- Kochany chłopcze, jesteś zupełnie niezwykły... - Nerissa robiła nagle wrażenie osoby śmiertelnie zmęczonej, jak gdyby wysiłek, zużyty na przekonanie mnie, wyczerpał ją ponad wszelką miarę. Ale kiedy zorientowała się, że jesteśmy przerażeni jej stanem zdrowia, zdobyła się na uśmiech.

- Jeszcze nie zaraz, moi złoci... pozostało mi dobre dwa miesiące. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Kit chciała zaprotestować, ale Nerissa pogłaskała ją po rękę. - Nie przejmuj się, kochanie. Ja się już pogodziłam z losem. Jednakże chciałabym przedtem załatwić różne sprawy... pozostawić wszystko w porządku, dlatego też zależy mi tak na tym, żeby Edward pojechał... muszę mu jednak wytłumaczyć różne rzeczy...

- Zmęczysz się - przerwałem jej.

- Nie jestem... zmęczona - skłamała niezręcznie. - A trzeba, żebyś znał kilka szczegółów. Widzisz, te konie były własnością mojej siostry, Poreji, która trzydzieści lat temu wyszła za mąż i przeniosła się do Południowej Afryki. Kiedy owdowiała, postanowiła tam pozostać, bo miała wielu przyjaciół. Odwiedzałam ją tam kilkakrotnie. Wydaje mi się, że wam o niej opowiadałam.

Skinęliśmy głowami na znak zgody.

- Umarła ubiegłej zimy - przypomniałem sobie.

- Tak, i był to dla mnie wielki cios - przyznała Nerissa, wyraźnie bardziej zasmucona odejściem siostry niż zbliżającą się własną śmiercią. - Byłam jej jedyną bliską krewną, więc zapisała mi prawie wszystko, co odziedziczyła po mężu. Między innymi również te konie. - Nerissa umilkła, żeby zebrać myśli i siły. - Roczniaki. Bardzo dużo warte. Wkrótce otrzymałam list od ich trenera z zapytaniem, czy życzę sobie, żeby je sprzedał, ponieważ z powodu kwarantanny trudno by je było przewieźć do Anglii. Postanowiłam, że może będzie zabawniej, jeżeli je zatrzymam i pobiegają sobie w południowoafrykańskich wyścigach. A potem można by je sprzedać do hodowli. Ale teraz... sytuacja się zmieniła. Po prostu nie będzie mnie już, kiedy one dojdą do wieku, w którym nadawać się zaczną na reproduktorów, a tymczasem wartość ich spada z dnia na dzień.

- Moja najmilsza Nerisso - odezwała się Kit. - Czy ci nie wszystko jedno?

- Oczywiście, że nie. Zamierzam zostawić je w spadku bratankowi mego męża, Danowi, i nie chciałabym obdarować go czymś, co nie ma żadnej wartości.

Nerissa powiodła wzrokiem po naszych twarzach. - Nie mogę sobie przypomnieć, czy... czy wy go znacie?

Kit odpowiedziała: - Nie. - Ja zaś: - Owszem, widziałem go raz czy może dwa razy, kiedy był małym chłopcem. Przyjeżdżałaś z nim do stajni.

- Rzeczywiście. Jak zapewne wiecie, mój szwagier rozwiódł się z tą okropną kobietą, matką Dana, i zabrał chłopca do Kalifornii... Dan powrócił niedawno do Anglii. Wyrósł na przemyślego młodego człowieka. To naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, czy nie uważacie? Przecież nie mam właściwie rodziny. Dan jest w tej chwili moim jedynym krewnym, ale w gruncie rzeczy też tylko przyszywanym, bo jego ojciec był najmłodszym bratem mojego Johna. Rozumiecie, dzieci?

Rozumieliśmy. John Casavey, któremu zmarło się lat temu szesnaście albo i więcej, był uroczym dżentelmenem-ziemianinem. Posiadał cztery doskonałe konie do polowania i zupełnie dobre poczucie humoru. Poza tym miał jeszcze Nerisę, brata, bratanka, tysiąc dwieście hektarów angielskiej ziemi i nie zostawił żadnych potomków.

Po krótkiej przerwie Nerissa odezwała się ponownie: - Zadepeszuję do pana Arknolda, tak się nazywa ten trener, i zawiadomię go, że przyjeżdżasz na moje polecenie, żeby zorientować się w sytuacji. Każę mu zamówić dla ciebie pokój w hotelu.

- Nie, proszę cię, nie rób tego. Może będzie zły, że mu kogoś nasyłasz, i wcale nie zechce ze mną współpracować. Już ja sobie sam załatwię hotel. I wszystko inne. A jeżeli chcesz, to zawiadom go po prostu, że zjawię się u niego z twojego polecenia, ponieważ wybieram się w interesach do Południowej Afryki.

Nerissa uśmiechnęła się do mnie słodko i serdecznie:

- No więc widzisz, mój złoty, że masz w sobie żyłkę detektywa.

Rozdział trzeci

W pięć dni później odleciałem do Johannesburga, uzbrojony w całą masę sprzecznych faktów i absolutny brak wiary w możliwości ich rozwikłania.

Kiedy wracaliśmy z Kit od Nerissy, znajdowaliśmy się w stanie silnej depresji. Biedna Nerissa, powtarzaliśmy co chwila. I my biedni, bo przecież niebawem ją utracimy.

- Dopiero co wróciłeś do domu - westchnęła Kit.

- No tak. Ale czy mogłem jej odmówić?

- Nie.

- I tak na pewno nic nie załatwię.

- Skąd wiesz? Może ci coś przyjdzie do głowy.

- To mało prawdopodobne.

- Ale zrobisz, co będziesz mógł.

- Naturalnie, kochanie!

Kit potrząsnęła głową. Jesteś bardziej cwany, niż ci się zdaje.

- No pewnie - mruknąłem.

Kit skrzywiła się i przez dłuższy czas jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie odezwała się.

- Wiesz, jak poszedłeś obejrzeć te jej roczniaki w stajni, to ona mi powiedziała, na co cierpi.

- Tak?

- To się nazywa chorobą Hodgkina. Atakuje przede wszystkim gruczoły. Nerissa sama dobrze nie wie, na czym to polega. Tyle, że nie ma na to lekarstwa.

- Biedna Nerissa.

- Powiedziała mi także, że zapisała każdemu z nas coś na pamiętkę.

- Naprawdę? - spojrzałem na Kit. - To ładnie z jej strony. Czy wspomniała co?

- Na litość boską, patrz przed siebie. Nie, nie powiedziała ani co, ani ile. Tyle tylko, że zapisała, nam coś na pamiętkę. Nigdy w życiu nie zetknęłam się z podobną osobą... umiera... wie o tym i jest zupełnie spokojna, a nawet cieszy się tym i owym... zmienia testament... i przez cały czas wie... wie...

Znowu rzuciłem na nią szybkie spojrzenie. Kątem oka. Łzy spływały jej po policzku. Ona rzadko płacze i nie lubi, jak się wtedy na nią patrzy.

Skoncentrowałem całą uwagę na szosie.

*

Zadzwoiłem do mojego agenta i zaskoczyłem go.

- Przecież ty nigdy nie chcesz nigdzie jechać... zawsze odmawiasz... ilekroć ci coś takiego proponuję, walisz pięścią w stół i wrzeszczysz...

- To prawda - przyznałem - ale tym razem musisz mi znaleźć jakiś pretekst do wyjazdu do Południowej Afryki. Powiedz, czy nie planują tam w najbliższym czasie jakiejś mojej premiery?

- Poczekaj - był wyraźnie nieprzygotowany na to pytanie. - Zaraz zobaczę. Ale - dodał z wahaniem - jeżeli znajdę ci jakąś premierę, to czy zgodzisz się, żebym zawiadomił dystrybutorów o twoim przyjeździe...?

- Właśnie o to mi chodzi. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale ci nie wierzę.

*

Zadzwoił do mnie w godzinę później. Są dwie, i to w najbliższym czasie. W Cape Town mają pokazać „Podróż na Wschód” od poniedziałku za tydzień. To wprowadzie jeden z twoich starszych filmów, ale robią przegląd całej tej serii, więc jeżeli chcesz, możesz się

zjawić na galowej premierze. Poza tym w Johannesburgu ruszają 14 września ze „Skałami”. No, ale to będzie dopiero za trzy tygodnie. Urządza cię to?

- Raczej nie, ale trudno. Niech będzie Johannesburg.

- Zgoda. Załatwię ci wszystko. Ale... chwileczkę... czy ta nagła zmiana nastawienia oznacza, że zgadzasz się także na wywiady i występy w telewizji?

- Mowy nie ma.

- Tak też myślałem.

*

Z domu Nerissy wzięłem kalendarz południowoafrykańskiego sezonu wyścigowego, wszystkie listy jej trenera, wycinki gazetowe i fachowe magazyny, programy wyścigowe, jakie stamtąd otrzymywała, oraz pełną dokumentację, dotyczącą pochodzenia, treningu i wyników wyścigowych jej jedenastu koni. Był to spory plik papierów i dość niestrawna lektura.

Obraz, jaki wyłonił się po przestudiowaniu tego wszystkiego, był rzeczywiście zastanawiający. Dziewięć koni miało bardzo ładny start - pomiędzy grudniem a majem wygrały bowiem w sumie aż czternaście razy. Ale od połowy maja żaden nie doszedł do mety w pierwszej czwórce.

Po pobieżnym przestudiowaniu ich genealogii oraz południowoafrykańskiego wydania miesięcznika „Koń i pies”, doszedłem do wniosku, że konie Nerissy mają pierwszorzędną rodowód, a jej siostra, Porcja, wpakowała w nie sporo pieniędzy. Żaden z nich nie wygrał dotychczas sumy, która by przynajmniej pokryła cenę kupna, a kolejne porażki obniżały ich wartość jako przyszłych reproduktorów.

Innymi słowy, południowoafrykańskie konie Nerissy mogły łatwo stać się dla jej spadkobiercy ciężką kulą u nogi.

*

Kit odwiozła mnie na lotnisko Heathrow, pewnie dlatego, że spędziłem w domu zaledwie dziewięć dni, co nie zadowoliło ani jej, ani mnie. Podczas gdy staliśmy w kolejce przed wejściem do komory celnej, z pół tuzina pań prosiło mnie o autograf dla swoich córek - siostrzeńców - wnuków - i niejedna para oczu zwróciła się w naszą stronę; wkrótce podszedł do nas urzędnik linii lotniczej i zaproponował, że zaprowadzi nas do specjalnej poczekalni. Ponieważ bywałem tu aż nazbyt często, traktowano mnie niezwykle uprzejmie. Z wdzięcznością przyjęliśmy jego propozycję.

- A może ja mam dwóch mężów - westchnęła Kit. - Może jest was dwóch. I to zupełnie różnych, a ja jestem żoną zarówno prywatnej, jak i publicznej wersji twojej osoby.

Wiesz, kiedy patrzę na ciebie z widowni albo oglądam twoje zdjęcia w gablotach kin, to muszę samą siebie zapewniać, że rzeczywiście spałam z tym panem poprzedniej nocy. I zawsze wydaje mi się to zupełnie niezwykle, ponieważ w swojej wersji publicznej nie należysz wcale do mnie, ale do tych wszystkich obcych ludzi, którzy płacą, żeby na ciebie popatrzeć. A potem wracasz do domu, jesteś zupełnie innym człowiekiem, swoją wersją prywatną, moim własnym mężem, którego publiczność w ogóle nie zna...

Patrzałem na nią z czułością.

- Moja prywatna wersja zapomniała zapłacić za telefon.

- A niech to. Prosiłam cię o to chyba z szesnaście razy...

- No, to już zapłać sama.

- Trudno. Chociaż płacenie rachunków za telefon należy do twoich obowiązków. Ja nie jestem w stanie sprawdzić wszystkich twoich depesz i rozmów z Ameryką. Jestem pewna, że poczta nas oszukuje. Te rachunki trzeba koniecznie sprawdzać.

- Trudno, jeszcze tym razem zaryzykujemy. Usiadłem przy niej. Nie zapłacony rachunek za telefon jest równie dobrym pretekstem do rozmowy jak każdy inny: nie trzeba nam już było wielu słów, żeby się porozumieć. Przez całe życie witaliśmy się i żegnali dość beznamiętnie. Ludzie oceniali to jako brak miłości. A było wprost przeciwnie. Byliśmy ze sobą związani jak Kastor i Polluks.

*

W szesnaście godzin później wylądowałem na lotnisku Jan Smuts International. Na płycie oczekiwał mnie jakiś nerwowy facet o wilgotnych dłoniach, który przedstawił mi się jako szef dystrybucji firmy Worldic Cinemas.

- Wenkins - powiedział. - Nazywam się Clifford Wenkins. Miło mi pana poznać.

Miał niespokojne oczy i mówił po angielsku z bardzo silnym południowoafrykańskim akcentem. Około czterdziestki. Taki, co to się nigdy niczego nie dorobi. Mówił odrobinę zbyt głośno, był odrobinę zbyt familiarny, trochę za bardzo brat-łata - czego szczególnie nie lubię.

W sposób możliwie uprzejmy uwolniłem lewy rękaw z zacisku jego dłoni.

- Dziękuję, że się pan pofatygował - powiedziałem, chociaż w duchu odsyłałem go do wszystkich diabłów.

- Jakże mógłbym nie powitać Edwarda Lincolna - zaśmiał się nerwowo na cały głos.

Zastanawiałem się bez większej ciekawości, dlaczego ten człowiek jest taki rozdygotany; jako szef dystrybucji filmów na pewno styka się co najmniej raz na miesiąc ze słynnymi aktorami.

- Tam stoi mój samochód - oświadczył i rozłożywszy szeroko ręce cofał się przede mną ruchem kraba, gestykulując jedną dłonią tak, jak gdyby prosił tłum o rozstąpienie się, a drugą wskazując mi drogę. Ponieważ żadnych tłumów nie było, całe to przedstawienie wydało mi się co najmniej zbędne.

Szedłem za nim, dźwigając walizkę i udawałem, że doceniam jego uprzejmość.

- Niedaleko - dodał, patrząc mi błagalnie w oczy.

- Świetnie.

Kiedy doszliśmy do głównego wyjścia, zauważyłem grupę złożoną z około dziesięciu osób. Obejrzałem ich sobie i wzruszyłem ramionami. Ich ubiór, sposób, w jaki stali, w jaki się poruszali, był tak charakterystyczny, że nie miałem najmniejszej wątpliwości, iż są to przedstawiciele tak zwanych środków masowego przekazu. Nie zdziwiło mnie więc bynajmniej, że byli uzbrojeni w aparaty fotograficzne, magnetofony i mikrofony.

- Panie Lincoln, co pan sądzi o Południowej Afryce?

- Cześć, Link, prosimy o promienny uśmiech...

- Czy prawdą jest, że...

- Nasi czytelnicy chcieliby wiedzieć...

- Proszę się uśmiechnąć...

Usiłowałem nie zwalniać kroku, ale zostaliśmy zmuszeni do zatrzymania się. Uśmiechnąłem się więc do nich hurtem i wyrzuciłem z siebie kilka ogólników, a więc: - Bardzo mi miło... cieszę się, że przybyłem do waszego kraju. To moja pierwsza wizyta. - Po pewnym czasie udało nam się wydostać z gmachu.

Chociaż na tej wysokości - dwa tysiące metrów ponad poziomem morza - słońce niezbyt silnie przygrzewało i było raczej chłodno, Wenkins był spocony aż po nasadę włosów.

- Przepraszam, ale oni zawsze o wszystkim się dowiedzą - powiedział.

- To ciekawe, bo kupiłem bilet dopiero wczoraj rano.

- No, tak to z nimi jest - bronił się niezbyt energicznie.

- Pewnie idą panu na rękę, jak potrzebna jest panu specjalna reklama - zauważyłem.

- Zawsze - zgodził się entuzjastycznie.

Uśmiechnąłem się. Trudno mu było mieć za złe, że chce im odplacić za pośrednictwem mojej osoby za dawne i przyszłe przysługi, a fakt, że z zasady nie udzielam wywiadów, uchodzi powszechnie za irracjonalny kaprys. W wielu krajach gazety mszczą się na człowieku, jeżeli z nimi nie współpracuje. Musiałem też przyznać, że na razie

południowoafrykańscy przedstawiciele środków masowego przekazu okazali się bardziej cywilizowani niż ich koledzy z innych krajów.

Wenkins potarł mokre czoło wilgotną dłonią.

- Proszę mi dać jedną walizkę - zaproponował. Potrząsnąłem głową.

- Nie są ciężkie. - Był w końcu o tyle mniejszy ode mnie.

Kiedy przechodziliśmy przez parking do jego samochodu, uderzyła mnie po raz pierwszy szczególna woń Południowej Afryki. Jest to mieszanina gorących, słodkich, niepokojących i niezwykłych, jak gdyby zmieszanych z piżmem zapachów, która prześladowała mnie przez dobrych trzy czy cztery dni, aż wreszcie moje powonienie przyzwyczało się i przestało reagować. Ale pierwsze moje wrażenie po przybyciu do Południowej Afryki to był ten jej dziwny zapach.

Clifford Wenkins zawiózł mnie do Johannesburga. Przez całą drogę za dużo gadał, za bardzo się pocił i za często się uśmiechał. Lotnisko leżało na wschód od miasta wśród wysuszonych pól Transvaalu, w odległości dobrej pół godziny jazdy od centrum.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie gładko - mówił Wenkins. - My niezbyt często mamy... to znaczy... rozumie pan... - Roześmiał się nerwowo. - Pański agent powiedział mi przez telefon, że bym nie urządzał dla pana żadnych przyjęć, koktajli, wywiadów radiowych i w ogóle... bo rozumie pan, my zazwyczaj organizujemy to wszystko dla przyjezdnych znakomitości... dla gwiazd... oczywiście wtedy, kiedy Worldic jest dystrybutorem ich filmów... no, ale dla pana nic z tych rzeczy, chociaż moim zdaniem jest to błąd... ale pański agent bardzo nalegał... i wynajęliśmy panu pokój... kazał, żeby hotel był poza miastem... nie w mieście, powiedział, ani w prywatnym domu, więc mam nadzieję, że będzie pan zadowolony... byliśmy oczywiście przerażeni... to jest zachwyceni, kiedy dowiedzieliśmy się, że pan nas osobiście zaszczyca...

Panie Wenkins - odpowiedziałem mu w myślach - zajechałby pan na pewno znacznie dalej, gdyby pan trochę mniej gadał. Na głos odparłem: - Jestem przekonany, że wszystko pójdzie gładko.

- Naturalnie... ale skoro nie życzy pan sobie normalnego przyjęcia, to co można panu zorganizować? No bo w końcu do premiery „Skał” jest całe dwa tygodnie.

Nie odpowiedziałem na to wprost, ale odparłem: - Ta premiera... Czy to ma być wielka gala?

- Ależ tak - roześmiał się - na cztery fajerki. Piśmienne zaproszenia. Dochód przeznaczony na cel dobroczynny. Normalka, mój drogi... przepraszam bardzo... wie pan,

Worldic chciałby pana przyjąć naprawdę po królewsku. Takie mi dali instrukcje... jak się ocknęli po pierwszym szoku.

- Rozumiem - uśmiechnąłem się. Ostatecznie, sam się narzuciłeś, bracie - pomyślałem - więc powinieneś przynajmniej coś z siebie dać za ten ich wysiłek.

- Proszę pana - powiedziałem więc. - Jeżeli pan sądzi, że ludzie zechcą się pofatygować, to zgadzam się, żebyście urządził coś w rodzaju małego przyjęcia, trochę, kanapek, drinki, bo ja wiem, i to albo tuż przed, albo tuż po premierze. Przyrzekam, że przyjdę. No i za dzień czy dwa mógłbym spotkać się z tymi pana przyjaciółmi z lotniska i paru innymi dziennikarzami przed południem na kawę albo na małe coś niecoś. To pana urządza?

Zatkało go. Spojrzałem na niego ukradkiem. Otwierał i zamykał usta jak ryba na piasku.

Rozbawiło mnie to. Ależ mnie urządziła nasza kochana Nerissa.

Ale poza tym muszę mieć święty spokój. Sam będę sobie radził. Przede wszystkim chciałbym się wybrać na wyścigi konne.

Doskonale - pan Wenkins opanował wreszcie swoje podniecenie, udało mu się nawet zamknąć usta. - Mógłbym... mógłbym panu kogoś przydzielić, który by panu wszystko załatwiał.

Zobaczmy - odparłem. Nie chciałem się na razie do niczego zobowiązywać.

*

Zajechaliliśmy przed sympatycznie wyglądający Hotel Iguana, położony na północnym skraju miasta. Przywitano mnie uprzejmie, zaprowadzono do luksusowo wyposażonego pokoju i z miejsca dano do zrozumienia, że mały napiwek mógłby wyczarować właściwie wszystko, od wody z lodem począwszy, a na tańcu brzucha skończywszy.

- Chciałbym przede wszystkim wynająć samochód - powiedziałem. Wenkins oświadczył natychmiast, że już o tym pomyślał i że już mam do dyspozycji, na koszt firmy Worldic, żółtą limuzynę z szoferem.

Potrząsnąłem głową. - Nic z tych rzeczy - oświadczyłem. - Czy mój agent nie zawiadomił was, że jestem tutaj zupełnie prywatnie?

- No tak, ale... kierownictwo chciałoby pokryć panu wszystkie wydatki.

- Nie - odparłem sucho. Wenkins roześmiał się nerwowo.

- Rozumiem... no tak... oczywiście. - Zakrztusił się własną śliną. Oczy miał rozbiegane, bezładnie poruszał rękami, wargi rozedrgane w bezmyślnym uśmiechu. Nie potrafił ani na chwilę ustać spokojnie. Na ogół nie wprawiałem ludzi w takie zdenerwowanie,

więc zastanawiałem się, czy coś, co powiedziałem lub zrobiłem, mogło go wprowadzić w stan podobnego roztrzęsienia.

Wreszcie udało mu się jakoś opuścić Hotel Iguana i powrócić do samochodu. Odetchnąłem z ulgą. Ale w ciągu niespełna godziny zadzwonił.

- Czy... czy jutro... to znaczy jutro rano odpowiadałoby panu... spotkanie z prasą... rozumie pan?

- Zgoda - odparłem.

- Czy zechciałby pan... hm... kazać szoferowi, żeby zawiózł pana do hotelu Randfontein... Sala Dettrocka... to jest taki salon recepcyjny... wynajmiemy go... pan rozumie..?

- O której?

Powiedzmy no... no o jedenastej trzydzięci... czy mógłby pan przyjechać o kwadrans wcześniej?

Tak - odpowiedziałem krótko, na co Wenkins, jękając się jak to on, wyraził swoje zadowolenie i podziękował mi nad wyraz uprzejmie.

Odłożyłem słuchawkę, rozpakowałem się, napiłem kawy, wezwałem samochód i kazałem się zawieźć na wyścigi.

Rozdział czwarty

W Afryce Południowej wyścigi konne odbywają się w środy i soboty, i tylko z rzadka w inne dni tygodnia. Dlatego też postanowiłem przylecieć w środę rano i od razu udałem się do Newmarket, bo tylko tam były tego dnia wyścigi.

Wykupiłem bilet wstępu i kazałem sobie dać program. Przeczytałem, że jeden z pechowych koni Nerissy będzie biegł po południu.

Newmarket przypominał wszystkie inne tory wyścigowe świata. Trybuny, konie, bukmakerzy; atmosfera napięcia i fachowości; tradycji i ładu. Znałem to. Podeszedłem do padoku, po którym oprowadzano już konie, mające wziąć udział w pierwszej gonitwie. Pośrodku stali grupkami właściciele i trenerzy, rozmawiając i wymieniając poglądy. Dokoła padoku gromadzili się co poważniejsi znawcy i krytycznym okiem przyglądali się komom.

Różnice między końmi angielskimi a południowoafrykańskimi były minimalne. Te tutejsze były może raczej drobnokostne, ale miały bardzo piękne pęciny. Orowadzali je nie tak jak u nas biali chłopcy stajenni w ciemnych ubraniach, ale czarni chłopcy w długich białych kitlach.

Kierując się żelazną zasadą niestawiania nigdy na nie znane mi konie, nie podeszedłem nawet do okienka, przy którym przyjmowano zakłady. Po chwili na padoku pojawili się

dżokeje w barwnych jedwabnych strojach, - dosiedli koni i ruszyli na start. Kopyta bębniły twardo po wysuszonym terenie. Postanowiłem poszukać trenera Nerissy, Greville'a Arknolda. Wiedziałem, że ma konia w następnej gonitwie, więc pewnie go teraz siodła.

W drodze do boksów podszedł do mnie jakiś młody człowiek i lekko dotknął mojego ramienia.

- Przepraszam bardzo - odezwał się - czy to pan Edward Lincoln?

Skinąłem głową, uśmiechnąłem się lekko, ale nie stanąłem.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Dan Cavesey. O ile mi wiadomo, jest pan przyjacielem mojej ciotki.

To mnie zatrzymało. Wyciągnąłem dłoń, którą Dan uściskał serdecznie.

- Wiedziałem, że pan przyjeżdża. Ciotka Nerissa zadepeszowała do Arknolda i zawiadomiła go, że ma pan tu być z okazji premiery jakiegoś filmu i że na pewno zjawi się pan na wyścigach. Więc, prawdę mówiąc, rozglądałem się za panem.

Mówił miękkim, kalifornijskim akcentem, pełnym leniwego ciepła. Nic dziwnego, że spodobał się Nerissie: miał sympatyczną, opaloną twarz, szczere, jasne spojrzenie, lekko zmierzwione, ale gęste i błyszczące ciemnoblonde włosy. Istny ideał młodszej amerykańskiej urody.

- Nie mówiła mi, że pan jest w Afryce Południowej - zauważyłem.

- No nie - odparł Dan z rozbrajającym uśmiechem. - Myślę, że nawet o tym nie wie. Przyleciałem tu zaledwie kilka dni temu. Na wakacje. A jak się ma moja staruszka? Kiedy widziałem ją po raz ostatni, nie czuła się zbyt dobrze.

Uśmiechał się beztrąsko. Widocznie nie znał prawdy.

- Obawiam się, że Nerissa jest poważnie chora - Naprawdę? Strasznie mnie pan zmartwił. Muszę do niej napisać. Zawiadomię ją, że jestem tutaj i że będę próbował zorientować się, co się właściwie dzieje z jej końmi.

- A dzieje się coś?

- Bo ja wiem? Jakoś w ogóle nie wygrywają. Właściwie jest to kiepska sprawa. - Znowu uśmiechnął się niemal po łobuzersku. - Jeżeli pan chce się wzbogacić, to proszę postawić w czwartej gonitwie na ósemkę.

- Dziękuję - odparłem. - Nerissa wspomniała mi, że jej konie ostatnio w ogóle nie wygrywają.

- Nie dziwię się, że o tym mówiła. Dzieje się z nimi coś niedobrego. Nie potrafiłyby wygrać, nawet gdyby im dać dziesięciminutowe fory i gdyby się przekupiło wszystkich dżokejów.

- Czy pan nie orientuje się, dlaczego tak jest?

- Nie mam pojęcia. Arknold okropnie się tym przejmuję. Mówi, że w życiu nie przytrafiło mu się coś podobnego.

- Może to jakiś wirus? - zasugerowałem.

- Wykluczone. Wtedy zachorowałyby wszystkie konie z tej stajni, a nie tylko konie ciotki. Rozmawiałem na ten temat z trenerem. Twierdzi, że nie ma żadnej koncepcji.

- Chciałbym go poznać - rzuciłem mimochodem.

- Oczywiście. Nic łatwiejszego. Ale zejdźmy z tego wiatru i napijmy się piwa, dobrze? Arknold ma konia w następnej gonitwie, ale później na pewno chętnie z nami porozmawia.

- Świetnie - zgodziłem się i poszliśmy na piwo. Dan miał rację. Z południa wiał silny wiatr. Było chłodno i wiosna wydawała się bardzo odległa.

Na oko chłopak mógł mieć jakie dwadzieścia lat. Niebieskie oczy, okolone ciemnymi rzęsami, i śnieżnobiałe zęby nadawały mu aż nazbyt typowo kalifornijski wygląd. Robił wrażenie młodzieńca, który nie zetknął się jeszcze z trudami życia; może i nie był maminsynkiem, ale ulubieńcem bogów był na pewno.

Powiedział mi, że jest studentem Uniwersytetu Berkeley, że za kilka miesięcy otrzyma dyplom nauk politycznych. - Od dziś za rok będę miał college za sobą...

- A jakie są pana dalsze plany? - zapytałem, żeby coś powiedzieć.

Oczy chłopca rozbliły się uśmiechem.

- Bo ja wiem, będę musiał coś wymyślić, ale na razie jeszcze nic nie wiem.

Krzywdą mu się nie stanie - pomyślałem - to dziecko szczęścia, takim to wszystko idzie gładko.

Przyglądaliśmy się wspólnie następnej gonitwie. Koń Greville'a przyszedł trzeci.

- Szkoda - westchnął Dan. - Postawiłem tylko na niego, a nie na pierwsze trzy numery.

- Dużo pan przegrał? - zapytałem z sympatią.

- Głupstwo. Kilka randów.

W przeliczeniu rand równał się mniej więcej jednemu dolarowi. A więc nie poniósł większej straty. Bez pośpiechu poszliśmy w kierunku padoku.

- Wie pan, co panu powiem - odezwał się Dan po chwili. - Wyobrażałem sobie pana zupełnie inaczej.

- Jak? - uśmiechnąłem się.

- Bo ja wiem... jest pan gwiazdorem filmowym... myślałem, że będzie pan strasznie ważny.

- Aktorzy są takimi samymi ludźmi, jak wszyscy inni.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale to wcale nie był żart. Pomyślałem, że Dan jest znacznie efektowniejszy ode mnie. Byłem może o kilka centymetrów wyższy od niego, o kilka centymetrów szerszy w ramionach, ale jemu chodziło o zupełnie co innego, coś, co nie miało nic wspólnego z wyglądem zewnętrznym.

Koło konia, który przed chwilą przyszedł trzeci do mety, kręcił się dość tęgi, silnie zbudowany mężczyzna i z wyrazem niesmaku na twarzy oglądał jego nogi i przesuwał rękami po udach i zadzie.

- To właśnie Greville Arknold - szepnął mi Dan do ucha.

Trener przez chwilę rozmawiał z kobietą, prawdopodobnie właścicielką koni. Miałem wrażenie, że nie odznaczał się uprzedzającą grzecznością. Wiedziałem, że trener musi być twardy, jeżeli nie chce zwariować, ostatecznie żaden człowiek nie może nieustannie przeproszać właścicieli za to, że konie ich nie zajęły pierwszego miejsca przeciwnie, trener zmuszony jest wciąż wbijać im do głowy, że choć zapewnia ich koniom najlepszą paszę i jeszcze lepszą opiekę, konie innych ludzi bywają od czasu do czasu szybsze; jednakże ten facet robił wrażenie po prostu niesympatyczne.

Po chwili wyprowadzono konie i publiczność się rozeszła. Arknold słuchał z zaciśniętymi ustami, co mówiła kobieta. Miałem wrażenie, że to ona go przeprosza. Wreszcie zamilkła, zaczekała chwilę i nie otrzymawszy odpowiedzi, wzruszyła ramionami i oddaliła się.

Arknold oderwał wzrok od ziemi i spojrzał na Danai unosząc pytająco brwi. Młodzieniec wskazał na mnie lekkim ruchem głowy. Trener przeniósł swój badawczy wzrok na mnie i podszedł do nas powolnym krokiem.

Dan mi go przedstawił, a mnie jemu w taki sposób, jaki gdyby nam chciał dać do zrozumienia, że jeżeli się bliżej poznamy, będzie to z pożytkiem dla obu stron. Nie było to wykluczone.

Ale faktem jest, że Greville Arknold nie spodobał mi się ani tego pierwszego dnia, ani później. Był nawet zupełnie uprzejmy: uśmiechnął się, podał mi rękę, powiedział, że cieszy się, iż mnie poznał, że pani Cavesey zawiadomiła go depeszą o moim przyjeździe, że wiedział, iż zjawię się na wyścigach, i gotów jest wszystko mi pokazać.

Mówił wyraźnym afrykańskim akcentem i znał, jak większość mieszkańców Południowej Afryki, trzy języki - angielski, afrykanderski i zuluski. Twarz miał jak gdyby ulepioną z plasteliny, bardzo cienkie, niemal nie istniejące wargi, a na policzkach i podbródku blizny po krostach. Pod nosem wyrastały mu szczecinowate, rude wąsy. Pomimo że

uśmiechał się przyjaźnie i powitał mnie niezmiernie uprzejmie, oczy jego pozostały zimne jak stal.

- Pański koń zupełnie dobrze się spisał - zacząłem. Zareagował natychmiast.

- Ta głupia baba tak długo naciskała, żebym go dzisiaj puścił, że jej w końcu uległem. Chciałem, żeby biegł dopiero w sobotę. W ubiegłym tygodniu w Turffountain tor był bardzo twardy i wołałem, żeby sobie jeszcze odpoczął przez trzy dni.

- Zdawało mi się, że ona pana przeproszała - rzuciłem.

- Ja. Oczywiście. Ale za późno. Durna baba. Koń jest całkiem do rzeczy. W sobotę wygrałby na pewno. Ale co robić? Właściciele powinni się ślepo słuchać trenerów. Przecież płacą im za znajomość rzeczy. Ekspert powinien mieć zawsze ostatnie słowo.

Uśmiechnąłem się zdawkowo. Byłem właścicielem wprawdzie jednego tylko wałacha, ale kwestionowałem to jego „zawsze”. Czasami, owszem. Nawet dosyć często, ale na pewno nie zawsze. Wiem co najmniej o jednym zwycięzcy wyścigu Grand National, który by nigdy nie startował, gdyby jego właściciel posłuchał rady swojego trenera.

- Widzę, że jeden z koni pani Cavesey biegnie w czwartej gonitwie - zauważyłem.

Arknold skrzywił się.

- Ja - mruknął. - Przypuszczalnie powiedziała panu, że jej konie ostatnio nie spisują się najlepiej.

- I podobno nie ma pan pojęcia, dlaczego. Potrzęsnał głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Otrzymują takie samo pożywienie i identyczny trening, co pozostałe konie. Są zdrowe. Były wielokrotnie - badane przez weterynarza. To naprawdę tajemnicza historia. Bardzo tajemnicza.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Możliwość narkotyków też odpada. Zrobiliśmy chyba ze sto testów. Wszystkie wypadły negatywnie.

- A czy wyglądają dobrze? - zapytałem. - To znaczy, czy ich wygląd niczego nie sugeruje?

- Może się pan sam przekonać - zaproponował. - To znaczy, jeżeli pan się zna na koniach...

- Chyba nawet nieźle - wtrącił się Dan. - Nie jest przecież sekretem, że ojciec pana Lincolna zaczynał jako chłopiec stajenny.

- Tak? - zdziwił się Arknold. - W takim razie może odwiedzi pan moje stajnie, obejrzy sobie konie, może panu coś wpadnie do głowy. Nigdy nie wiadomo.

W głosie jego brzmiała niekłamana ironia, był przekonany, że jest to zupełnie wykluczone. Innymi słowy, albo siedział doskonale, co się dzieje z końmi Nerissy, i był pewny, że ja tego nie wykryję, albo rzeczywiście nie miał zielonego pojęcia.. - Bardzo chętnie - powiedziałem.

- Świetnie. Może jutro. Niech pan przyjedzie o jakiej wpół do piątej, na wieczorny obchód.

Skinąłem głową.

- Doskonale. A pan, Dan? Nie przyjechałby pan z panem Lincolnem?

- Naturalnie, Arknold, z przyjemnością.

Byliśmy więc umówieni. Dan zaproponował, że przyjedzie po mnie do Iguany.

Koń Nerissy, Czunk, który miał biec w czwartej gonitwie, wyglądał zdrowo w czasie parady na padoku. Miał błyszczącą sierść i silne, rozluźnione mięśnie. Nie robił wrażenia specjalnie mocnego zwierzęcia, ale miał inteligentny, ładnie osadzony łeb i dobrze rozstawione łopatki. Siostra Nerissy, Porcja, zapłaciła za niego w swoim czasie dwadzieścia pięć tysięcy randów, głównie za jego pochodzenie. Ale dotychczas wygrał zaledwie jedną gonitwę, i to kilka miesięcy temu, jeszcze w kwietniu.

- Co pan o nim myśli? - zapytał Dan.

- Wygląda nieźle.

- No właśnie. „One są wszystkie na pozór zdrowe, tak też twierdzi Arknold.

Czunka prowadziło za uzdę dwóch chłopców stajennych, najwidoczniej trener dobrze go pilnował.

Wszystkie konie stąpały iście baletowym krokiem, prawdopodobnie dlatego, że od urodzenia poruszały się po bardzo twardym terenie. Czunk galopował na start równie ochoczo, jak inne konie, stanął ładnie i ruszył doskonale. Poprzez zeissowską lornetę obserwowałem każdy jego krok.

Pierwsze pół mili przebiegł bardzo dobrze, trzymał się na szóstej pozycji, tuż za grupą prowadzących koni. Jednakże za zakrętem, gdy wyszły na prostą, tamte poderwały się, a Czunk zaczął zostawać w tyle. Patrzyłem na podskakującą głowę dżokeja, widziałem, jak całym cia-; łem próbuje zmusić Czunka do większego wysiłku, ale doświadczenie mówiło mi, że jeśli dżokej tak się morduje,; żeby wydobyć coś ze swojego wierzchowca, to w końcu: nic z tego nie wychodzi. I rzeczywiście, Czunk szybko tracił siły i nawet najlepszy jeździec świata nie potrafiłby z niego wycisnąć dodatkowej energii.

Odłożyłem lornetę. Na ostatnim odcinku toru ważyła się jeszcze przez chwilę, losy gonitwy, tłum ryczał, a Czunk dobił do mety dobre trzydzieści długości za zwycięzcą. Nikt go zresztą nie obstawił i nikt nie zwracał naj niego uwagi.

Wraz z Danem poszedłem popatrzeć, jak będą go rozsiodływali. Zastaliśmy przy nim, oczywiście, ponurego jak noc Arknolda.

- No proszę - powiedział. - Samiście panowie widzieli.

- Owszem - przyznałem.

Czunk był silnie spocony i szalenie zmęczony. Stał z opuszczoną głową, jak gdyby wiedział, że się zbłąźnił.

- No i co pan o tym sądzi? - zapytał Arknold. Potrząsnąłem głową w milczeniu. Czunk wyglądał po prostu na sztajera, ale zarówno jego pierwsze zwycięstwo, jak i pochodzenie zadawały temu kłam.

Było też niemożliwe, żeby zarówno on, jak i pozostałe dziesięć koni Nerissy miały chore serce, spróchniałe zęby, czy jakąś tajemniczą chorobę krwi. I żeby się na dodatek żaden weterynarz na tym nie poznał. I żeby chorowały wszystkie. To był absolutny nonsens.

Konie Nerissy nie miały własnych dżokejów. Z lektury otrzymanych od Nerissy pism fachowych wiedziałem, że Południowa Afryka ma znacznie mniejszą ilość dżokejów niż Anglia; na przykład w najważniejszym ośrodku wyścigowym, jakim jest Natal w pobliżu Durbanu, było zaledwie trzynastu zarejestrowanych dżokejów i dwudziestu dwóch praktykantów.

Południowa Afryka ma cztery takie ośrodki: w Johannesburgu, w Natalu, w Port Elisabeth i w Cape Town. Konie Nerissy startowały na wszystkich tych torach w różnych warunkach i w różnych porach roku, jeździli na nich zazwyczaj miejscowi dżokeje, ale rezultat był wszędzie i zawsze ten sam.

Do maja tego roku wszystko szło dobrze, ale od początku czerwca żaden nie wygrał ani jednej gonitwy.

Fakt, że były przewożone z miejsca na miejsce, świadczył, że przyczyn ich klęsk należało szukać nie w rodzimej stajni.

Nie były chore. Narkotyki nie wchodziły w rachubę. Zmieniały stajnie i dżokejów.

Wszystko to wskazywało, że przyczyną ich niepowodzeń było postępowanie trenera.

Trener, jeżeli zechce, może ustawić konia tak, żeby nie wygrywał. Wystarczy, że przemęczy go w czasie treningu tuż przed wyścigiem i sprawa załatwiona. Zbyt często zdarza się to przez przypadek, więc trudno byłoby udowodnić komuś premedytację.

Ale trenerzy niezmiernie rzadko świadomie szkodzą swoim koniom. Po prostu dlatego, że sukcesy znacznie bardziej im się opłacają. Na razie skłaniałem się raczej? ku przypuszczeniu, że w tym wypadku winien jest Arknold i że robi to najprostszymi metodami na świecie.

Innymi słowy, należałoby przenieść konie Nerissy do innego trenera i problem byłby rozwiązany.

Mogłem właściwie śmiało wracać do Anglii i poradzić jej to. Ale na drodze do wykonania tego miłego zamiaru stały, niestety, dwie poważne przeszkody.

Przede wszystkim zobowiązałem się być za dwa tygodnie na premierze mojego filmu. A poza tym, chociaż domyślałem się, kto jest odpowiedzialny za stan koni Nerissy, a nawet jakich używa metod, nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego to robi.

Rozdział piąty

Kiedy niemal dokładnie z wybiciem godziny jedenastej trzydzieści zjawiłem się w sali bankietowej hotelu Randfontein, panie i panowie, reprezentujący środki masowego przekazu (innymi słowy, paczka niezbyt starannie ogolonych, kiepsko poinformowanych i rozmyślnie rozchełstanych nierobów) zerwali się bez większego entuzjazmu z foteli, żeby mnie powitać.

W hallu oczekiwał mnie Clifford Wenkins, równie gadatliwy jak poprzedniego dnia, chociaż może nieco bardziej spocony. Razem weszliśmy do windy i podczas jazdy Wenkins tłumaczył mi szybko, kogo i dlaczego zaprosił, i kto przyszedł. Miał nadzieję, że się nie gniewam. Będę musiał dać dwie wypowiedzi dla dwóch stacji radiowych. Prosto do mikrofonu. Dobrze? Nagrają to na taśmę. A poza tym jeszcze wywiady dla dzienników, tygodników, magazynów kobiecych i kilku facetów, którzy specjalnie przylecieli z Cape Town i Durbanu.

Zacząłem żałować, że zaproponowałem to spotkanie, ale było za późno na takie myśli.

Jedyna rzecz, jaka pozostaje człowiekowi w podobnej sytuacji - zdążyłem jeszcze pomyśleć, kiedy już drzwi windy się rozsuwały - to zagrać dobrze swoją rolę.

- Chwileczkę - powiedziałem więc do Wenkinsa. Zatrzymaliśmy się przed windą.

- Co takiego? - zapytał z niepokojem.

- Nic. Muszę się tylko skoncentrować, zanim wejdziemy na salę.

Nic nie zrozumiał, chociaż to, co robiłem, nie jest przecież wyłącznym obyczajem zawodowych aktorów. W języku biblijnym nazywa się to, zdaje się, przepasywaniem lędźwi. W medycznym - zwiększaniem wydzielania adrenaliny i pobudzaniem serca do szybszego bicia, w samochodowym - włączaniem trzeciego biegu. Każdy wprawny polityk potrafi to wykonać w ciągu trzech sekund.

- Okej - powiedziałem. - Jestem gotowy. Wenkins odetchnął z ulgą, przemierzył hall i otworzył ciężkie drzwi.

Wkroczyliśmy na salę.

Dziennikarze zaczęli się z trudem gramolić z głębokich sof i foteli, wstawać z pokrytej dywanem podłogi, odrywać się od ścian, gasić papierosy.

- Cześć - powitał mnie jakiś mężczyzna; reszta stała cicho, wyczekująco, jak stado zaskoczonych zwierząt w dżungli. Ten, który się odezwał, był chyba poprzedniego dnia na lotnisku i, rzecz jasna, nie spodziewał się, że będę dzisiaj przystępniejszy niż wczoraj.

- Halo - odezwałem się.

Co tam, jak chcę, to wszystko potrafię. Jestem w końcu dobrze wyszkolonym aktorem. Umiem być czarujący na zawołanie. Patrzyłem, jak odzyskiwali swobodę, jak opadało z nich zmęczenie, jak uśmiech zaczynał im rozjaśniać twarze. Wiedziałem już na pewno, że nie napyskują na mnie na łamach swoich gazet, chociaż będą mi prawdopodobnie rzucali starannie wyostrzone pytania, zapisane w notatnikach.

Facet, który mnie pierwszy powitał - widać urodzony przywódca - podszedł, wyciągnął dłoń i przedstawił się:

- Roderyk Hodge z „Rand Daily Star”. Redaktor działu krytyki.

Pod czterdziestkę, ale w stylu młodzieżowym: włosy długie, obcisłe spodnie, studenckie wyrażonka. Była w nim przebojowość, ale i ślady bezwzględności i cynizmu, cech związanych z długoletnim dziennikarskim stażem.

Uścisnąłem mu dłoń i uśmiechnąłem się po przyjacielsku. Czułem, że lepiej będzie mieć go po swojej stronie.

- Moi państwo - powiedziałem - jeżeli się zbyt nie spieszycie, to może byśmy usiedli i pogadali. Pytajcie, ile chcecie. Najpierw może kolektywnie, a potem porozmawiamy sobie jeszcze z osobna. Myślę, że tak będzie dobrze, prawda?

Owszem, zgadzali się na wszystko, nikomu się nigdzie nie spieszyło. Roderyk dodał, że na pewno nikt nie ruszy się z miejsca, aż przyniosą jakieś picie, i po chwili lody wyraźnie już topniały, zapanowała atmosfera przyjacielskiego spotkania.

Jak zwykle, zaczęli strzelać we mnie pytaniami natury osobistej.

Według ich obliczeń, powinienem mieć trzydzieści trzy lata. Czy zgadza się?

- Owszem.

Czy jestem żonaty? Tak. Szczęśliwy w małżeństwie? Tak. Pierwsze małżeństwo czy drugie? Pierwsze. A żony? Też pierwsze.

Potem pytali o to, ile mam dzieci, o ich wiek i imiona, z ilu pokoiów składa się mój dom i ile mnie kosztował. Ile mam samochodów, psów, koni, jachtów. Ile zarabiam rocznie, ile zapłacono mi za nakręcenie „Skał”?

Ile pieniędzy daję żonie na toalety? Czy moim zdaniem, miejsce kobiety jest w domu?

- W sercu mężczyzny - odpowiedziałem żartobliwie, co spodobało się dziennikarce z kobiecego tygodnika, która postawiła to pytanie.

Dlaczego nie przenieśliem się do któregoś z krajów, w których cudzoziemiec nie płaci podatków? Bo lubię Anglię. Kosztowny luksus? Bardzo. Czy jestem milionerem? Na razie jeszcze nie. Może kiedyś, przynajmniej na papierze, jeżeli akcje znowu pójdą w górę. Skoro jestem taki bogaty, to dlaczego jeszcze pracuję? Żeby mieć na podatki, odparłem.

Wenkins zamówił dla wszystkich kawę, whisky i paluszki z serem. Panie i panowie dziennikarze dolewali sobie szkocką do kawy i aż wzdychali z zadowolenia. Osobiście wolę pić każdy z tych napoiów z osobna. Z trudem udało mi się przekonać kelnera, że nie lubię, jak mi się nalewa do szklanki dziewięć razy więcej wody niż alkoholu. W Południowej Afryce, jak zauważyłem, istnieje tendencja wypełniania szklanek po brzegi; zapewne dlatego, że w gorących krajach należy dużo pić, ale na razie było dosyć chłodno, więc po co psuć dobry alkohol?

Wenkins spojrzał na moją szklankę.

- Zaraz panu przyniosę wody.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Naprawdę?

Zakrzętnął się i po chwili wrócił z ponurym brodatym facetem, który trzymał w ręku mikrofon z długim sznurem. Ten brodacz na pewno nie ma ani odrobiny poczucia humoru - pomyślałem, i wywiad był rzeczywiście nudny jak flaki z olejem. Brodaty zapewnił mnie jednak, że moje odpowiedzi są znakomite, wprost wymarzone na pięciominutowkę, którą prowadzi w sobotnim wieczornym programie magazynowym. Odebrał mi mikrofon, uścisnął uroczyście dłoń i zniknął za całą stertą ekwipunku wizualno-dźwiękowego, ustawionego w kącie sali.

Miałem jeszcze dać wywiad do programu kobiecego, ale okazało się, że wyłoniły się jakieś trudności techniczne.

Przechadzałem się więc po sali od grupy do grupy, przysiadawałem na poręczach foteli, kuciałem na podłodze, i odpowiadałem na pytania.

Po pewnym czasie whisky zrobiło swoje i dziennikarze przystąpili do stawiania poważniejszych pytań.

Co myślę o Południowej Afryce? Podoba mi się, odpowiedziałem.

A jakie są moje poglądy na tutejszą sytuację polityczną? Jeszcze nic nie mogę powiedzieć. Przyjechałem zaledwie wczoraj. Trudno byłoby wyrobić sobie jakiś pogląd w ciągu jednego dnia.

Większość ludzi przyjeżdża z gotowymi poglądami, stwierdzili, na co odpowiedziałem, że nie wydaje mi się to rzeczą rozsądną.

A jaki jest mój stosunek do zagadnienia dyskryminacji rasowej? Odparłem bardzo spokojnie, że uważam wszelką dyskryminację za niesprawiedliwą i godną ubolewania, chociaż znam ludzi, którzy nie mogą się oprzeć przesądom w stosunku do kobiet, Żydów, prymitywnych szczepów Australii, czerwonoskórych Indian, ale że mam również przyjaciela w Nairobi, który nie może doczekać się awansu tylko dlatego, że jest biały.

Powiedziałem ponadto, że wolałbym nie odpowiadać na pytania, dotyczące polityki czy praw obywatelskich, chyba że życzą sobie, żebym im wyłożył różnicę pomiędzy teoriami gospodarczymi torysów i laburzystów.

Wybuch śmiechu. Nie, odpowiedzieli, nie mają na to najmniejszej ochoty.

Powrócili więc do spraw filmowych, na które znacznie łatwiej było mi znaleźć odpowiedź.

Czy prawdą jest, że zacząłem swoją karierę jako kaskader? Coś w tym rodzaju, odparłem. Jeździłem konno w różnych filmach, od „Robin Hooda” poprzez „Bitwę pod Bosworth” aż do „Szarży Lekkiej Brygady”. Pewnego dnia reżyser dał mi kilka kwestii do wygłoszenia, potem powiedział, że jestem niezły, i tak się zaczęło. Dosyć romantyczna, raczej przesłodzona historyjka, no, ale co robić? Bardzo mi jest przykro. Tak to czasami bywa.

A dalej? Potem zagrałem małą rolę w następnym filmie tego reżysera. Ile miałem lat? Dwadzieścia dwa. Byłem świeżo żonaty i mieszkalem w Hammersmith w suterenie, odżywiałem się głównie fasolką po bretońsku i od trzech lat uczyłem się dykcji w wieczorowej szkole dramatycznej.

Stałem mniej więcej na środku sali, kiedy nagle otworzyły się za mną drzwi, Clifford Wenkins odwrócił się szybko, zdziwił się, kiedy zobaczył, kto wszedł, i natychmiast się zmobilizował.

- Niestety, nie może pan tu wejść - odezwał się stanowczym tonem. - To prywatne przyjęcie. Wynajęliśmy” tę salę. Trudno... bardzo przepraszam.. mówię panu, to prywatne przyjęcie...

Wenkins wyraźnie przegrywał swoją batalię, co mnie zresztą specjalnie nie zdziwiło.

Ktoś trzepnął mnie po ramieniu i usłyszałem dobrze znajomy, tubalny głos:

- Link, jak się masz, drogi chłopcze. Powiedz., temu... no temu tu facetowi, że jesteśmy starymi przyjaciółmi. On mnie nie chce wpuścić.

Odwrociłem się zdumiony.

- Proszę wpuścić tego pana - powiedziałem do Wenkinsa. - Znam go doskonale. To nasz kamerzysta.

Konrad uniósł wysoko brwi.

- Kierownik zdjęć, drogi chłopcze. Żaden tam kamerzysta!

- Bardzo przepraszam - odparłem z ironią. - Napijiesz się czegoś? Whisky?

- Ależ, oczywiście, drogi chłopcze!

Wenkins zrezygnowany poszedł po drinka dla Konrada.

Konrad rozejrzał się po zadymionej sali. Wszędzie stały puste kieliszki, nie dopite drinki. Przedstawiciele prasy siedzieli i rozmawiali grupami. Panowała atmosfera pełnego relaksu.

- Mój Boże - uśmiechnął się. - Patrzę i oczom nie wierzę. Zeby Edward Lincoln zgodził się na konferencję prasową, i to na dodatek w Johannesburgu. Założyłem się, że to bujda, kiedy mi o tym powiedziano, no i przyszedłem, żeby się przekonać na własne oczy. Kazano mi iść do najelegantszej sali w Randfontein. Więc jestem. Zarechotał, a potem zaczął kaszleć.

- Zamknij się - warknąłem. Ogarnął szerokim gestem całą salę.

- Czy oni wiedzą, jaki ich spotyka zaszczyt? Czy oni zdają sobie z tego sprawę?

- Konrad, proszę cię, uspokój się u licha!

- Drogi chłopcze - Konrad nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. - Ne miałem pojęcia, że jesteś zdolny do takich numerów. To znaczy poza planem... Te dzikie bestie jedzą ci z ręki. To niesłychane! Ale się Evan zdziwi, jak mu o tym opowiem!

- To mało prawdopodobne - uśmiechnąłem się. - Jest osiem tysięcy kilometrów stąd.

Konrad potrząsnął głową. Był wyraźnie rozbawiony. - Nic podobnego, drogi chłopcze. Evan jest tu, w Johannesburgu. Tuż obok, niemalże na sąsiedniej ulicy.

- Jakże to?

- Przyjechaliśmy w niedzielę. - Konrad przestał się nareszcie śmiać i kciukiem pocierał załzawione oczy. - Chodź ze mną na lunch, drogi chłopcze, to ci wszystko opowiem.

Spojrzałem na zegarek. Była dwunasta trzydzieści.

- Dobrze, ale za chwilę. Muszę jeszcze nagrać mały „wywiad dla TV. Poszli po inny mikrofon, bo im się jeden zepsuł.

Roderyk Hodge oderwał się od stojącej pod oknem grupy kolegów i w towarzystwie niesłychanie zabawnie wyglądającej dziewczyny zaczął zbliżać się do nas. Jednocześnie wrócił Wenkins z drinkiem Konrada.

Dziennikarka, reprezentująca program telewizyjny dla pań, nie odznaczała się urodą, ale wyglądała dość oryginalnie: bardzo szczupła, o gęstych, kasztanowych lokach, w ogromnych okularach słonecznych w żółtej oprawie na nosie, ubrana była w wełniane ubranko w pomarańczowo-brązową kratę. Była jednak ogromnie sympatyczna, w przeciwnym wypadku robiłaby wrażenie postaci karykaturalnej. Konrad zlustrował ją fachowym wzrokiem wrażliwego na efekty kolorystyczne fotografa i z miejsca zdradził jej, że w ostatnich czasach zrobiliśmy razem cztery filmy.

- Jak pracuje się z panem Lincolnem? - zapytał Roderyk Konrada.

- To niedyskretne pytanie - przerwałem mu.

Ani Roderyk, ani Konrad nie zwrócili najmniejszej uwagi na mój protest. Konrad zasnurował usta, podniósł lewą rękę i zaczął obliczać na palcach.

- Cierpliwy, wytrzymały, punktualny, pracowity, a do tego purytanin - powiedział akcentując każde słowo. Potem zwrócił się do mnie i scenicznym szeptem dodał: - Dobrze mówię?

- Zgrywasz się - odpowiedziałem.

Jak było do przewidzenia, Roderyk zainteresował się ostatnim określeniem.

- Purytanin? - zawołał. - Co pan przez to rozumie? Konrad wyraźnie bawił się moim kosztem.

- No cóż, wszystkie jego partnerki skarżą się, że całuje je jak aktor, a nie jak mężczyzna.

Można się było bez trudu domyślić, jakie nagłówki rodzą się w mózgu Roderyka. Aż mu oczy zabłyśły.

- To wina moich synów - powiedziałem szybko.

- Jak to?

- Kiedy starszy zobaczył na ekranie, jak całowałem obcą panią, nie odezwał się do mnie przez tydzień. Roześmieli się.

Ale wtedy nie było mi wcale do śmiechu. Pele miał wówczas pięć lat i po tej historii zaczął znowu moczyć łóżko, płakał po nocach i trzeba go było zaprowadzić do psychologa, który oświadczył nam, że dzieciak boi się, że mu się rodzice rozejdą. Jego mały świat zaczął się chwiać w posadach, bo ojciec całował na ekranie obce kobiety, a w domu kłócił się z jego matką. Ponieważ działo się to wkrótce po wypadku z Libby, obawialiśmy się bardzo o stan

jego nerwów; nie powiedzieliśmy mu, że Libby zachorowała od tego, że upuścił ją na ziemię. Nie chcieliśmy obciążać dziecka tak wielką odpowiedzialnością, szczególnie, że nie zmieniliby to niczego, a świadomość winy mogłaby mieć fatalny wpływ na cały dalszy rozwój jego psychiki.

- Jak pan sobie z tym poradził? - zapytała z sympatią reporterka w kraciatym stroju.

- Zacząłem go zabierać na filmy grozy.

- Bujasz - przerwał mi Konrad.

Wenkins, który przed chwilą odszedł, żeby dla odmiany znów coś załatwić, powrócił szalenie zaaferowany. Krople potu rosły jego zmarszczone czoło. Zastanawiałem się mimochodem, jak ten człowiek żyje tutaj w czasie lata.

Triumfalnym gestem wręczył mi ręczny mikrofon, podłączony przy pomocy długiego drutu do stojącej w kącie aparatury. - No więc proszę... wszystko w porządku... - Patrzył nie wiadomo dlaczego niespokojnie to na mnie, to na reporterkę. - No już, Katinko... możesz chyba zaczynać.

Spojrzałem na Konrada i powiedziałem: - Wiesz, nauczyłem się wczoraj na wyścigach jednego słowa po afrykandersku. Możesz to też zrobić, podczas gdy ja będę nagrywał.

- Co to za słowo? - zapytał Konrad podejrzliwie.

- *Voetsek* - rzuciłem mimochodem.

Stojący dokoła nas ludzie rozstąpili się uprzejmie, *Voetsek* znaczy „wynoście się”. Kiedy mu to wytłumaczono, Konrad znowu zaczął rechotać.

- Gdyby tylko Evan mógł cię teraz zobaczyć! - zanosił się od śmiechu.

- Zapomnijmy na chwilę o Evanie.

Konrad położył rękę na ramieniu Roderyka. Odeszli razem, każdy rozbawiony z innego powodu.

W przesłoniętych ogromnymi, złotymi okularami oczach Katii pojawił się filuterny uśmiech. - I pomyśleć, że na lotnisku wszyscy twierdzili, że pan jest zupełnie nieprzystępny...

Spojrzałem na nią z ukosa.

- Może dlatego, że byłem bardzo zmęczony... Ma pani jakieś pytania?

- Te same, co wszyscy - odparła z lekko złośliwym uśmiechem.

- Gotowe, Katia! - krzyknął młody człowiek, ukryty za skomplikowaną aparaturą do nagrywania. - Czy możemy zacząć?

- Dobra. - Katia spojrzała w swój notatnik, a potem na mnie. Znajdowałem się w odległości około metra od niej. W jednej ręce trzymałem mikrofon, w drugiej szklankę.

Dziewczyna przechyliła kędzierzawą główkę, wbiła we mnie wzrok i zrobiła jeden długi krok naprzód. Stała tuż przy mnie tak, że prawie dotykaliśmy się.

- Tak chyba będzie dobrze. Musimy obydwójce mówić prosto do mikrofonu, bo inaczej ogólny hałas zagłuszy całą rozmowę. Na oko, jest to stary grat. Ale wie pan co? Może będzie lepiej, jak ja go potrzynam. Panu jest strasznie niewygodnie... - Zabrała mi mikrofon z ręki i zawołała: - Okej, Joe, jedziemy! Joe włączył aparaturę.

Katia zadrżała od stóp do głów, coś pchnęło ją i przegięło gwałtownie do tyłu, rzuciło w górę i powaliło na ziemię.

Zdawkowe rozmowy umilkły raptownie, wszystkie oczy zwróciły się ku porażonej dziewczynie, najpierw z zaciekawieniem, potem z niedowierzaniem, wreszcie z przerażeniem i grozą.

- Wyłączyć! - krzyknąłem. - Proszę wszystko wyłączyć! Natychmiast!

Roderyk dał dwa susy naprzód, pochylił się nad leżącą Katią i wyciągnął ręce, żeby pomóc jej wstać. Odepchnąłem go.

- Niech Joe natychmiast wyłączy mikrofon, bo pana też porazi prąd!

Joe podbiegł do nas z przerażoną miną.

- Już wszystko wyłączyłem! - krzyknął.

Zdawałoby się, że wszyscy razem i każdy z osobna powinni byli wiedzieć, jak zachować się w takiej sytuacji. Ale nie. Stali jak wryci i wpatrywali się we mnie jak w tęczę. Byłem dla nich widać wspaiałym bohaterem, którego tak dobrze znali z filmów. To on przecież zawsze decyduje o wszystkim.

O mój Boże!

Co za ludzie! Nie było jednak ani chwili do stracenia. Serce dziewczyny mogło się lada chwila zatrzymać.

Przyklęknałem, zdjąłem jej okulary, rozpiąłem bluzkę pod szyją, odchyliłem jej głowę, przytknąłem usta do jej ust i zacząłem wdmuchiwać powietrze w jej płuca.

- Zawołajcie lekarza - ocknął się wreszcie Roderyk. - I pogotowie... Jezus Maria... pospieszcie się...

Dmuchałem w jej usta rytmicznie, bez pośpiechu, w tempie normalnego oddechu. Jednocześnie rękami uciskałem jej żebra. Uciskałem i puszczałem, uciskałem i puszczałem.

Wiedziałem, że od porażenia prądem serce może się zatrzymać.

Szukałem pulsu dziewczyny w szyi, ale nie mogłem go znaleźć. Roderyk macał przegub jej ręki, ale i on nie mógł doszukać się pulsu. Na twarzy jego malował się wyraz rozpacz. Katia była dla niego widocznie nie tylko koleżanką z pracy.

Następne dwie minuty trwały co najmniej dwa tysiące lat. Roderyk przyłożył ucho do lewej piersi dziewczyny, ja pompowałem w nią własny oddech, ale w miarę jak mijały sekundy, rosła we mnie pewność, że to wszystko na nic, że Katia nie ożyje. Skóra jej nabrała trupiego koloru i była lodowato zimna.

To Roderyk usłyszał pierwsze uderzenie jej serca. Poznałem to natychmiast po wyrazie jego twarzy. Zaraz potem wyczułem palcami dwa słabe uderzenia pulsu, potem kilka szybszych, nieregularnych, a później - rzecz nie do wiary - powróciło mocne, rytmiczne bicie normalnie pracującego serca.

Roderyk uniósł głowę i zacisnął usta. Z wysiłkiem powstrzymywał łzy wzruszenia. Ale po chwili załamał się i zapłakał. Ukradkiem ocierał mokre policzki.

Udawałem, że tego nie widzę, bo przecież na pewno by tego nie chciał, ale jednocześnie obserwowałem go, obiecując sobie, że na pewno wykorzystam kiedyś tę jego reakcję emocjonalną do jakiejś roli. Bo aktorowi może się przydać każde przeżycie, każda obserwacja, nawet najbardziej intymna. Tak to już jest.

Nagle dziewczyna wzdrygnęła się i samodzielnie zaczerpnęła powietrza w płuca. Było to w momencie, kiedy ja wdychałem nosem, a że byliśmy połączeni ustami, miałem dziwne wrażenie, że wysysa ze mnie moje własne, potrzebne mi do życia, powietrze.

Oderwałem się od niej i wyprostowałem. Oddychała teraz samodzielnie, zrazu jeszcze dość spazmatycznie, ale już po chwili regularnie, krótkimi, świszczącymi haustami.

- Trzeba ją rozgrzać - powiedziałem do Roderyka. - Niech pan pobiegnie po jakieś koce.

Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. - Tak. Naturalnie. Koce.

- Ja polecę - odezwał się ktoś, przerywając w ten sposób pełną napięcia ciszę. Wszyscy nagle zaczęli się znowu poruszać i mówić. Przed chwilą byli jeszcze zmrożeni szokiem, teraz ogarnęło ich uczucie ulgi i przemożna potrzeba napicia się czegoś mocnego dla odzyskania pełnej równowagi.

Clifford Wenkins stanął nad wciąż jeszcze nieruchomą postacią leżącą na podłodze dziewczyny. Twarz miał szarą, jakby ulepioną z wilgotnej gliny. Spływały po niej wielkie krople potu. I przynajmniej raz brakło mu słów.

Konrad też, przynajmniej na razie, nie częstował nas tym swoim „drogi chłopcze”. Ale kiedy patrzyłem na jego nieruchomą twarz, wiedziałem, że i on bynajmniej nie jest przejęty losem dziewczyny, że podobnie jak ja, wchłania w siebie atmosferę, pilnie obserwuje sytuację okiem fachowca i zastanawia się nad tym, jak by to ujął, jaką taśmą i przy jakim świetle nakręcałby tę scenę.

W jakim momencie, myślałem, wykorzystywanie cudzego nieszczęścia dla celów zawodowych staje się grzechem?

Przyniesiono kilka koców. Drżącymi rękami Roderyk nakrył Katię i podsunął jej poduszkę pod głowę.

- Niech pan wie o tym, że jak ona przyjdzie do siebie, to może pana w pierwszej chwili nie poznać - powiedziałem mu.

Skinął głową. Policzki Katii zaczęły nabierać koloru. Nie wyglądała już jak nieżywa. Było właściwie po strachu.

Roderyk spojrzał nagle na mnie, potem na Katię, potem znowu na mnie. Zaczynał widać wracać do formy.

- Edward Lincoln - powiedział powoli, jak człowiek, który właśnie dokonał wielkiego odkrycia.

I w jego umyśle krystalizowała się widać podobna myśl, co w moim: czy wykorzystanie niemalże śmiertelnego wypadku własnej przyjaciółki dla celów zawodowych jest rzeczą etyczną?

Rozejrzałem się po sali. Roderyk także. Szeregi dziennikarzy wyraźnie się przerzedziły. Potem spojrzeliśmy po sobie. Wiedziałem, co mu chodzi po głowie. Koledzy pobiegli do telefonów, a on jest tu jedynym przedstawicielem „Rand Daily Star”.

Szybko rzucił okiem na Katię.

- Ona jest już chyba w porządku? - zapytał tak, jak gdybym był autorytetem w tych sprawach.

Zrobiłem nieokreślony ruch rękami, ale nie odpowiedziałem. Nie byłem całkiem pewny, czy Katia jest w porządku, czy nie. Zdawało mi się że serce jej stało nie dłużej niż trzy minuty, więc przy odrobinie szczęścia mózg nie powinien był doznać uszkodzeń z powodu braku tlenu. Ale cała moja znajomość medycyny ograniczała się do krótkiego kursu pierwszej pomocy sprzed wielu lat.

W Roderyku zwyciężył dziennikarz. Wstał energicznie i powiedział: - Mam do pana prośbę. Niech pan nie pozwoli, żeby ją zabrali do szpitala czy gdziekolwiek, zanim wrócę, dobrze?

- Postaram się - odparłem, a on ulotnił się błyskawicznie.

Technik imieniem Joe ostrożnie wyciągnął wtyczkę z gniazdka i starannie zwijał drut mikrofonu. - Nie miałem pojęcia, że są u nas jeszcze takie stare mikrofony - powiedział. - Zupełnie nie wiem, skąd się wziął... ale znalazłem go w skrzynce, jak tamten się zepsuł... nie

mogę sobie darować, że go włączyłem bez sprawdzenia... nie chciałem czekać, aż mi przysła inny ze studia... Zaraz go rozkręcę i wyrzucę, żeby nie mogło być więcej takich wypadków.

Konrad podszedł, stanął przy mnie i patrzył na Katię, która szybko wracała do siebie. Powieki jej drżały lekko, a ciało poruszało się spazmatycznie pod kocami.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, drogi chłopcze - odezwał się - że tuż przed wypadkiem ty trzymałeś ten mikrofon?

- Tak jest - odparłem obojętnie. - Oczywiście.

- Poza tym chciałbym wiedzieć, ile osób poza tobą na tej sali wiedziało, że jedynym ratunkiem dla osoby porażonej prądem jest natychmiastowe zastosowanie sztucznego oddychania? Jak myślisz?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- A ty wiedziałeś? Konrad westchnął.

- Drogi chłopcze, jesteś cynikiem. Ale jeżeli chodzi o ścisłość, to nie miałem o tym zielonego pojęcia.

Rozdział szósty

O czwartej po południu wynajętym Triumfem zajechał przed Iguanę Dan. Miał na sobie czerwoną koszulę z wyłożonym kołnierzykiem i szeroki uśmiech na opalonej twarzy.

Jako że spędziłem dobrą godzinę z Konradem w małym barku przy piwie i sandwiczu, powróciłem dopiero niedawno do hotelu. Katię zabrano do szpitala, a zdenerwowany Roderyk pojechał za nią. Pozostali dziennikarze prawdopodobnie bębniłi w tej chwili namiętnie w klawisze maszyn do pisania. Clifford Wenkins zniknął w pewnym momencie, a kiedy wychodziliśmy z gmachu, zauważyliśmy go w budce telefonicznej mówiącego coś z poważną miną w słuchawkę. Zapewne zdawał sprawozdanie z przebiegu przedpołudnia kierownictwu firmy Worldic. Zrozumiałem, że sprawa jest beznadziejna. Szansa uniknięcia rozgłosu równała się mniej więcej prawdopodobieństwu przeżycia burzy śnieżnej przez małego motylka.

Wjechaliśmy na zbudowaną na estakadzie szosę obwodową o dźwięcznej nazwie Sir de Villiers Graaf Road - istne błogosławieństwo dla mieszkańców miasta, gdyż dzięki niej cały ruch przelotowy odbywał się nad ich głowami. Dan ani na chwilę nie przestawał zabawiać mnie rozmową.

- Nawet sobie nie wyobrażam Johannesburga przed zbudowaniem tej szosy - mówił. - W centrum miasta mimo to wciąż tworzą się korki, a o parkowaniu w ogóle nie ma mowy...

- Dawno pan tu przyjechał?

- Skąd? Dopiero przed kilkoma dniami. Ale byłem tu już przedtem, a w ogóle to wystarczy dwadzieścia minut, żeby się zorientować, że wszystkie parkingi są permanentnie zatłkane, a zatrzymać się można w najlepszym wypadku o pół kilometra od miejsca, do którego się jedzie.

Prowadził sprawnie i spokojnie po - dla niego, oczywiście - niewłaściwej stronie szosy.

- Arknold mieszka niedaleko Turffontain - powiedział. - Za chwilę zjedziemy z obwodówki... czy ten napis oznacza wyjazd na Eloff Street?

- Chyba tak - potwierdziłem.

- Świetnie. - Skręcił, zjechaliśmy z szosy M.1 i minęliśmy kilka boisk footballowych i sztucznych ślizgawek.

- Ta dzielnica nazywa się Wembley - tłumaczył mi Dan. - Za chwilę będzie jezioro Wemmer Pan, po którym jeździ się łódkami. Mają tam wodne organy, a na samym środku kolorową fontannę.

- Był pan tam?

- Nie... Wiem to od Arknolda. Mówił, że wyławiają stamtąd bardzo często zwłoki ludzkie, ciała bez głów i takie różne.

- To miło. Uśmiechnął się.

Przed wjazdem do Turffontain Dan skręcił w boczną nie brukowaną drogę, pokrytą grubą warstwą kurzu.

- Od pięciu miesięcy nie spadła tu jedna kropla deszczu. Panuje straszna susza - powiedział.

Trawa była ruda, ale spodziewałem się, że tak będzie. Ze zdumieniem dowiedziałem się od niego, że za miesiąc, kiedy nastanie pora deszczowa, będzie tu kolorowo, zielono i żyźnie.

- Szkoda, że pan wyjedzie, zanim zakwitną dzattarandy. To piękne drzewa.

- A pan je widział?

- Właściwie to nie. Kiedy byłem poprzednim razem, też jeszcze nie kwitły. Ale Greville mi o nich opowiadał.

- Rozumiem.

- No, to jesteśmy.

Przejechał pomiędzy dwoma słupami z czerwonej cegły i na wysypaną żwirem drogę, która prowadziła prosto do stajni. Budynek wyglądał zupełnie tak, jak gdyby go przeniesiono prosto z Anglii.

Sam Arknold czekał na nas na dziedzińcu, gdzie rozmawiał z czarnym Afrykaninem, imieniem Barty, którego przedstawił nam jako swojego koniuszego. Był to dobrze zbudowany, muskularny mężczyzna, lat około trzydziestu, o grubym karku i zimnym, ponurym wzroku. Jest to pierwszy spotkany przez mnie czarny Afrykanin - pomyślałem z lekkim zdziwieniem - który nie ma pogodnego wyrazu twarzy.

Był jednakże uprzejmy. Z Danem przywitał się swobodnie, jak z dobrym znajomym.

Arknold oświadczył, że wszystko jest gotowe, i bez dalszych wstępów poszliśmy do stajni. Jego konie były podobne do tych, jakie widziałem w Newmarket: bardziej nerwowe i nie tak mocno zbudowane jak nasze, angielskie.

Konie Nerissy nie różniły się w niczym od innych w tej stajni. Wyglądały zdrowo, miały piękne pęciny, błyszczące oczy; nie stały osobno, były rozlokowane wśród innych koni. Ogiery w jednym pomieszczeniu, klacze w innym.

Wszyscy bez wyjątku chłopcy pracujący tutaj byli młodzi i czarni. Jak ich koledzy na całym świecie, odnosili się do swoich koni z czymś w rodzaju zaborczej dumy. Spostrzegłem jednakże, że są w napięciu. Na mnie reagowali uśmiechem, do Arknolda odnosili się z szacunkiem, ale do Barty'ego z nie ukrywanym lękiem.

Nie mogłem się zorientować, czego się boją. Być może, że miał nad nimi władzę, wynikającą z układów plemiennych - nigdy się nie dowiedziałem prawdy, ale trudno było nie zauważyć, że kiedy się do nich zbliżał, w ich oczach budził się strach. Panowała tu większa dyscyplina niż w jakiegokolwiek angielskiej stajni.

Przypomniałem sobie żelazną rękę mojego ojca. Kiedy rzucał rozkaz, chłopcy stajenni wykonywali go niemal biegiem, terminatorzy krzatali się jak w ukropie, ja sam też nie odważyłbym się zwlekać z wykonaniem najbłahszego polecenia. Ale przecież nie baliśmy się go tak jak ci chłopcy Barty'ego.

Spojrzałem na koniuszego i przeszły mnie ciarki. Nie chciałem być jego pracownikiem. Los stajennych Arknolda nie był do pozazdroszczenia.

- To „Orzeł” - oświadczył Arknold, kiedy zbliżyliśmy się do boksu, w którym stał młody gniadosz. - Jeden z koni pani Cavesey. Biegnie w sobotę w Germiston.

- Może się tam wybiorę - powiedziałem.

- Świetnie ->- ucieszył się Dan.

Arknold skinął głową ze znacznie mniejszym entuzjazmem i powiedział, że załatwi mi bilet wstępu, który będę sobie mógł odebrać przy wejściu.

Weszliśmy do boksu i, jak nakazuje obyczaj, obejrzelśmy konia bardzo dokładnie. Arknold zaczął porównywać jego dzisiejszą kondycję z wczorajszą, a ja łamałem sobie głowę nad tym, co powiedzieć, żeby nie obrazić jego zawodowej dumy.

- Piękny kłęb - zauważyłem. - Dobrze rozwinięta klatka piersiowa. - „Łeb ma trochę szcurzy” - dodałem w myślach.

Arknold wzruszył ramionami.

- Spędził cały sezon zimowy w Nataiu. Co roku przenoszę tam całą moją stajnię na trzy miesiące. Do Summerveld.

- Gdzie leży Summerveld? - zainteresowałem się.

- Raczej należałoby zapytać, co to jest Summerveld - odparł. - Jest to spory teren, na którym znajduje się zespół stajen. W sumie około ośmiuset koni. Moje stajnie są, ściśle mówiąc, w Szongweni, niedaleko Durbanu. Wynajmujemy kilka budynków na sezon zimowy. Jest tam wszystko, czego dusza zapagnie. Świetne tereny treningowe, restauracje, pomieszczenia dla chłopców. Znajduje się tam także szkoła dżokejów i stajennych.

- A mimo to nie wiodło wam się zbyt dobrze w tym roku - zauważyłem ze współczuciem.

- No nie. Wygraliśmy kilka wyścigów. Tylko konie pani Cavesey nie miały szczęścia... Szczerze mówiąc, jestem tym poważnie skłopotany. Tyle ich jest, a żaden nie wygrywa. To mi psuje renomę. Sam pan rozumie.

Rozumiałem to doskonale. Wydawało mi się jednak, że mówi o tym dość obojętnie.

- Weźmy chociażby tego „Orła” - Arknold poklepywał gniadosza po zadzie. - Jego pochodzenie i trening predysponowały go, moim zdaniem, do zwycięstwa w wyścigu o puchar Hollisa w czerwcu... to jeden z najpoważniejszych tutejszych wyścigów dwulatków... No i co? Zachował się dokładnie tak samo jak Chunk w Newmarket. Sam pań widział. Na pięćset metrów przed metą zaczął puchnąć, a na finiszu był zupełnie wykończony.

A mógłbym przysiąc, że był w nie gorszej formie niż wszystkie inne konie, które brały udział w tej gonitwie.

Skinął na chłopca, który trzymał uzdę gniadosza, a my wyszliśmy z boksu. Podeszliśmy do innego konia Nerissy, który najwyraźniej budził w Arknoldzie jeszcze większe zastrzeżenia.

- Niech pan na niego popatrzy. Nazywa się „Medyk”. Myślałem, że będziemy mieli z niego prawdziwą pociechę. Byłem pewny, że wygra lipcowy bieg z przeszkodami w Natalu, ale w końcu go tam nawet nie posłałem. Bo przedtem poniósł cztery haniebne porażki.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jego złość nie jest zupełnie szczerą. Ciekawe - pomyślałem. Niewątpliwie był skłopotany tym, że wszystkie konie Nerissy tak źle się spisują, ale jednocześnie zdawało mi się, że wie, dlaczego tak się dzieje, więcej, że sam się do tego przyczynia.

Przeszliśmy całą stajnię. Towarzyszył nam Barty, który wskazującym palcem wytykał kolejnym zastraszoną chłopcom takie czy imię usterki. Wreszcie Arknold zaprosił nas do siebie na drinka.

- Wszystkie konie pani Cavesey to obecnie trzylatki - powiedział. - W Anglii rocznik konia zmienia się 1 stycznia, a tutaj 1 sierpnia.

- Wiem - odparłem.

- Nie ma tu żadnych ciekawszych wyścigów w sierpniu. W każdym razie nic, co by mogło pana zainteresować.

- Mnie tu wszystko bardzo interesuje - przyznałem. - Czy pan zamierza w dalszym ciągu trzymać konie pani Cavesey?

- Dopóki mi płaci.

- A gdyby postanowiła je sprzedać?

- Niewiele by teraz za nie dostała.

- Gdyby się jednak zdecydowała, czy pan by je kupił?

Nie odpowiedział mi natychmiast, ponieważ właśnie wprowadzał nas do swojego biura. Był to niemal kwadratowy pokój, zastawiony półkami, szafkami i twardymi krzesłami. Widocznie Arknold nie chciał swoim gościom zbyt umilać pobytu u siebie, bo mu zabierali zbyt wiele czasu.

Powtórzyłem pytanie, co najwyraźniej go zirytowało.

- Panie kochany! - warknął. - Po co te aluzje? Chce pan powiedzieć, że robię coś, żeby te konie przegrywały po to żeby je tanio kupić, podciągnąć, a potem sprzedać na reproduktorów. Tak czy nie?.

- Nic podobnego nie powiedziałem.

- Ale tak pan myśli.

- No cóż - przyznałem - nie jest to w końcu wykluczone. Gdyby pan przyglądał się temu z boku, obiektywnie, też by się to panu nasunęło, no nie?

Był zły, ale powoli uspokajał się. Dałbym dużo za to, żeby wiedzieć, czy rozzłościł się, ponieważ go obraziłem, czy też dlatego, że okazałem się zbyt domyślny.

Dan, który towarzyszył nam przez cały czas i rzucał miłe słówka na prawo i lewo, teraz usiłował uspokoić wzburzonego trenera.

- Daj spokój, Greville, on cię przecież nie chciał obrazić.

Arknold rzucił mi kwaśne spojrzenie.

- No przecież ci mówię. Ciotka Nerissa poprosiła go, żeby się zorientował w sytuacji. Nie można jej się dziwić. W końcu pakuje kupę forsy w te kiepskie konie.

Arknold zmiękł, przynajmniej pozornie, i nalał nam po drinku. Dan odetchnął z ulgą, uśmiechnął się i w kółko powtarzał, że nie powinniśmy się na siebie boczyć.

Popijałem powoli i przyglądałem się uważnie obydwu moim rozmówcom. Śliczny złoty młodzieniec i przysadzisty, ponury facet w średnim wieku. Oni także pili i też obserwowali mnie ukradkiem.

Mimo największych wysiłków nie potrafiłem się domyślić, co się dzieje w ich głowach.

W Iguana Rock Hotel zastałem liścik przyniesiony przez posłańca. Otworzyłem go stojąc w otwartym oknie mojego pokoju. Przede mną ciągnął się widok na ogrody i korty tenisowe, a dalej na rozległy pejzaż afrykański. Zapadał zmierzch, ściemniało się, ale jeszcze bez trudu odczytałem list, pisany wyraźnym, energicznym charakterem pisma.

Drogi Panie,

Otrzymałem depesze od Nerissy Cavesey, która prosi, żebyśmy Pana zaprosili do naszego domu. Moja żona i ja bylibyśmy niezmiernie radzi, gdyby zechciał Pan nas odwiedzić w czasie swojego pobytu w naszym kraju.

Nerissa jest siostrą Porcji, mojej nieboszczki bratowej, a także naszą serdeczną przyjaciółką, i bywała u nas często w czasie swoich wizyt w tym kraju. Wspominam o tym dlatego, że pan Clifford Wenkins z firmy Worldic Cinemas oświadczył mi, że nie zamierza Pan, niestety, przyjmować żadnych prywatnych zaproszeń.

Łączę wyrazy poważania *Quentin van Hurej*

Za uprzejmym, ale sztywnym stylem tego liściku kryła się wyraźna irytacja. Wynikało z niego niedwuznacznie, że panu van Hurenowi chodzi nie tyle o mnie, co o Neriszę, a beznadziejnie nietaktowny Clifford Wenkins też na pewno zniechęcił go do zajmowania się moją osobą.

Podszedłem do telefonu i kazałem się połączyć z numerem, figurującym pod adresem nadawcy:

W słuchawce odezwał się ktoś niewątpliwie murzyńskim akcentem i oświadczył, że zobaczy, czy pan van Huren jest w domu.

Po chwili okazało się, że pan van Huren jest.

- Dzwonię do pana - powiedziałem - żeby podziękować za miły list. Z wielką przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie na kolację.

Ja też w końcu potrafię być przesadnie uprzejmy. Głos pana van Hurena był równie stanowczy,- co jego charakter pisma, i także pełen rezerwy.

- Doskonale - powiedział niezbyt serdecznie. - Zawsze z przyjemnością spełniamy wszelkie życzenia Nerissy.

- Oczywiście - odparłem.

Nastąpiła pauza. Rozmowa nie była błyskotliwa, to fakt.

- Zostaję do przyszłej środy - powiedziałem, żeby mu ułatwić sytuację.

- Doskonale. Świetnie. Ale ja wyjeżdżam niestety na cały przyszły tydzień, a sobota i niedziela wieczór są już zajęte.

- - Bardzo pana proszę, niech pan się o mnie nie kłopotuje.

Odchrząknął. - A może... - zaczął. - Czy jest pan wolny jutro wieczorem? A czy przypadkiem nie mógłby pan przyjść dzisiaj? Mieszkamy bardzo niedaleko hotelu Iguana Rock... Chyba, że jest pan już umówiony.

Jutro rano - pomyślałem - prasa pełna będzie opisów mojej przygody z przyjaciółką Roderyka Hodge'a. Poza tym do jutra wieczór pani van Huren zdąży zaprosić masę osób, a na to nie mam najmniejszej ochoty. Zresztą jestem już umówiony z Konradem. Chociaż jego mógłbym przesunąć na inny wieczór.

- Jeżeli to państwu naprawdę nie robi różnicy - powiedziałem więc - to najchętniej przyszedłbym jeszcze dzisiaj.

- Doskonale. Powiedzmy więc o ósmej. Przyślę po pana samochód.

Odłożyłem słuchawkę. Trochę żałowałem, że zgodziłem się na tę wizytę, szczególnie że entuzjazm pana van Hurena był co najmniej umiarkowany. Jednakże nie miałem właściwie nic lepszego do roboty. Mogłem albo zjeść kolację w restauracji hotelowej i być przedmiotem ukradkowych spojrzeń pozostałych gości, albo spędzić wieczór samotnie w pokoju na rozmyślaniach o Kit i dzieciakach.

Samochód van Hurenów zawiózł mnie przed duży, stary dom, od którego wprost ciągnęło miłym zapachem pieniędzy i to od samego marmurowego progu. Hall był ogromny, wysoko sklepiony, okolony zgrabną kolumnadą; przypominał małe placyki włoskich miast.

.Van Hurenowie pojawili się w szerokich drzwiach i wyszli mi na spotkanie.

- Quentin van Huren - przedstawił się gospodarz - a to moja żona, Vivi.

- Bardzo mi miło - odparłem uprzejmie. Uścisnęliśmy sobie ręce. Nastąpiła mała pauza.

- Tak więc... - chrząknął van Huren i lekko wzruszył ramionami. - Może pan pozwoli.

Skierowałem się za nimi do pokoju, z którego przedtem wyszli. Było tam znacznie jaśniej niż w hallu i mogłem się uważniej przyjrzeć van Hurenowi. Robił wrażenie człowieka poważnego, solidnego, fachowego, doświadczonego i obdarzonego autorytetem. Fachowość i solidność to cechy, które szanuję, więc od razu mi się spodobał. Nie byłem” jednak pewny, czy odwzajemnia moje uczucia.

Żona jego Vivi, była zupełnie inna: elegancka, dobrze ubrana, ale znacznie mniej interesująca”.

- Niechże pan siądzie, drogi panie - odezwała się. - Miło nam, że znalazł pan dla nas czas. Nerissa jest naszą bardzo serdeczną przyjaciółką...

Miała zimny wzrok i starannie wystudiowane maniery. W głosie jej było mniej ciepła niż w jej słowach.

- Whisky? - zapytał van Huren.

- Chętnie - odparłem, po czym wręczono mi dużą szklankę wody z dodatkiem stołowej łyżki whisky.

- Przykro mi, ale nie widziałem żadnego z pańskich filmów - powiedział van Huren bez cienia przykrości w głosie, a żona jego dodała: - My niezmiernie rzadko bywamy w kinie.

- I słusznie - odpowiedziałem obojętnym tonem, tak że nie bardzo wiedzieli, jak zareagować.

Na ogół wolę mieć do czynienia z ludźmi, którzy mnie nie doceniają, niż z cmokierami, bo w stosunku do tych pierwszych nie mam żadnych obowiązków.

- Czy Nerissa pisała państwu o tym, że jest... chora? - zapytałem.

Oboje usadowili się bez pośpiechu w fotelach. Van Huren zajął się odsuwaniem jakiejś poduszczyki, która mu wyraźnie przeszkadzała, i nie patrząc na mnie, odparł: - W jednym z listów sprzed kilku tygodni wspomniała o tym, że cierpi na jakąś chorobę gruczołów.

- Nerissa jest umierająca - powiedziałem brutalnie. Po raz pierwszy tego wieczoru okazali zainteresowanie. Zapomnieli o mnie i zaczęli myśleć o Nerissie. Na ich twarzach odmalowało się uczucie autentycznego przerażenia i prawdziwego żalu.

- Czy to jest pewne? - zapytał van Huren. Skinąłem potakująco głową.

- Wiem to od niej samej. Powiedziała mi, że pozostał jej miesiąc, najwyżej dwa miesiące życia.

- Trudno w to uwierzyć - wyrzucił z siebie van Huren. - Nerissa jest tak pełna życia, taka wesoła, taka energiczna.

- To niemożliwe - szepnęła jego żona. Przypomniała mi się Nerissa, jaką pamiętałem z mojej ostatniej wizyty: blada, chuda, wyniszczona chorobą.

- Martwi się o te swoje tutejsze konie - powiedziałem. - Te, które odziedziczyła po Porcji.

Ale oni nie mieli ochoty na rozmowę o koniach. Van Huren potrząsnął głową, wepchnął sobie tę poduszczkę pod plecy i zaczął się intensywnie wpatrywać w sufit. Był to doskonale zbudowany mężczyzna, lat około pięćdziesięciu, o lekko siwiejących skroniach. Miał dość wydatny nos, z garbkiem, ale niezbyt długi, pełne, ładnie zarysowane usta i starannie utrzymane paznokcie. A na sobie doskonale skrojone ciemnoszare ubranie.

Nagle drzwi od hallu otworzyły się i do salonu weszła dziewczyna w towarzystwie młodego chłopca. Było między nimi duże podobieństwo. Rozmawiali z ożywieniem. Chłopiec miał około dwudziestu lat. Wyglądał na takiego, co to jest może nawet zbuntowany i niezbyt zadowolony ze stanu świata, ale nie do tego stopnia, żeby wyrzec się luksusowego życia w rodzinnym domu. Dziewczyna mogła mieć piętnaście lat i robiła wrażenie nieskomplikowanej i bardzo bezpośredniej istoty, której jakikolwiek bunt nawet jeszcze na myśl nie przyszedł.

- O przepraszam! - zawołała. - Nie wiedziałam, że mamy gościa.

Podeszła do mnie. Miała na sobie dzinsy i jasnożółtą - koszulkę. Brat jej ubrany był niemal identycznie.

- Mój syn, Jonatan - przedstawił go van Huren - a to moja córka, Sally...

Wstałem i podałem dziewczynie rękę.

- Czy mówiono panu już kiedyś, że jest pan szalenie podobny do Edwarda Lincolna? - uśmiechnęła się.

- Owszem - odparłem. - To właśnie ja.

- Pan?

- Tak, ja.

- No naturalnie! - przyjrzała mi się uważnie. - Naturalnie! Mój ty Boże! To naprawdę pan! - A po chwili dodała ostrożnie, jak gdyby się bała, że z niej zakpiłem: - A więc to na pewno pan Lincoln?

- Pan Lincoln - zapewnił ją ojciec - jest przyjacielem pani Cavesey.

- Cioci Nerissy? Przecież pamiętam. Opowiadała nam kiedyś, że pana bardzo dobrze zna... Ona jest strasznie miła, prawda?

- Prawda - zgodziłem się i usiadłem.

Jonatan patrzył na mnie chłodnym i beznamiętnym wzrokiem..

- Ja nie chodzę na tego rodzaju filmy, jak pańskie - oświadczył.

Uśmiechnąłem się, ale nie odpowiedziałem. Byłem przyzwyczajony do takich uwag ze strony pewnego typu osób. Słyszałem je co najmniej raz na tydzień. Doświadczenie nauczyło mnie, że najlepszą odpowiedzią jest milczenie.

- A ja odwrotnie! - zawołała Sally. - Znam prawie wszystkie! Proszę mi powiedzieć, czy w „Szpiegu, który przemierzał kraj”, sam pan jeździł konno? Tak było na afiszach.

Skinąłem potakująco głową. Sally bacznie patrzyła na mnie.

- Jeździł pan bez munsztuka. A nie byłoby łatwiej, gdyby mu pan go założył?

Roześmiałem się mimo woli.

- No, nie założyłem. Wprawdzie ze scenariusza wynikało, że koń ma miękki pysk, ale ten, którego mi dali, miał wyjątkowo twardy.

- Sally świetnie jeździ - odezwała się jej matka. - Dostała pierwszą nagrodę na wielkanocnych zawodach juniorów.

- Puchar Rezedowej Rify - dodała Sally.

Nazwa ta nic mi nie mówiła, ale wszyscy obecni najwidoczniej w świecie spodziewali się, że zrobi ona na mnie wielkie wrażenie. Wpatrywali się we mnie wyczekująco, aż Jonatan przerwał milczenie oświadczając: - To nazwa naszej kopalni złota.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że państwo posiadają kopalnię złota. - Powiedziałem to prawie takim samym tonem, jakim zarówno ojciec, jak i syn stwierdzili, że nie znają żadnego z moich filmów. Quentin van Huren zorientował się z miejsca. Spojrzał na mnie, a ja uśmiechnąłem się w duchu, co zapewne odbiło się w wyrazie moich oczu.

- Rozumiem - powiedział van Huren. - A może miałby pan ochotę zobaczyć, jak taka kopalnia wygląda?

Po zdumionymi spojrzeniami pozostałych członków rodziny zorientowałem się, że zaproszenie to było równie zaskakujące, jak to, że ja, z własnej, nieprzymuszonej woli zaproponowałem dziennikarzom konferencję prasową.

- Sprawiliby mi to wielką przyjemność - zapewniłem go. - Naprawdę.

- W poniedziałek rano lecę do Welkom - oświadczył. - To jest właśnie do miejscowości, w której znajduje się nasza kopalnia... zostaję tam na cały tydzień, ale pan może polecieć ze mną z rana i na wieczór wrócić.

Powtórzyłem, że chętnie się zgadzam.

Kiedy kolacja się skończyła, nasze stosunki były do tego stopnia przyjacielskie, że państwo van Hurenowie i Sally postanowili pojechać w niedzielę do Germiston, żeby

zobaczyć, jak będą biegały konie Nerissy. Tylko Jonatan oświadczył, że ma ważniejszą sprawę na głowie.

- Na przykład? - zapytała go Sally z ironią. Jonatan jednak nie odpowiedział na to pytanie.

Rozdział siódmy

Piątek okazał się dniem pozbawionym ciekawszych wiadomości ze świata, w związku z czym prasa poświęciła niezwykle dużo miejsca przykremu wypadkowi Katii. Rzadko się zdarza, żeby dziennikarze uczestniczyli w takim spektaklu, toteż przygoda reporterki znalazła się na pierwszych stronach gazet.

Jedna z nich sugerowała nawet, że cała ta historia była zainscenizowana dla reklamy, tyle że w ostatniej chwili coś nie wyszło. Jednakże jeszcze w tym samym artykule podejrzenie to zostało obalone.

Czytając ten artykuł zastanawiałem się, ilu czytelników uwierzy w pierwszą wersję. Sam zresztą nie znałem prawdy - szczególnie że pamiętałem figlarny uśmiezek dziewczyny i nie byłem pewny, czy to ona nie jest przypadkiem autorką tej mistyfikacji. Oczywiście z pomocą Roderyka.

Nie posunęłaby się jednak aż tak daleko, żeby zaryzykować własne życie. Chyba że nie zdawała sobie sprawy z tego, co jej grozi.

Zabrałem się do czytania dziennika „Rand Daily Star”, żeby zobaczyć, jak wygląda przekazana im przez Hodge’a informacja. Okazało się, że to on sam napisał cały artykuł na ten temat. Nagłówek brzmiał: „Nasz reporter Roderyk Hodge był naocznym świadkiem”. Mimo emocjonalnego zaangażowania autora, rzecz napisana była nawet dość spokojnym tonem, ale i Roderyk podkreślił, może nawet silniej niż inni reporterzy, że gdyby Katia w ostatniej chwili nie wyjęła mi mikrofonu z ręki, ja stałbym się ofiarą porażenia.

Roderyk wolałby zapewne taką ewentualność, przede wszystkim chyba dlatego, że sensacja byłaby większa, a zresztą, kto go tam wie, pomyślałem.

Uśmiechając się kwaśno doczytałem do końca. Katia, jak donosił jej wielbiciel, spędziła noc w szpitalu, ale już czuła się dobrze.

Odłożyłem gazetę, wziąłem prysznic, ogoliłem się i w czasie wykonywania tych czynności doszedłem do dwóch wniosków. Po pierwsze, że jak dotąd niczego nie odkryłem, a po drugie, że teraz będzie mi chyba jeszcze trudniej wytłumaczyć Nerissie, dlaczego mogę jej ofiarować jedynie domysły, ale żadnych faktów.

Na dole, w recepcji, poprosiłem, „żeby mi załatwiono przejażdżkę konną na jakimś przyjemnym terenie jeździeckim i przygotowano koszyk z prowiantem. - Z przyjemnością -

oświadczył portier i natychmiast zabrał się do wykonywania moich zadań. Po dwóch godzinach znajdowałem się już o czterdzieści kilometrów na północ od Johannesburga, na grzbiecie emerytowanego konia wyścigowego, który zapewne pamiętał lepsze dni, i głęboko wdychając wspaniałe łagodne powietrze, ruszałem w drogę. Właściciele konia uparli się, żeby mi towarzyszył ich koniuszy, gdyż bali się, żebym nie zabłądził. Ale ponieważ człowiek ten nie znał prawie angielskiego, a moja znajomość Bantu była żadna, obecność jego wcale mi nie przeszkadzała. Nazywał się George, był doskonałym jeźdźcem, a z ust jego nie schodził zabawny szeroki uśmiech w kształcie banana.

Dojechaliśmy do skrzyżowania, przy którym ustawiony był kiosk z pięknymi pomarańczami i ananasami, obsługiwany przez sympatycznie wyglądającego sprzedawcę.

- *Naartjies* - oświadczył George.

Wzruszyłem ramionami na znak, że nie rozumiem. Przywilejem aktora jest przynajmniej to, że potrafi wyrazić swoje uczucia bez słów, co mu się nawet od czasu do czasu może przydać.

- *Naartjies* - powtórzył George, zszedł z konia i wzięwszy go za uzdę, podszedł do kiosku. Zrozumiałem, że ma ochotę na pomarańcze, więc przywołałem go i wręczyłem mu banknot pięciorandowy. Podziękował uśmiechem, szybko załatwił sprawę i powrócił z siatką pełną *naartjies*, dwoma dojrzałymi ananasami i większą częścią sumy, jaką mu dałem.

Ruszyliśmy w dalszą drogę z uczuciem wzajemnej sympatii, zatrzymaliśmy się na odpoczynek w cieniu, zjedliśmy po ananasie, podzieliliśmy się zimnym kurczakiem z mojego koszyka i napiliśmy się orzeźwiającego, niesłodzonego soku jabłkowego. *Naartjies* były doskonałe. Wyglądały jak duże mandarynki i miały grubą, zielono nakrapianą skórkę; smakiem także przypominały mandarynki, ale były lepsze.

Murzyn usiadł w odległości dobrych piętnastu kroków ode mnie. Przywoływałem go gestem, ale nie chciał się zbliżyć.

Po posiłku jeździliśmy kłusem i krótkim galopem przez pola obrosnięte szorstką, brunatną trawą, dopiero zbliżając się do domu zwolniliśmy, żeby dać koniom ochłonąć. Okazało się, że wracamy od drugiej strony, a więc zatoczyliśmy koło.

Za niemal cały dzień jazdy zapłaciłem dziesięć randów, mimo że, moim zdaniem, wart był z tysiąc. Dałem George'owi pięć randów napiwku, chociaż właściciel stajni szepnął mi, że jest to stanowczo za dużo. Murzyn, uśmiechając się od ucha do ucha, wręczył mi na pożegnanie siatkę napelnioną pomarańczami. Kiedy się oddalałem, on i właściciel stajni długo machali mi rękami na pożegnanie. Ach, gdyby życie mogło być zawsze równie nieskomplikowane, równie naturalne i proste!

Ale zaraz potem zmieniłem zdanie. Bo w głębi duszy wiedziałem przecież, że w takim układzie zanudziłbym się na śmierć.

Konrad zjawił się w Iguanie wcześniej niż ja.

Czekał na mnie w hallu hotelowym, a kiedy wszedłem, zlustrował mnie od stóp do głów. Byłem zakurzony i spocony, a w ręku trzymałem siatkę z owocami.

- Gdzieżeś ty był, na Boga, drogi chłopcze? - zapytał.

- Na konnej przejażdżce.

- Szkoda, że nie mam przy sobie kamery - zawołał. - Wyglądasz jak cygan... ustawiony jesteś wspaniale... światło z tyłu... no i te pomarańcze... muszę to jakoś wykorzystać w naszym następnym filmie... nie można zmarnować takiej sytuacji...

- Przyszedłeś za wcześnie - przerwałem mu.

- Poczekam na dole... zresztą obojętne gdzie.

- Nie. Chodź na górę. Muszę się przebrać. Pojechał więc ze mną do mojego pokoju i od razu usadowił się w najwygodniejszym fotelu.

- Zjedz sobie *naartjie* - zaproponowałem.

- Wolałbym Martini, drogi chłopcze.

- To zamów.

Zadzwoił do baru, a kiedy przyniesiono mu drinka, byłem już pod prysznicem. Wytarłem się szorstkim ręcznikiem, powróciłem do pokoju w kalesonach i zastałem go palącego cygaro iście churchillowskich rozmiarów. Zalaatywało plutokracją i charakterystyczną wonią dobrego londyńskiego klubu. Konrad przeglądał stos ułożonych na stoliku gazet porannych, po czym odkładał je starannie na miejsce.

- Już to wszystko z rana przeczytałem - powie dział. - Jak się czujesz w roli prawdziwego bohatera?

- Nie bądź śmieszny. To żadne bohaterstwo. Po prostu pierwsza pomoc.

Uśmiechnął się, ale zmienił temat.

- Powiedz mi, stary, co ci wpadło do głowy, żeby akurat tu zjawić się na premierze? Przez tyle lat migaleś się jak mogłeś od takich występów.

- Mam tu i tak coś do załatwienia - oświadczyłem i opowiedziałem mu o koniach Nerissy.

- Teraz zaczynam coś niecoś rozumieć, drogi chłopcze. No i co? Czy zorientowałeś się już, w czym rzecz?

Wzruszyłem ramionami.

- Jeszcze nie. I obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie.

Wyjąłem czystą koszulę z szuflady i zacząłem ją nakładać.

- Jutro jadę na wyścigi do Germiston i może coś zauważę, ale wydaje mi się, że pan Arknold nie jest człowiekiem, który da się przyłapać na gorącym uczynku.

Naciągnąłem granatowe spodnie, także skarpetki, a na nogi założyłem mokasyny.

- Ale co ty i Evan tu robicie?

- Film oczywiście. Cóż by innego?

- Jaki film?

- On przygotowuje jakąś ponurą historię o słoniach, którą sobie sam wymyślił. Miał to na warsztacie, jeszcze zanim zwrócono się do niego, żeby skończył „Człowieka w samochodzie”, no a że przeciągnął zdjęcia w Hiszpanii, więc opóźnił się także nasz wyjazd do Afryki. Powinniśmy właściwie już dawno być w rezerwacie Krugera.

Szczotkowałem sobie starannie włosy.

- Kto zagra główną rolę?

- Drix Goddard.

Spojrzałem na Konrada przez ramię. Uśmiechał się sarkastycznie.

- Goddard to wosk w rękach Evana, drogi chłopcze. Wykonuje każdy rozkaz jak dobrze wytresowany piesek.

- To pewnie wszyscy są zadowoleni.

- Ten facet jest taki znerwicowany, że trzeba mu co pięć minut mówić, jaki jest genialny, bo inaczej skarży się, że go nikt nie kocha.

- Przyjechał z wami?

- Na szczęście nie. Z początku miał się z nami zabrać, ale później coś mu weszło w paradę, więc zjawi się razem z resztą ekipy, dopiero kiedy Evan i ja wytypujemy wszystkie plenery.

Odłożyłem szczotki i zacząłem nakładać zegarek na rękę. Klucze, drobne, chusteczkę do nosa włożyłem do bocznej kieszeni spodni.

- Czy obejrzałeś sobie przed wyjazdem z Anglii sceny w samochodzie, które nakręciliśmy w Hiszpanii?

- Nie - odparłem. - Evan mi nawet nie proponował.

- To do niego podobne. - Konrad dopił swego drinka, a potem uważnie obejrzał długą kolumnę popiołu na końcu swojej minitorpedy.

- Te sceny wyszły fenomenalnie - oświadczył.

- Nic dziwnego. Powtarzaliśmy każdą sekwencję sto razy.

Uśmiechał się, ale nie patrzył mi w oczy.

- Nie wiem, czy będziesz zadowolony, jak zobaczysz skończony film - dodał.

Wyglądało na to, że nie zamierza mi bliżej wytłumaczyć tego dziwnego stwierdzenia, ale odczekałem chwilę, a potem zapytałem: - A dlaczego nie?

- Jest tam coś bardzo intymnego, jakaś nadwyżka daleko wykraczająca poza grę aktorską. - Zamilkł i widać było, że starannie waży każde słowo. - Nawet dla takiego cynika, jak ja, drogi chłopcze, ładunek autentycznego cierpienia zawarty w tych scenach jest wstrząsający.

Nie odpowiadałem. Powoli przeniósł na mnie wzrok.

- Zazwyczaj nie obnażasz swojego wnętrza, drogi chłopcze. Nieprawda? No, ale tym razem... ho, ho...

Zagryzłem wargi. Podejrzywałem coś podobnego już w czasie kręcenia tamtych scen. Miałem jednakże nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

- Czy sądzisz, że krytycy się zorientują? - zapytałem.

- To chyba nieuniknione. W każdym razie ci najlepsi na pewno - uśmiechnął się półgębkiem.

Wbiłem wzrok w dywan. Byłem zły. Aktor, który zbyt głęboko przeżywa swoją rolę, zbyt intensywnie się w nią wczuwa, zmusza widzów do dzielenia z nim tych emocji i siłą rzeczy ukazuje światu swoje wnętrze. Obnażanie ciała to rzecz stosunkowo łatwa, ale dopuszczanie publiczności do własnego ja, obnażanie swoich przekonań, uczuć i problemów, to zupełnie co innego.

Umiejętność odtwarzania wewnętrznych przeżyć w tak realistyczny sposób, żeby widz się z nami identyfikował, a może nawet rozumiał samego siebie po raz pierwszy w życiu, wymaga nie tylko dużej znajomości przedstawianego problemu, ale jest jak gdyby przyznaniem się aktora do tego, że w rzeczywistości przytrafiło mu się kiedyś coś bardzo podobnego. Człowiek, pozbawiony skłonności do ekshibicjonizmu, niełatwo odkrywa swoje wnętrze, ale bez tego nie istnieje chyba wielkie aktorstwo.

Wielkim aktorem nie jestem. Jestem po prostu dość zdolny i popularny. Zawsze wiedziałem, że jeżeli nie zdobędę się kiedyś na pełną szczerość - a myśl o tym przerażała mnie - to nigdy nie wybije się ponad przeciętną. Dotychczas stale napotykałem na wewnętrzną barierę, która uniemożliwiała mi przekroczenie pewnej granicy. Ale w tamtych scenach w samochodzie puściłem sobie wodze w nadziei, że moje własne ja pomiesza się w odbiorze widza z indywidualnością i cierpieniami odtwarzanego przeze mnie bohatera.

Stało się tak na pewno za sprawą Evana: bardziej jemu na przekór, niż żeby go uszczęśliwić. Istnieje granica, do której reżyserowi można przypisywać zasługę za grę aktora, ale w tym wypadku sam byłem odpowiedzialny za swoją kreację.

- O czym myślisz? - zainteresował się Konrad.

- Że w przyszłości będę przyjmował wyłącznie role w przygodowych i rozrywkowych filmach. Tak jak robiłem dotychczas.

- Jesteś tchórzem, drogi chłopcze.

- Tak jest.

Strącił popiół z cygara do popielniczki.

- Jeszcze sobie zrazisz widzów.

- Ależ skąd!

- Po obejrzeniu prawdziwego klejnotu nikt nie zadowolili się już imitacją.

- Przestań pić, bo zaczniesz mówić głupstwa. Przemierzyłem pokój, nałożyłem marynarkę i wsunąłem do kieszeni portfel i notes.

- Chodźmy do baru - zaproponowałem. Konrad posłusznie wygramolił się z fotela.

- Nie można uciec od samego siebie, drogi chłopcze.

- Przeceniasz mnie.

- Nic podobnego, drogi chłopcze, zapewniam cię, że wiem, co mówię.

Nazajutrz, w Germiston, zastałem przy wejściu na tor nie tylko przyrzeczony mi przez Greville'a Arknolda wolny bilet wstępu, ale i młodego człowieka, który oświadczył mi, że poinstruowano go, żeby przyprowadził mnie na lunch do prezesa Klubu Wyścigowego.

Poszedłem więc za nim i po chwili znalazłem się w dużej jadalni, gdzie przy długich stołach pożywiało się już dobre sto osób. Cała rodzina van Hurenów, wraz z ponurym Jonatanem, zajmowała stół tuż przy drzwiach. Na mój widok van Huren wstał i przywitał się.

- Panie Klugvoigt, pan pozwoli, że przedstawię Edwarda Lincolna - powiedział do mężczyzny siedzącego na honorowym miejscu, a zwracając się do mnie dodał - Prezes naszego klubu, pan Klugvoigt.

Klugvoigt podniósł się z krzesła, uściskał moją dłoń, wskazał na puste miejsce po swojej lewicy, po czym wszyscy usiedliśmy. Naprzeciwko mnie, a na prawo od prezesa, znajdowała się Vivi van Huren w dość śmiałym jaskrawozielonym kapeluszu na głowie, a obok niej jej małżonek. Sally van Huren siedziała na lewo ode mnie, za nią Jonatan. Z Klugvoigtem van Hurenowie byli najwyraźniej w zażyłych stosunkach, przy czym zauważyłem, że panowie są dość do siebie podobni. Otaczała ich ta sama aura zamożności, pewności siebie, obydwaj byli barczyści i robili wrażenie ludzi bystrych i inteligentnych.

Po wstępnych uprzejmościach (Jak mi się podoba Afryka Południowa? Iguana Rock jest najlepszym hotelem w mieście. Jak długo zamierzam tu pozostać?) rozmowa przeszła na najważniejszy temat.

Na konie.

Van Hurenowie byli właścicielami czterolatka, który przed miesiącem przyszedł trzeci w wyścigu o Złoty Puchar Dunlopa, ale postanowili dać mu odpocząć przez kilka najbliższych miesięcy. Klugvoigt z kolei był właścicielem dwóch trzylatków, które miały biegać dzisiejszego popołudnia, ale z którymi nie wiązał większych nadziei.

Skierowałem rozmowę na temat koni Nerissy, a następnie na osobę Arknolda. Zapytałem po prostu, co mówi się o nim jako o trenerze i człowieku.

Ani van Huren, ani Klugvoigt nie byli widać ludźmi, którzy na takie pytania odpowiadają w sposób bezpośredni. Natomiast Jonatan niespodzianie wychylił się naprzód i powiedział:

- Arknold to kawał chama. Ma łapy ciężkie jak sztaby złota.

- Muszę coś poradzić Nerissie, jak tylko wrócę do domu - zauważyłem.

- Ciotka Porcja zawsze mówiła, że on doskonale prowadzi jej konie - odezwała się Sally.

- Pewnie, ale do tyłu - odburknął jej brat.

Van Huren rzucił synowi szybkie spojrzenie, nie pozbawione zresztą iskry humoru, i z wprawą człowieka światowego skierował rozmowę na inne tory.

- Link, ten pana Clifford Wenkins zatelefonował do mnie wczoraj po południu i zaprosił nas na pańską premierę.

Był tym wyraźnie rozbawiony. Z zadowoleniem stwierdziłem, że powiedział do mnie Link, i pomyślałem, że za godzinę lub dwie i ja zacznę chyba zwracać się do niego per Quentin.

- Widocznie chciał się zrehabilitować za niezbyt uprzejmy sposób, w jaki mnie potraktował, kiedy próbowałem się dowiedzieć, gdzie pan zamieszkał.

- Może zorientował się, z kim ma do czynienia - dodał Klugvoigt, który widać już znał tę historię.

- To jest... no, zwykły film przygodowy - powiedziałem. - Obawiam się, że nie przypadnie panu do gustu.

- Przynajmniej nie będzie pan mógł oskarżać mnie o to, że krytykuję coś, czego nie widziałem - uśmiechnął się.

Odwzajemniłem mu się uśmiechem. Szwagier Porcji podobał mi się coraz bardziej.

Po doskonałym lunchu postanowiliśmy obejrzeć pierwszą gonitwę. Dżokeje już dosiadali koni, a Vivi i Sally pobiegły do kasy, żeby postawić kilka randów na wybrane konie.

- Pański przyjaciel Wenkins powiedział mi, że będzie tu dzisiaj - oświadczył van Huren.

- O Boże!

Van Huren roześmiał się.

Na padoku Arknold właśnie podsadzał swojego dżokeja.

- Ile waży sztaba złota? - zapytałem.

- Przeciętnie trzydzieści dwa kilo. Ale łatwiej jest podrzucić dżokeja ważącego mniej więcej tyle samo.

Przy ogrodzeniu stał Dan i uważnie obserwował konie. Kiedy pogalopowały na start, odwrócił się, zobaczył nas i ruszył w naszą stronę.

- Cześć, Link. Rozglądałem się za panem. Może byśmy się napili piwka?

- Quentinie - powiedziałem (nie dwie godziny, a dziesięć minut!) - to jest Dan Cavesey, bratanek Nerissy. Dan, pozwól pan, że przedstawię pana Quentinowi van Huren. Jego szwagierka, Porcja van Huren, była siostrą Nerissy.

- Coś takiego! - krzyknął Dan i szeroko otworzył oczy. Był naprawdę bardzo zaskoczony.

- Mój ty Boże - zdumiał się van Huren - a ja nawet nie wiedziałem, że Nerissa ma bratanka.

- No, bo *de facto* nie widziała się ze mną od czasu, gdy miałem sześć lat - wyjaśnił Dan. - Jako dorosły człowiek odwiedziłem ją po raz pierwszy tego lata, kiedy przyjechałem ze Stanów do Anglii.

Van Huren powiedział, że zaledwie dwa razy w życiu zetknął się z mężem Nerissy, a jego brata, czyli ojca Dana, w ogóle nie znał. Dan z kolei oświadczył, że nie znał Porcji. Kiedy koligacje rodzinne zostały ku obopólnemu zadowoleniu rozwikłane, rozmowa potoczyła się jak wśród starych znajomych.

- Co za zbieg okoliczności - cieszył się Dan. - To naprawdę nadzwyczajne.

Po pierwszej gonitwie Vivi, Sally i Jonatan przyłączyli się do nas. Byli bardzo ożywieni i głośno rozprawiali, gestykulując i wydając wesole okrzyki.

- Więc jesteś naszym przyszywanym kuzynem - oświadczyła Sally z entuzjazmem. - Czy to nie przezabawne?

Nawet Jonatan nieco się rozchmurzył na widok sympatycznego nowego członka rodziny. Po chwili rodzeństwo oddaliło się wraz z nim. Odchodząc Dan rzucił mi przez ramię spojrzenie, które wydało mi się dziwnie dojrzałe jak na jego wiek, a w każdym razie poważniejsze niż najbardziej nawet afektowane miny Jonatana czy Sally.

- Co za sympatyczny młody człowiek - odezwała się Vivi.

- Nerissa bardzo go lubi - potwierdziłem.

- Quentinie - powiedziałem (nie dwie godziny, prosić? Ale zobacz, kto tu jest... Janet Frankenllots... nie widziałam jej od wieków. Przepraszam pana na chwileczkę, Link... - Ogromny kapelusz Vivi niemalże pofrunął na spotkanie z przyjaciółką.

Van Huren miał niestety rację, kiedy oświadczył, że Wenkins będzie na wyścigach. Gdybym powiedział, że szef dystrybucji podszedł do nas w sposób tak naturalny i bezpośredni, jak Dan, skłamałbym: ruchem kraba zatoczył półkole i potykając się o własne nogi wyładował wreszcie - cały spocony - u mojego boku.

- Ach to pan... Link... jakże mi miło... hm, czy to pan van Huren? Co za zaszczyt... hm... proszę pana.

Wyciągnął rękę do van Hurena, a ten - dając tym dowód dobrego wychowania - zdołał powstrzymać się od wytarcia dłoni o spodnie.

- No cóż... Link... właśnie... próbowałem pana kilka razy złapać, ale jakoś nie mam szczęścia... to jest, chciałem powiedzieć, że zawsze dzwonię wtedy, kiedy pana nie ma... więc pomyślałem sobie... to znaczy... no, że chyba pana tutaj zastanę.

Słuchałem go dość niecierpliwie. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął pospiesznie plik papierów.

- Więc chciałem powiedzieć, że urządziliśmy... to znaczy nasza firma urządziła... ponieważ zgodził się pan na konferencję prasową... więc, rozumie pan, oni chcieliby, żeby pan... jak to panu powiedzieć... w przyszłym tygodniu odbędzie się konkurs piękności... w środę... naMiss Johannesburga... no i we czwartek jest pan honorowym gościem na obiedzie Klubu Filmowego Pań... w piątek odbędzie się przyjęcie na cel dobroczynny... urządzone przez tę samą organizację, która patronuje premierze pańskiego filmu... to znaczy przez firmę Hau-Miau, która produkuje konserwy dla psów i kotów... w ramach ich kampanii reklamowej...

- Nic z tego - odparłem krótko. Trzymaj się, stary - mówiłem sobie w duchu - nie daj się ponieść nerwom.

- Widzi pan - powiedział Wenkins zachęcony moją łagodną reakcją. - My... to znaczy Worldic... myśleliśmy, że... to znaczy uważamy, że powinien pan się zgodzić...

- Czyżby? - Panowałem nad sobą z wielkim wysiłkiem. - Niech mi pan powie, jak pan myśli, dlaczego nie zgodziłem się na to, żeby Worldic opłacił moje koszty pobytu? Dlaczego pokrywam wszystko z własnej kieszeni?

Wenkins zasępił się. Firma naciskała na niego z jednej strony, a ja z drugiej. Był naprawdę bardzo nieszczęśliwy. Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło.

- No tak. - Jąkał się niemiłosiernie. - Rozumiem... ale, widzi pan, wszystkie te organizacje na pewno... no na pewno... zgodzą się wypłacić panu... no cóż... sumy...

Policzyłem do pięciu. Zacisnąłem mocno powieki. Dwa razy. A kiedy zdawało mi się, że już panuję nad swoim głosem, powiedziałem:

- Panie Wenkins, niech pan przekaże firmie Worldic, że nie mogę i nie chcę przyjąć żadnej z tych propozycji. Będę na premierze i na małym przyjęciu albo przedtem, albo potem. Taka była urnowa i niech tak pozostanie.

- Ale... myśmy już przyrzekli tym wszystkim ludziom, że mogą na pana liczyć.

- Mój agent ostrzegł was jeszcze przed moim przyjazdem, żebyście się w nic nie angażowali.

- No tak, ale firma...

Niech szlag trafi tę całą twoją firmę, pomyślałem, a powiedziałem tylko:

- Krótko mówiąc, odmawiam.

- Ależ, proszę pana... nie może ich pan... nie może im pan wszystkim zrobić takiego zawodu... oni zbojkotują pańskie filmy, jeżeli pan im teraz odmówi... przecież... hm... przecież myśmy się już zobowiązali.

- Będziecie się musieli przyznać, że zrobiliście to bez mojej wiedzy i zgody.

- Worldic... dyrekcja będzie bardzo niezadowolona.

- Jasne, i to przede wszystkim dlatego, że wpłynie to na jej dochody z filmu. Ale jesteście sobie sami winni. Jeżeli wam się zdaje, że uda wam się mnie zaszantażować, to się grubo mylicie.

Clifford Wenkins patrzył na mnie ze smutkiem, van Huren z zainteresowaniem, a ja zdawałem sobie sprawę, że pomimo wysiłku nie udało mi się ukryć irytacji.

Zrobiło mi się żal Wenkinsa, więc opanowałem się.

- Niech pan powie dyrekcji, że i tak na cały przyszły tydzień wyjeżdżam z Johannesburga. Może pan dodać, że nawet gdyby mnie uprzedzili, to i tak bym się nie zgodził.

Wenkins przełknął ślinę. Wyglądał coraz nieszczęśliwiej.

- Kazali mi pana jakoś namówić.;

- Trudno.

- Nie wiem, czy mnie z tego powodu nie wyrzuca...

- Drogi panie Wenkins, nawet dla pana nie mogę tego zrobić. Po prostu mnie nie będzie.

Spojrzał na mnie jak zbity spaniel, co bynajmniej nie wzbudziło mojego współczucia, odwrócił się i odszedł, wpychając papierki z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Van Huren spojrzał na mnie badawczo.

- Dlaczego mu pan odmówił? - zapytał bez cienia złośliwości. Był po prostu zainteresowany moim stanowiskiem w tej sprawie.

Nabrałem powietrza w płuca i uśmiechnąłem się. Irytacja, jaką budził we mnie Clifford Wenkins, była jak wysypka alergiczna. Kiedy odchodził, zaczynała, na szczęście, również znikać.

- Ja po prostu nigdy nie biorę udziału w takich imprezach... konkursy piękności, obiady galowe, premiery... to nie w moim stylu.

- Rozumiem. Ale dlaczego?

- Nie mam na to ani sił, ani cierpliwości.

- A wydaje pan się raczej wytrzymały. Uśmiechnąłem się znowu i potrząsnąłem głową. Nie chciałem robić wrażenia człowieka pretensjonalnego, więc nie powiedziałem mu, że wszelkie występy publiczne działają na mnie fatalnie, że czuję się po nich zawsze poturbowany, połknięty i wypluty, wyprany z indywidualności i że toasty na moją cześć zawstydzają mnie. Jedyne komplement, jaki sprawia mi autentyczną przyjemność, to widok ogonka przed kasą kina, w którym wyświetlają mój film.

- Dokąd wybiera się pan w przyszłym tygodniu? - zapytał.

- W głąb Afryki - powiedziałem i roześmiałem się.

Poszliśmy do padoku, żeby obejrzeć sobie konie przed następną gonitwą. Rozpoznałem jedną z klaczy Nerissy. Miała numer osiem i nazywała się Lebona.

- Wygląda zupełnie nieźle - zauważył van Huren.

- Owszem, wystartuje świetnie - zgodziłem się. - Przez trzy czwarte gonitwy będzie biegła doskonale, ale nagle zmęczy się i zostanie w tyle, a jak dojdzie do mety, będzie zadyszana, mokra i wypompowana z sił.

- Skąd pan to wie? - zdziwił się van Huren.

- Zgaduję. W środę byłem w Newmarket i obserwowałem Czunka. Z nim było właśnie tak.

- I uważa pan, że wszystkie konie Nerissy zachowują się według identycznego schematu?

- Sprawozdania z wyścigów potwierdzają to całkowicie.

- No i co pan poradzi Nerissie? Wzruszyłem ramionami.

- Sam jeszcze nie wiem... Prawdopodobnie, żeby zmieniła trenera.

Po pewnym czasie powróciliśmy na trybunę i Lebona rzeczywiście pobiegła dokładnie tak, jak przewidziałem. Ponieważ van Huren nie okazywał chęci porzucenia mnie i poszukania bardziej interesującego towarzystwa, a dla mnie obecność jego była czymś w rodzaju buforu, udaliśmy się do ogródka, w którym stały liczne stoliki z parasolami, usiedliśmy i zamówiliśmy orzeźwiające napoje.

Był to pierwszy ciepły dzień od mojego przyjazdu. Frędzle kwiecistych parasolek nawet się nie ruszały, a panie zrzuciły z siebie wierzchnie okrycia.

Kiedy powiedziałem coś na temat pięknej pogody, van Huren westchnął.

- Ja właściwie najbardziej lubię zimę - powiedział. - Wtedy jest tu zimno, sucho i słonecznie. Latem panuje upał i straszna wilgoć, nawet w partiach górzystych.

- O Afryce Południowej myśli się jak o kraju niemal tropikalnym.

- Tak też i jest. Na wybrzeżu panują zazwyczaj upały, nawet w taki dzień jak dzisiaj.

Na nasz stolik padły cienie dwóch postaci, więc podnieśliśmy wzrok.

Przed nami stali dwaj mężczyźni, których dobrze znałem: Konrad i Evan Pentelow.

Przedstawiłem ich van Hurenowi i przysunąłem krzesła. Konrad był jak zawsze rozmowny i jowialny i szermował na prawo i lewo swoim ulubionym powiedzonkiem: drogi chłopcze. Evan był, jak to on, rozczochrany, nerwowy i niespokojny.

- Teraz już nie będziesz mógł nie pokazać się na premierze „Człowieka w samochodzie” - powiedział prosto z mostu.

- Nie bądź taki zaborczy - odparłem na pół serio. - Nie jest to w końcu twoja prywatna własność.

- Moje nazwisko będzie pierwsze na czołówce - oświadczył kategorycznie.

- Przed moim?

Doskonale znałem styl afiszów reklamujących filmy Pentelowa. Na samej górze widniało jego nazwisko, wybite wielkimi literami, następnie tytuł filmu, a potem dopiero spis aktorów, wydrukowany małą czcionką i niezbyt czytelny. Było to po prostu jawne piractwo.

Evan spojrzał na mnie złym wzrokiem, więc domyśliłem się, że podobnie jak ja, uważnie przeczytał sobie kontrakt i stwierdził, że mój agent zastrzegł dla mnie wszystkie honory.

- Moje nazwisko będzie figurowało przed nazwiskiem pierwotnego reżysera - mruknął Evan.

To było sprawiedliwe. Wprawdzie Evan wyreżyserował tylko jedną trzecią filmu, ale nadał mu jego ostateczny kształt.

Van Huren przysłuchiwał się naszej potyczce słownej z zainteresowaniem.

- A więc jest tak, jak słyszałem - odezwał się. - Kolejność nazwisk na czołówce ma dla was duże znaczenie.

- Czołówka świadczy o tym - uśmiechnąłem się - kto komu wbił nóż w plecy.

Evan nie posiadał poczucia humoru, więc nie rozbawiło go to. Zaczął natomiast szybko opowiadać o swoim następnym filmie.

- To alegoria... każda scena z ludźmi będzie miała swój odpowiednik w scenie ze świata słońi. Scenariusz zakładał, że słońie są pozytywnymi bohaterami filmu, ale w trakcie prac badawczych dowiedziałem się różnych dziwnych rzeczy o tych miłych zwierzątkach. Czy panowie wiecie, że są niebezpieczniejsze dla człowieka niż wszystkie inne dzikie zwierzęta Afryki? Poza tym okazało się, że polują już na nie tylko poszukiwacze kości słoniowej, a ponieważ w Parku Krugera polowanie jest wzbronione, rozmnażają się tam w sposób wprost horrendalny. Przybywa tysięcy sztuk rocznie, co oznacza, że za dziesięć lat w rezerwacie nie będzie miejsca dla żadnego innego gatunku, prawdopodobnie nie będzie tam również drzew, bo słońie niszczą je w szalonym tempie.

Evan był, jak zawsze, kiedy mówił na interesujący go w danym momencie temat, równie dogmatyczny, co obsesyjny.

- Czy panowie wiedzą o tym - ciągnął - że słońie nienawidzą Volkswagena? Szczególnie garbusa. Rzadko atakują inne samochody, ale widok Volkswagenów doprowadza je do szału.

Van Huren uśmiechał się z niedowierzaniem, co oczywiście jeszcze bardziej podnieciło wyobraźnię Evana.

- To szczerą prawdą! Pokażę to może w moim filmie.

- Ciekawe - powiedział Konrad raczej sucho. - Chociaż samochód w roli przynęty bardziej mi odpowiada niż koza czy tygrys.

Evan rzucił mu ostre spojrzenie, ale przytaknął.

- W środę - jedziemy do Parku Krugera.

- Jaka szkoda, Link - powiedział van Huren - że nie może pan jechać z nimi. Ale właściwie, czemu nie? Ma pan przecież ochotę się przejechać. Park Krugera jest bardzo interesujący, ogromny i zupełnie dziki. Rezerwaty to właściwie wszystko, co tu pozostało z

dawnej Afryki. Niestety, trudno jest tam się dostać, bo wszystkie kempingi zarezerwowane są na wiele miesięcy naprzód.

Byłem pewny, że Evan nie ma ochoty na moje towarzystwo, ale ku mojemu zdumieniu powiedział:

- Rozporządzamy jednym wolnym miejscem. Zrobiliśmy rezerwację dla Drixa Goddarda, ale zawiadomił nas, że może przyjechać dopiero za tydzień czy dwa... więc jeżeli chcesz, to proszę cię bardzo. Służymy ci łóżkiem.

Ze zdumieniem spojrzałem na Konrada, ale ani jego uniesione brwi, ani sarkastyczny uśmiech niczego mi nie wyjaśniły.

Gdyby nie fakt, że zaproszenie wyszło od Evana, podskoczyłbym zapewne z radości, ale i tak się zgodziłem, bo to, co proponował, było tysiącrotnie atrakcyjniejsze od programu Wenkinsa. A jeżeli nie pojedę do Parku Krugera, to dokąd?

- Przyjmuję twoją propozycję - powiedziałem - z wielką przyjemnością.

Rozdział ósmy

W cieniu naszego parasola ukazał się teraz Dan w towarzystwie rodzeństwa van Hurenów.

Sally nie czekała, aż zostanie przedstawiona Evanowi i Konradowi; ale od razu zwróciła się do ojca.

- Powiedzieliśmy Danowi, że zapraszasz Linka na poniedziałek do kopalni złota, więc pyta, czy mógłby się też zabrać; wami?

Dan był nieco zażenowany tak bezceremonialnym postawieniem sprawy, ale van Huren, zastanowiwszy się przez ułamek sekundy, odparł:

- Ależ oczywiście, Dan, bardzo proszę, jeżeli ma pan ochotę.

- Bardzo wielką - odparł Dan z powagą.

- Kopalnia złota? - zainteresował się Evan, skandując każdą sylabę.

- To nasze rodzinne przedsiębiorstwo - wyjaśnił van Huren i przystąpił do przedstawienia wszystkich wszystkim.

- To szalenie ciekawe... mogłoby mi się nawet przydać w przyszłości do jakiegoś filmu... jako tło do podmalowania akcji. - Evan wpatrywał się intensywnie w van Hurena, stawiając go, moim zdaniem, w dość trudnej sytuacji. Ale ten ostatni nie tracił humoru.

- Proszę bardzo, może i pan pojedzie z nami w poniedziałek?

Evan zgodził się pospiesznie i tylko dodał, że ma nadzieję, iż zaproszenie obejmuje również Konrada.

Po chwili wszyscy udali się do kas, żeby obstawić konie przed następną gonitwą. Skorzystałem z chwili ich nieobecności, i przeprosiłem van Hurena za to, że moi znajomi nadużyli, moim zdaniem, jego gościnności.

Potrząsnął głową.

- Nic podobnego. Wszystko się ułoży. Wprawdzie wolimy nie zapraszać większej ilości osób na raz, bo to jednak odrywa ludzi od pracy i zwalnia tempo produkcji, ale cztery osoby nie przeszkodzą, jeżeli zachowają się rozsądnie, a w to nie wątpię.

Z czterech osób zrobiło się pięć, ponieważ pod wieczór w Germiston zjawił się Roderyk Hodge. Dowiedziawszy się o planowanej wycieczce, zabrał van Hurena na bok i zaczął go zaklinać, żeby pozwolił mu także pojechać do kopalni i napisać o tym artykuł do „Rand Daily Star”.

Byłem zdumiony, bo zdawałoby się, że kopalnia złota to oklepany temat dla miejscowych gazet, ale Roderyk postawił na swoim.

W padoku obejrzałem ponownie „Orła”, który robił bardzo dobre wrażenie. Roderyk stanął obok mnie. Dan i rodzina van Hurenów udali się na herbatkę z prezesem klubu - na co nie miałem najmniejszej ochoty - a Evan i Konrad stali w pewnej odległości od nas w towarzystwie niestrudzonego i spoconego Wenkinsa.

Roderyk dotknął mojego łokcia i powiedział:

- Link?

Spojrzałem na niego bacznie. Miał twarz czterdziestolatka, której od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni, przybyło kilka dodatkowych zmarszczek. Pomyślałem sobie, że jest stanowczo za stary na to młodzieżowe ubranko i modną fryzurę.

- Jak się ma Katia? - zapytałem.

- Dobrze. Właściwie znakomicie.

Oświadczyłem, że cieszy mnie to, a potem zapytałem go, czy często bywa na wyścigach.

- Nie... prawdę mówiąc, przyjechałem tu dzisiaj, żeby pana zobaczyć. Byłem najpierw w Iguana Rock i tam mi powiedziano, gdzie pana szukać.

- To ciekawe.

- Przyznam się panu, że posiadam tam tak zwaną wtyczkę. To mi daje dostęp do różnych informacji. Rozumie pan?

Rozumiałem doskonale. Po całym świecie pełno jest małych, szarych ludzi, którzy zajmują się informowaniem dziennikarzy o cudzych sprawach, za co otrzymują większe lub

mniejsze napiwki: są to portierzy w hotelach, tragarze na lotniskach i dworcach, recepcjonistki w szpitalach, obsługa barów, knajp i restauracji.

- Mieszkam w tej stronie miasta, więc pomyślałem sobie, że wpadnę na wyścigi i poszukam pana.

- Piękny dzień - zauważyłem.

Zblazowanym wzrokiem spojrział w niebo, jakby mu było najzupełniej obojętne, czy świeci słońce, czy pada deszcz, czy grad.

- Piękny - potwierdził. - Chciałem panu powiedzieć, że dzisiaj z rana zadzwonił do mnie Joe... to ten elektryk z hotelu Randfontain, pamięta pan?

- Pamiętam.

- Powiedział mi, że rozebrał mikrofon na części i nie stwierdził żadnej usterki. Tyle, że ponieważ zewnętrzny drut uzwojonego przewodu był oczywiście połączony z obudową metalową, więc...

- Proszę mi wytłumaczyć, co to jest uzwojony przewód.

- To jest przewód elektryczny, składający się z dwóch drutów, z których jeden przechodzi równo przez środek jak trzon, a drugi jest owinięty dokoła niego. Przewody anten telewizyjnych są też uzwojone. Może pan sobie obejrzeć, jak to wygląda, kiedy pan włącza końcówkę do aparatu.

- Ach tak, rozumiem - zgodziłem się.

- Joe powiedział, że już wie; co się stało. Odkrył, że przewód uziemienia i przewód pod napięciem zostały na odwrót włączone do magnetofonu, na którym miał być nagrany wywiad Katii z panem. Twierdzi, że chociaż się ciągle na to zwraca uwagę i ostrzega, to technicy niestety dość często popełniają ten błąd. Wtedy prąd przechodzi bezpośrednio przez metalową obudowę mikrofonu i uziemia się poprzez człowieka, który ten mikrofon trzyma w ręku.

- A czy w takim wypadku cały magnetofon nie byłby pod napięciem?

Zastanowił się.

- Owszem, Joe nawet mówił, że tak było, ale tylko w środku, więc osoba obsługująca nie mogła zostać porażona. Bo widzi pan, obudowa magnetofonu jest z plastyku, gałki też, a Joe miał buty na gumowych podeszwach. Jak zwykle, zresztą. Asekuje się w ten sposób.

- Ale przecież chyba używał już tego magnetofonu - zaprotestowałem.

- Mówi, że nie. Jego własny aparat nawalił w ostatniej chwili, więc włączył jakiś inny, który tam stał. Nie ma pojęcia, kto go tam postawił, bo nikt się na razie po niego nie zgłosił.

Arnold podsadził swojego dżokeja na „Orla” i po chwili konie ruszyły na start.

- Po prostu pech - podsunąłem.

- Joe też tak uważa - odparł Roderyk niezbyt pewnym tonem, więc spojrzałem na niego pytająco. - To, co teraz powiem, jest może niezbyt miłe, ale Joe zastanawia się nad tym, czy ta cała historia nie była zrobiona naumyślnie, dla reklamy, a potem coś poszło krzywo. Twierdzi, że Clifford Wenkins kręcił się w pobliżu instalacji dźwiękowej zaraz po pańskim pierwszym wywiadzie, że w końcu pan zorganizował tę całą konferencję prasową, no i że w związku z wypadkiem Katii prasa rozpisła się o panu na cały regulator...

- To rzeczywiście mocne podejrzenie - powiedziałem raczej wesołym tonem. - Może mu pan powiedzieć, że jestem tym niemile zaskoczony. Może mu pan również powiedzieć, że sam zastanawiałem się nad tym, czy ta cała heca nie została zorganizowana dla reklamy, ale przez Katię i pana... i wymknęła wam się z rąk.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Uspokoił się jednak szybko, a po chwili twarz jego rozjaśniła się uśmiechem.

- No dobra - powiedział. - Nikt tu nie ponosi winy. A co sądzi pan o naszym Cliffordzie?

- Pan zna go lepiej niż ja. Ale wydaje mi się, że chociaż zaprzedał duszę firmie Worldic, to chyba nie jest wystarczająco odważny i pomysłowy na to, żeby zrobić taki numer.

- Widocznie pan go peszy - zauważył Roderyk. - Nie zawsze jest taki roztrzęsiony jak teraz, od pańskiego przyjazdu.

W niewielkiej odległości od nas, oparty o bandę, stał Dan i z uśmiechem na sympatycznej twarzy przyglądał się koniowi Nerissy. Pomyślałem sobie, że gdyby wiedział, jak szybko go odziedziczy, to nie miałby takiej pogodnej miny.

Arknold podszedł do niego i razem udali się na trybunę, dokąd i ja wkrótce podążyłem wraz z Roderykiem. „Orzeł” rozpoczął bieg w wspaniałej formie, w połowie gonitwy zaczął tracić siły i doszedł do mety w stanie skrajnego wyczerpania.

Arknold z miną jak chmura gradowa pędem zbiegł po schodach, mrużąc coś pod nosem i pospieszył do padoku, żeby omówić z dżokejem kolejną porażkę.

Kiedy przebiegał obok mnie, powiedział ochryple:

- Tego już za wiele. Nic z tego nie rozumiem. To jest pierwszorzędny koń, znacznie lepszy od wszystkich innych i powinien był wygrać co najmniej o 500 metrów.

Zacisnął usta i jak szalony zaczął się przebijać przez tłum widzów.

- Czego on chciał? - zapytał Roderyk niby to obojętnie, co oczywiście zwróciło moją uwagę. W porę przypomniałem sobie, że jest reporterem z Rand Daily Star i postanowiłem mu nic nie mówić.

- Nie mam pojęcia - odparłem.

Zeszliśmy z trybuny. Przez chwilę zastanawiałem się, co robić dalej, i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie porozmawiać z Klugvoigtem. Podprowadziłem więc Roderyka do Evana i Konrada, którzy właśnie rozważali możliwość udania się do baru na małego drinka, podrzuciłem im mojego towarzysza i oddaliłem się w momencie, gdy zaczął wyjaśniać Konradowi teorie Joe o uzwojonych przewodach.

Klugvoigta zastałem w jego prywatnej loży w otoczeniu wianuszka pań w ozdobnych kapeluszach. Zauważył mnie, skinął zapraszająco głową, więc wszedłem po schodkach na górę. Natychmiast wcisnął mi do ręki szklankę raczej ciepłej whisky ze zbyt dużą ilością wody.

- No jak tam? - zapytał. - Wygrywa pan?

- Powiedzmy, że nie przegrywam - uśmiechnąłem się.

- Co obstawia pan w następnej gonitwie?

- Muszę sobie najpierw obejrzeć konie.

- Bardzo słusznie.

Powiedziałem, że bardzo mi się podoba tutejszy tor wyścigowy. - Ta trybuna jest chyba świeżo wybudowana? - zauważyłem.

- Bardzo niedawno - potwierdził. - Był już najwyższy czas.

- Budynki i urządzenia też są bardzo nowoczesne.

- Tak jest, drogi panie. Czy miałby pan ochotę je zwiedzić?

- Z przyjemnością - odparłem i odstawiłem drinka na znak, że gotów jestem uczynić to natychmiast. Po chwili szliśmy spacerowym krokiem w stronę sporych gmachów, gdzie na parterze znajdowały się garderoby, prysznice i wagi dla dżokejów, a na górze pomieszczenia biurowe.

Cały ten zespół budynków był rzeczywiście nowoczesny i atrakcyjny i w niczym nie przypominał tego, co znalazłem ze starych angielskich torów wyścigowych. Przemierzyliśmy wielki, wygodnie urządzone pokój, z dużymi fotelami, w których właściciele i trenerzy mogli sobie spokojnie planować właściwą taktykę lub omawiać porażki, ale Klugvoigt nie zatrzymał się i prowadził mnie dalej.

Pomieszczenia, przeznaczone dla dżokejów, były też doskonałe. Każdy miał dużą, zamykaną szafę na ubranie (zamiast zwykłego wieszaka), obok garderoby znajdowała się sauna (prysznice oczywiście również), pod ścianami stały wygodne kanapy (zamiast twardych drewnianych ław).

Człowiek, z którym miałem nadzieję porozmawiać, leżał wsparty na łokciu na jednej z tych czarną skórą krytych kanapek. Wiedziałem - bo przeczytałem na tablicy, że nazwisko jego brzmi K. L. Fahrden. Był to dżokej Greville'a Arknolda.

Powiedziałem Klugvoigtowi, że chciałbym pomówić z tym dżokejem. - Doskonale - odparł - zaczekam na pana w salonie. Ja też chciałbym z kimś porozmawiać.

Fahrden był, jak to dżokej, niewielkiego wzrostu, drobny, sama skóra i kości. Kiedy Klugvoigt wymienił moje nazwisko, rozchmurzył się na moment, ale kiedy powiedziałem mu, że jestem przyjacielem pani Cavesey, znowu się zasępił.

- To nie moja wina, że jej konie są w takiej parszywej kondycji - powiedział z miejsca.

- Oczywiście - uspokoiłem go. - Chciałbym tylko wiedzieć, co pan o tym sądzi, bo pani Cavesey na pewno będzie mnie wypytywała.

- Powiem panu, jak jest - odparł z namysłem. - Na starcie wydaje się, że są w świetnej formie, pełne animuszu i temperamentu, a potem, jak chce się je podgonić, to okazuje się, że już nie mają sił, a jak użyć bata, to zaczynają puchnąć i całkiem wysiadają.

- Zapewne zastanawiał się pan nad tą sprawą. Czy ma pan jakąś koncepcję?

- Nie mam pojęcia - spojrzał na mnie z ukosa.

- Ale coś pan przecież myśli.

- To samo co wszyscy. Więcej nic panu nie powiem.

- A co pan sądzi o koniuszym Arknolda?

- O Bartym? To bydlak. Nigdy się nad nim specjalnie nie zastanawiałem. W każdym razie nie chciałbym go spotkać w ciemnej ulicy, jeżeli o to panu chodzi.

Chodziło mi wprawdzie o zupełnie coś innego, ale dałem spokój. Zapytałem go natomiast, jak mu się podoba Dan.

- To bardzo sympatyczny facet - powiedział i po raz pierwszy rozchmurzył się. - Zawsze interesowałygo stajnie Arknolda, no i nic dziwnego. Przecież tam są wszystkie konie jego ciotki.

- Czy poznał go pan za jego poprzednim pobylem?

- Naturalnie. Mieszkał w hotelu w Summerfeld. Przez dobre dwa tygodnie. Fajny, naprawdę fajny facet. Można się z nim pośmiać. Opowiadał mi wtedy, że był u ciotki w Anglii i że jest to wspaniała osoba. Jak jej konie zaczęły nagle tak strasznie nawalać, jeden Dan nie stracił humoru.

- Kiedy to było? - zapytałem tonem pełnym zrozumienia.

- Jeszcze w czerwcu. Od tego czasu wszyscy stają na głowie, żeby się zorientować, co im właściwie jest. Mówię panu... weterynarze, ciągle pobieranie krwi, na to, na tamto, nawet na narkotyki. I nic.

- Czy Arknold jest dobrym szefem? - zapytałem prosto z mostu.

- Panie, na ten temat wolę nie gadać. Lubię moją pracę, uważasz pan.

*

Odnalazłem Klugvoigta w salonie, podziękowałem mu i razem ruszyliśmy w stronę padoku. Ktoś zagadnął go po drodze, więc poszedłem na drugą stronę toru, gdzie znajdowała się mniejsza, z prostych desek sklecona trybuna. Z niej rozciągał się widok na cały teren wyścigowy, trybuny reprezentacyjne, kawiarenkę z kolorowymi parasolkami, prywatne łoże, padok i budynki administracyjne.

Wśród tej scenerii kłębił się tłum ludzi, robiono zakłady, rozmawiano z ożywieniem, wymieniano informacje, plotki, popijano napoje chłodzące. Wśród tych wszystkich podnieconych ludzi znajdował się Dan i Arknold, Konrad i Evan, Roderyk i Clifford Wenkins, i Quentin, Vivi, Jonatan i Sally van Huren.

*

Tegoż wieczoru po powrocie do hotelu Iguana Rock kazałem się połączyć z Kit, więc nazajutrz, punktualnie o zamówionej godzinie, usłyszałem jej głos w słuchawce. Była niedziela, dziesiąta rano.

Słyszeliśmy się doskonale, zupełnie jak gdyby dzieliło nas nie 10 000 kilometrów, ale najwyżej dziesięć. Kit powiedziała, że cieszy ją, że słyszy mój głos, jak również to, że nie zostałem porażony prądem. Owszem, wyczytała całą tę historię w gazetach, przy czym kilka z nich w dość obrzydliwy sposób dawało do zrozumienia, że jest to część wielkiej kampanii reklamowej.

- Nic podobnego - zapewniałem ją. - Opowiem ci, jak się znowu zobaczymy. A” jak dzieciaki?

- Świetnie. Chris chce zostać astronautą, a Libby nauczyła się mówić „basen”, kiedy ma ochotę pójść do wody.

- Już się trochę stęskniłem za tobą - powiedziałem żartobliwie, a Kit odpowiedziała równie - przynajmniej na pozór - beznamiętnie:

- Wyjechałeś cztery dni temu, a mnie się wydaje, że od tego czasu upłynęły wieki.

- Wracam natychmiast po premierze - zapewniłem ją. - Przedtem wybieram się na zwiedzenie kopalni złota, a potem na kilka dni do rezerwatu przyrody, który nazywa się Park Krugera.

- Szczęściarz.
- Jak chłopcom skończą się wakacje, to pojedziemy sobie we dwoje w jakąś małą podróż.
- Trzymam cię za słowo.
- Zastanów się tylko, dokąd.
- Okej - powiedziała niby to obojętnie, ale w głosie jej wyczułem zadowolenie.
- Ale słuchaj... przecież dzwonię w sprawie koni Nerissy.
- Czy zorientowałaś się już, co się tam dzieje?
- Jeszcze nic, ale mam dosyć kiepskie przeczucia. Jednakże nie dowiem się co i jak, dopóki nie załatwisz mi jednej rzeczy.
- Gadaj - odparła sucho.
- Czy mogłabyś zajrzeć do testamentu Nerissy?
- Jejku! - krzyknęła. - Jak ty to sobie wyobrażasz?
- Po prostu poproś ją o to. Już ty znajdziesz na nią sposób. Podobno bawiło ją pisanie testamentu, więc może zechce ci opowiedzieć, jak rozporządziła swoim majątkiem.
- No dobrze, spróbuję... ale powiedzmy, że mi go pokaże, to o co ci właściwie chodzi?
- Chodzi mi dokładnie o to, żeby się dowiedzieć, czy zapisała Danowi tylko konie, czy też całą resztę swojego majątku.
- Dobrze - powiedziała Kit bez przekonania. - Ale czy to naprawdę ważne?
- I tak, i nie - roześmiałem się. - Dan jest tutaj.
- Naprawdę? - zdziwiła się. - Nerissa nic nam nie mówiła.
- Bo Nerissa o tym nie wie - powiedziałem, a potem opisałem jej dokładnie złotego chłopca i Arknolda, a następnie to, co działo się z końmi Nerissy na torze.
- Czy to aby nie jakieś machinacje trenera?
- Tak też myślałem, ale teraz... teraz wydaje mi się raczej, że to ten nasz młody Kalif orni język, złotowłosa Dan, macza w tym paluszki.
- Ale po co? Cóżby mógł z tego mieć?
- Dużo. Pomyśl tylko o podatku spadkowym.
- Po krótkiej pauzie Kit odezwała się, ale w głosie jej wciąż brzmiało powątpiewanie.
- To chyba niemożliwe.
- Dlaczego nie? Ale to jest tylko jedna z moich hipotez. Na razie nie potrafiłbym jeszcze niczego udowodnić...
- Ja tego jakoś nie widzę...

- Wyobraź sobie przez chwilę, że było tak: Na wiosnę tego roku Dan odwiedza po wielu latach Nerissę i dowiaduje się, że ciotka cierpi na chorobę Hodgkina. Wystarczyło zajrzeć do encyklopedii medycznej, żeby się przekonać, że to nieuleczalne.

- O Boże! - westchnęła Kit. - Mów dalej.

- Nerissie podoba się nasz złoty chłopiec. Trzeba przyznać, że ma swoje uroki. Założmy więc, że dowiaduje się od Nerissy, że zamierza zapisać mu swoje konie i pewną sumę pieniędzy.

- To są tylko domysły.

- Zgoda - powiedziałem. - Ale właśnie dlatego chcę, żebyś się porozumiała z Nerissa. Dowiedz się, czy powiedziała Danowi o swojej chorobie i czy zwierzyła mu się, że robi go swoim spadkobiercą.

- Kochanie, nie chciałabym jej denerwować. Jakże można jej dać do zrozumienia, teraz, kiedy jest już tak późno, że popełniła pomyłkę. Jest szczęśliwa, że go odnalazła i że może mu zostawić swój majątek.

- Po prostu naprowadź rozmowę na ten temat, a jeżeli nadarzy się okazja, zapytaj ją o to jak gdyby mimochodem. Oczywiście nie należy jej denerwować. Może trzeba będzie machnąć na to wszystko ręką i pozwolić Danowi na robienie tych głupich sztuczek. Prawie całą noc zastanawiałem się nad tą sprawą. Bo właściwie, cóż on takiego robi? Przyczynia się do tego, że jej konie nie zbierają laurów i pieniędzy. A w końcu Nerissie powinno być już wszystko jedno?

- Moim zdaniem, ta cała historia tylko by ją rozśmieszyła. Sam zresztą śmiałeś się przed chwilą. O ile znam Nerissę, to pomyślałaby po prostu, że Dan jest bardzo pomysłowy.

- No tak... ale popełnia również oszustwo w stosunku do tutejszych graczy, a to już jest rzecz karalna...oczywiście, trzeba by go jeszcze przyłapać na gorącym uczynku.

- Dlaczego właśnie jego podejrzewasz?

- Sam nie wiem. Opieram się głównie na niejasnych przeczuciach - westchnąłem. - Na przypadkowych rozmowach... tu jakieś słówko, tam jakieś zdanie... trochę spostrzeżeń i niesłuchanie mało faktów. Najważniejszą poszlaką jest okoliczność, że kiedy to się zaczęło, Dan zaczął kręcić się przy tych koniach. Dowiedziałem się od dżokeja, że właśnie w tym okresie Dan po raz pierwszy zjawił się w Afryce. To był czerwiec. Spędził tu dwa tygodnie. Musiało to być zaraz po jego wizycie u Nerissy, bo wspomniał dżokejowi, że się niedawno z nią widział. Potem powrócił na krótko do Stanów, ale konie w dalszym ciągu regularnie przegrywały, więc należałoby wnioskować, że ma współnika. W ogóle trudno sobie wyobrazić, żeby działał sam. Może wszedł w porozumienie z koniuszym Arknolda. Moje

podejrzanie opiera się tylko na tym, że patrzą na siebie w pewien szczególny sposób. I wiesz co? Dan wcale się nie maskuje. Pilnuje języka, ale nie wyrazu twarzy. Jednym słowem, jest możliwe, że działa Barty - ten koniuszy - a Dan mu za to płaci.

- No dobrze, ale czy domyślasz się, co ten Barty robi?

- Są dwie możliwości... obydwie trudne do wykrycia... można konia przetrenować i wtedy z pewnością odpadnie na ostatniej prostej, chociaż jest to tak oczywista wina trenera, że musi się zacząć gadanie... ale mnie się zdaje, że Barty stosuje po prostu stary, wypróbowany numer z wodą.

- Aha - powiedziała Kit. - Wiem. Nie daje się koniowi pić przez dłuższy czas, może nawet dosypuje się soli do owsa, a przed samą gonitwą podaje mu się jedno albo dwa wiadra wody i cześć.

- No tak. Koń daleko nie pobiegnie, jak mu się w brzuchu przelewa kilkanaście litrów wody. A jeżeli chodzi o Barty'ego, to nawet gdyby nie mógł sam poić koni Nerissy tuż przed wyścigami, to jego chłopcy są tak sterroryzowani, że obcięliby sobie uszy, gdyby im kazał.

- Daj że spokój. Gdyby stajenny robił taki numer przez kilka tygodni z rzędu, to przecież trener musiałby się zorientować.

- Moim zdaniem, on się doskonale orientuje. „Tego już za wiele”, powiedział do mnie wczoraj po gonitwie, w czasie której jeden z koni Nerissy znowu spuchł w połowie dystansu. Potem zarzucił mi, że imputuję mu sabotowanie koni Nerissy po to, żeby straciły na wartości i żeby on je mógł tanio odkupić, podreperować i sprzedać do stadniny. Prawdę mówiąc, takie myśli snuły mi się dość mgliście po głowie, ale on zachowywał się tak, jak gdyby mu już coś podobnego zarzucano. Prawdę mówiąc, to właśnie on, i to niechcący, skierował moje podejrzania na Dana. Poza tym widziałem uśmiezek na ustach złotego chłopca, gdy przyglądał się jednemu z koni Nerissy przed startem. To był bardzo podejrzany uśmiech. Co tu dużo gadać... Jeżeli z chwilą śmierci Nerissy okaże się, że wartość jej koni równa się niemal zero, to podatek spadkowy od nich będzie nieporównanie mniejszy, niż gdyby stale wygrywały. Ponieważ jest ich jedenaście, w grę wchodzi grube tysiące. W każdym razie suma, która niewątpliwie usprawiedliwiłaby koszty kilku przejażdżek do Afryki, no i łapówki dla stajennego. O ile wiem, to wkrótce mają nastąpić jakieś zmiany w prawie spadkowym, ale na razie Dan musiałby być głównym spadkobiercą, żeby opłacał mu się taki zabieg.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznała się Kit.

- Wytłumacz mi to.

Roześmiałem się.

- No to słuchaj. Podatek spadkowy zostanie po śmierci Nerissy obliczony na podstawie wartości całego pozostawionego przez nią majątku. Po czym zostaną wypłacone oddzielne zapisy testamentowe. Całą resztę otrzyma główny spadkobierca. Pomimo że konie znajdują się w Południowej Afryce, podatek spadkowy od nich należy się angielskiemu skarbowi państwa, ponieważ Anglia jest stałym miejscem zamieszkania Nerissy. Jeżeli więc trzeba będzie z masy spadkowej opłacić wiele tysięcy podatku od koni, to suma, którą odziedziczy Dan, okaże się bardzo niewielka.

- Rozumiem - powiedziała Kit. - Co za historia!

- A jak już będzie po wszystkim, to znaczy, kiedy Dan zostanie właścicielem tych koni, to po prostu przestanie je poić wodą, pozwoli im znowu wygrywać i pewnie sprzeda je za grubszą forszę.

- Wcale niezła kombinacja.

- I taka prosta.

- Wiesz co - roześmiała się Kit - może byśmy też coś takiego zrobili. Płacimy taki szalony podatek wyrównawczy od twoich zarobków... a jak jedno z nas umrze, to przyjdzie zapłacić drugi raz podatek od znacznej części już poprzednio opodatkowanego kapitału.

- Nie ma chyba żadnej własności, której wartość podlega tak wielkim fluktuacjom, jak konie.

- No, to dokupmy jeszcze kilka.

- Trudność polega na tym, że po to, żeby coś takiego zorganizować, trzeba przede wszystkim wiedzieć dokładnie, co do miesiąca, kiedy się umrze.

- A niech to diabli - roześmiała się Kit. - Życie nie jest romanssem, a jeżeli jest, to bardzo kiepskim.

- Posłuchaj, dziewczyno, może przywiozę ci z tej kopalni kilka sztab złota.

- Będę ci bardzo wdzięczna.

- I zadzwonię niedługo... powiedzmy, w czwartek wieczorem. Z Parku Krugera. Czy czwartek ci odpowiada?

- Owszem - odparła głosem, z którego znikła już całkowicie wesołość. - Przedtem pojedę do Nerissy i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Rozdział dziewiąty

Dakoty jakoś nie mogą wyjść z obiegu.

Dwa takie aparaty stały na małym lotnisku, położonym tuż koło toru wyścigowego w Germiston, i wyglądały jak delfiny, które przysiadły na ogonach, wbijając w niebo stęsknione za lotem pyski.

Był poniedziałek, godzina ósma rano. Wraz z kilkoma innymi pasażerami i kupą frachtu załadowaliśmy się z Roderykiem na pokład samolotu. W niemilosiernym świetle poranka Roderyk nie wyglądał najlepiej. Młodzieńczy ubiór i fryzura podkreślały tylko jego wiek. Jest w końcu dojrzałym mężczyzną i niepotrzebnie marnuje okres życia, w którym można wyglądać bardzo interesująco. - pomyślałem sobie. - jeżeli nie zrobi czegoś, i to szybko, to ze starzejącym się młodzieńcem przemieni się niepostrzeżenie w zramolałego pryka. Jest to zjawisko, które daje się zaobserwować częściej wśród aktorów niż wśród dziennikarzy.

Miał na sobie brązową, zamszową kurtkę z długimi rękawami, obszytą we wszystkich możliwych miejscach frędzlą, a pod nią pomarańczową koszulę z otwartym kołnierzykiem, spodnie, skrojone tak, żeby podkreślały męskość, i najnowszy model sznurowanych butów.

Po chwili zjawiał się van Huren. Miał na sobie ciemny, elegancki garnitur i z właściwą sobie gościnnością i pewnością siebie poprosił pasażerów, żeby zajęli miejsca, i zarządził odlot. Po godzinie i dwustu pięćdziesięciu kilometrach lotu wylądowaliśmy w małym miasteczku o nazwie Welkom.

Niewielki autobusik zawiózł nas do kopalni van Hurena, położonej niedaleko od lotniska. Miasteczko było nowe, czyste, o geometrycznie rozplanowanych ulicach, wzdłuż których stały niewielkie, kwadratowe, kolorowe domki i kilka dużych, oszklonych supermarketów. Miasto w higienicznym opakowaniu, którego soki żywotne kryły się głęboko pod powierzchnią ziemi.

Cel naszej podróży wyglądał z daleka jak zgrupowanie kilkunastu jasnoszarych pagórków, przy czym na jeden z nich prowadził tor kolejki. Kiedyśmy podjechali bliżej, zobaczyliśmy coś w rodzaju wieży wiertniczej, kilka budynków administracyjnych, baraki mieszkalne dla robotników i całe tuziny pięknych, dekoracyjnych palm daktylowych. Te rozłożyste, liściaste drzewa, których skąpane w słońcu gałęzie kołysały się łagodnie w podmuchach lekkiego wiatru, przyczyniały się niewątpliwie do złagodzenia surowego krajobrazu. Jednym słowem, opakowanie było wspaniałe, gorzej pewnie z tym, co w środku.

Van Huren przeprosił nas uprzejmie za to, że nie może nam towarzyszyć w zwiedzaniu kopalni: miał kilka ważnych spotkań i wiele pilnych spraw do załatwienia.

- Ale spotkamy się na lunchu - przyrzekał - a przedtem na dobrze zasłużonym drinku.

Przydzielono nam młodego, dość ponurego Afrykanera, który oświadczył na wstępie, że nazywa się Pieter Losenwoldt, że jest inżynierem górnikiem, i dość niedwuznacznie dał nam do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty na spełnienie powierzonej mu misji, która krzyżuje mu plany i wcale go nie bawi.

Zaprowadził nas do szatni, gdzie nałożyliśmy białe kombinezony, ciężkie buciory i twarde hełmy. Wyglądaliśmy nagle zupełnie jednakowo.

- Proszę zostawić na sobie tylko bieliznę i mieć chustkę do nosa - zarządził nasz przewodnik. - Aparaty fotograficzne odpadają - dodał i rzucił wrogie spojrzenie na skomplikowany ekwipunek Konrada. - Flesze są niebezpieczne. Zapałki i zapalniczki również. Jednym słowem, nie zabieramy ze sobą absolutnie nic, ale to nic.

- A portfele? - zapytał Dan. Był zły i nie ukrywał tego.

Losenwoldt zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, stwierdził, że ma do czynienia z młodym człowiekiem niewątpliwie przystojniejszym, zamożniejszym i z pewnością sympatyczniejszym od siebie i zareagował na to jeszcze silniejszą niechęcią.

- Proszę wszystkie osobiste przedmioty zostawić - powtórzył niecierpliwie. - Pokój będzie zamknięty na klucz. Nic na pewno nie zginie.

Odszedł i po chwili powrócił w identycznym białym kombinezonie.

- Gotowi? No to świetnie. Zjedziemy na głębokość tysiąca dwustu metrów, z szybkością prawie tysiąca metrów na minutę. Na dole będzie miejscami bardzo gorąco. Gdyby któryś z panów poczuł się niedobrze, proszę mi natychmiast powiedzieć. Zorganizuję powrót na powierzchnię. Czy to jasne?

Pięć głów skinęło na znak zgody, ale żaden z nas nie uśmiechnął się.

Losenwoldt spojrzał nagle na mnie, najwyraźniej zaczęło mu się coś kojarzyć, ale po chwili wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Nie poznał mnie, a nikt nie miał ochoty powiedzieć mu, kim jestem.

- Na stole leżą lampy górnicze dla panów - oświadczył. - Proszę je nałożyć.

Lampy górnicze składały się z dwóch części - pudła z bateriami i reflektorka - połączonych ze sobą drutem elektrycznym. Pudło zakładało się przy pomocy parczianych pasów na biodra i przesuwało do tyłu, a reflektorek należało przymocować do przedniej części hełmu. Pudło okazało się niespodzianie ciężkie.

Gęsiego weszliśmy do windy, która miała tylko dwie ścianki. Ogarnęła nas z miejsca atmosfera kopalni. Całkowity brak wygod. Straszliwy hałas. I przykra świadomość zjeżdżania w głąb ziemi i tej ogromnej przestrzeni pod naszymi obutymi stopami.

Podobno zjazd na sam dół trwa niespełna dwie minuty, ale jako że stałem ściśnięty pomiędzy Evanem, którego zazwyczaj bystre oczy wyrażały nieklamany strach, a olbrzymim górnikiem, który wpełznął się wraz z grupą towarzyszy do windy przed samym odjazdem, trudno mi było patrzeć na zegarek.

Winda zatrzymała się gwałtownie i wyszliśmy z niej w tłum powracających na powierzchnię górników. Załadowali się błyskawicznie i winda natychmiast ruszyła w górę.

- Proszę siadać do elektrowozów - komenderował Losenwoldt. - W każdym mieści się dwanaście osób.

Elektrowozy wyglądały jak klatki metalowe na kółkach, w których mógłby się najwyżej zmieścić jeden duży pies, i to w pozycji embrionalnej. Konrad obejrzał je chłodnym okiem i mruknął do mnie półgłosem:

- Sardynki by zastrajkowały!

Roześmiałem się. Ale jak się niebawem okazało, w każdym z tych wozów mieściło się jednak po dwanaście osób. Ostatni pasażer musiał kucać w samych drzwiach i trzymać się, czego popadło. U nas ostatnim był Evan. Skulił się więc i uczeplił kieszeni Losenwoldta, który nie był tym bynajmniej zachwycony.

Jechaliśmy długim przekopem o ścianach wymalowanych na biało do wysokości mniej więcej półtora metra. Powyżej ciągnął się jaskrawoczerwony pas, szerokości mniej więcej pięciu centymetrów, a nad nim była już tylko szara skała.

Konrad zapytał Losenwoldta, co oznacza czerwony pas, ale musiał powtórzyć pytanie dwukrotnie i to na cały głos, bo inżynierowi wcale nie spieszyło się z odpowiedzią.

- To jest znak dla tych, którzy wyrabują przekop. Linia orientacyjna. Dzięki niej kopią równo i na tym samym poziomie.

Ujechaliśmy w milczeniu jakie trzy kilometry i zatrzymaliśmy się. Zrobiło się nieco ciszej i Losenwoldt powiedział:

- Wsiadamy. Dalej pójdziemy piechotą. Wygramoliliśmy się. Górnicy od razu poszli dalej, a Losenwoldt odezwał się raczej niechętnie (ale jednak się odezwał): - Proszę spojrzeć w górę. Te przewody ciągnące się pod stropem dostarczają prąd elektryczny. - Podnieśliśmy głowy i rzeczywiście zobaczyliśmy przewody i zawieszane w regularnych odstępach żarówki, które zapewniały przekopowi równomierne oświetlenie.

- Poza tym - ciągnął dalej Losenwoldt - jest też kabel, dostarczający prąd dla platform, którymi wywozi się urobek. Ładuje się go do windy, znacznie szybszej niż ta, którąśmy zjechali. Robi kilometr na minutę. Ta wielka rura nazywa się lutnia i pompuje powietrze do kopalni. Wentylacja odbywa się przy pomocy sprężonego powietrza, które wtłaczają kompresory, umieszczone w kilku punktach na powierzchni.

Wpatrywaliśmy się w niego jak grupa uczniów w surowego nauczyciela. Kiedy skończył swoją wyuczoną na pamięć wypowiedź, obrócił się na pięcie i ruszył w głąb przekopu.

Poszliśmy za nim.

„Natknęliśmy się na dużą grupę Murzynów, którzy szli w przeciwnym kierunku. Byli ubrani tak samo jak my, tyle że na kombinezony narzucili wełniane kurtki.

- Po co im te kurtki? - zapytał Roderyk.

- Tam dalej jest bardzo gorąco - odpowiedział Losenwoldt. - Organizm przyzwyczaja się do wysokiej temperatury. Jak wyjeżdża się potem na powierzchnię, można się łatwo przeziębć.

Evan kiwał głową ze zrozumieniem. Szliśmy dalej.

Doszliśmy do miejsca, w którym przekop rozszerzał się, tworząc komorę, a od niej - w prawo - odchodził drugi. Tutaj zgromadziła się inna grupa górników. Nakładali kurtki i meldowali się majstrowi, który sprawdzał każdego na liście.

- Schodzą ze zmiany - zawiadomił nas Losenwoldt krótko, z nienawiścią w głosie. - Sprawdza się listę, żeby, nie strzelano, dopóki wszyscy nie będą wycofani.

- Jak to strzelano? - zdziwił się Konrad.

- Tak się nazywa wysadzanie skały - nasz ekspert rzucił mu pogardliwe spojrzenie. - Kilofem nie da rady.

- Mnie się zdawało, że to jest kopalnia złota, drogi chłopcze. Czy żeby wydobyć złoto, trzeba aż wysadzać skałę? Sądziłem, że wykopuje się żwir i piasek, a potem przepuszcza to przez sito.

Losenwoldt spojrział na niego niemal z pogardą.

- Może tak jest w Kalifornii czy na Alasce, ale nie tutaj. W Południowej Afryce złoto nie jest na wierzchu. Tutaj mamy litą skałę, w której znajdują się minimalne cząsteczki złota. Skałę trzeba wysadzić, wywieźć na powierzchnię i poddać procesom technologicznym, żeby wydobyć z niej szczerę złoto. Jeżeli chodzi o naszą kopalnię, to z trzech ton surowca otrzymuje się po przeróbce jedną uncję czystego złota.

Zaskoczyło nas to. Dan aż otworzył usta ze zdumienia.

- Z niektórych tutejszych kopalni w okolicy Odendaalsrus - ciągnął Losenwoldt - otrzymuje się jedną uncję z półtorej tony. To te najbogatsze. Ale mamy i takie, które dają jedną uncję z trzech i pół, a nawet z czterech ton surowca.

- A czy z tego przekopu, przez który przeszliśmy, wydobyto już całe złoto? - zapytał Roderyk, za co na niego z kolei padło spojrzenie pełne pogardy.

- Ależ skąd! Kto by się tam przebijał przekopem przez złotodajną skałę? Ten tunel służy do transportu.

Prowadzi do pokładów, w których znajduje się złoto. Jest ono notabene dopiero na głębokości tysiąca dwustu metrów.

- Mój ty Boże! - krzyknął Konrad, wyrażając w ten sposób i nasze uczucia.

Losenwoldt kontynuował swój wykład. Był nadal opryskliwy, ale mimo to słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem.

- Żyła... to znaczy złotodajne złożenie... jest niezmiernie cienka. To po prostu bardzo płytka warstewka metalu uwięzionego w skale, ciągnąca się z północy na południe. Najgłębszy jej odcinek przypada nieco na południe od Welkom. Jest to obszar o kształcie prostokąta, długości około dwudziestu dwóch kilometrów z północy na południe i mniej więcej dwunastu kilometrów z wschodu na zachód, przy czym granice jego są dość nieregularne. W żadnym miejscu grubość żyły nie przekracza dziewięćdziesięciu centymetrów, a w tej kopalni wynosi przeciętnie trzydzieści dwa i pół centymetra.

Patrzyliśmy na niego ze zdumieniem, ale tylko Dan miał pytanie:

- To się chyba jednak musi opłacać - powiedział z powątpiewaniem. - Chociaż tyle wysiłku i ekwipunku idzie na tak małą ilość złota.

- Opłaca się - odparł Losenwoldt sucho - inaczej nie byłoby nas tutaj.

Tę zdawkową odpowiedź zinterpretowałem w duchu jako dowód braku wtajemniczenia w kalkulację przedsiębiorstwa. A jednak musi to być opłacalny interes, skoro van Huren może sobie pozwolić na takie luksusowe życie, pomyślałem.

Znowu zapanowało milczenie. Towarzystwo Losenwoldta nie sprzyjało miłym i pogodnym rozmowom. Nawet naturalna skłonność Evana do komenderowania nie znalazła ujścia. Już w windzie przypuszczałem, że się boi, a teraz wyglądał, jak gdyby nie mógł zapomnieć, iż nad jego głową piętrzą się miliony ton skały.

- No więc doskonale - odezwał się Losenwoldt, najwyraźniej zadowolony, że nareszcie zrobił na nas wrażenie. - Proszę zapalić lampy górnicze. Wchodzimy w strefę, w której nie ma już oświetlenia sufitowego. - Wskazał ręką przekop odchodzący w prawo. - Zaraz panowie zobaczą, jak wygląda wyrąb skały.

Szliśmy przez pewien czas prosto przed siebie, potem skręciliśmy w prawo. Kiedy podchodziliśmy do zakrętu, do uszu naszych doszedł dość silny i stale natężający się szum.

- Co to jest? - zapytał Evan nerwowo.

- Częściowo klimatyzacja, częściowo wiercenie - rzucił mu Losenwoldt przez ramię. Po chwili skończyły się żarówki sufitowe, ale lampki na naszych hełmach wyznaczały trasę.

Nagle zauważyliśmy prócz strumieni naszych własnych świateł jeszcze trzy, zaczynające się gdzieś na przodzie, a skierowane w tym samym kierunku. Po kilkunastu

krokach zorientowaliśmy się, że pochodzą również z lamp górniczych, ale odbijają się od litej skały. Doszliśmy bowiem do końca przekopu.

Tutaj ściany nie były już pomalowane na miłą oku biel, zakończoną czerwoną linią. Były szare i chropowate.

Przewód wentylacyjny urywał się nagle, a z jego szerokiego otworu wydobywał się świszczący strumień powietrza. Do tego dochodził z oddali terkot świdrów, tak ostry i przenikliwy, że aż bolesny dla uszu. Hałas był tu chyba większy niż w sześciu dyskotekach razem wziętych.

Ustawieni na drewnianej platformie trzech górniczy wiercili dziurę tuż pod stropem, na wysokości mniej więcej dwóch i pół metra. Światła naszych lamp odbijały się od czarnej, błyszczącej od potu skóry, od materiału ich cienkich spodni i bluz. Zwróciłem uwagę, że tylko oni nie mieli na sobie grubych białych kombinezonów.

Głównym źródłem hałasu okazała się sprężarka, nie mówiąc o samym świdrze. Przez chwilę przyglądaliśmy się robocie, a Evan nawet usiłował o coś zapytać, ale zrozumieć go w tych warunkach mógłby jedynie człowiek potrafiący czytać z warg.

Losenwoldt stał z zaciśniętymi szczękami. Po chwili dał sygnał i ruszył z powrotem, a my za nim. Byliśmy zadowoleni, że oddaliśmy się od tego potwornego hałasu. Szedłem na samym końcu, a kiedy dotarłem do miejsca, w którym znajdowało się zakończenie przewodu wentylacyjnego, skręciłem, zgasilem na chwilę swoją lampę i obejrzałem się za siebie. Trzej górniczy wciąż stali na rusztowaniu, odizolowani od świata nieczłowiecznym terkotem, całkowicie skoncentrowani na swojej pracy, oświetleni teraz wyłącznie podobnymi do robaczek świętojańskich lampami górniczymi na hełmach. Kiedy odwróciłem się i odejdę, głęboka ciemność znowu zatrzaśnie się za ich plecami. Pozostał mi w pamięci ten obraz, widok trzech diabłów przewiercających się do piekła.

Kiedy znaleźliśmy się na powrót w szerszym odcinku przekopu, Losenwoldt kontynuował swój wykład.

- Ci ludzie - powiedział - wiercą otwory głębokie na metr osiemdziesiąt przy pomocy świdrów z końcówkami tungstenowymi. To, co tu leży - wskazał palcem za siebie - to właśnie te świdy.

Zobaczyliśmy ułożoną pod ścianą stertę długich prętów metalowych, które przedtem wziąłem po prostu za rury. Były to jednak pełne pręty metalowe o przekroju mniej więcej 5 centymetrów z końcówkami z tungstenu.

- Te pręty trzeba co dzień wywozić i ostrzyć - objaśniał Losenwoldt.

Kiwaliśmy głowami jak sowy.

- Ci trzech górniczy już prawie ukończyli dzisiejszą robotę. Wywiercili kilkanaście otworów na przodku. Do każdego z nich zostanie wsunięty i odpalony ładunek materiału wybuchowego. Potem wywozi się gruz na powierzchnię, a wiertacze zabierają się do wiercenia nowych otworów.

- He metrów można się posunąć w ciągu jednego dnia? - zapytał Roderyk.

- Postęp wynosi około dwóch i pół metra dziennie. Evan oparł się o ścianę i drżącą ręką otarł spocone czoło, które śmiało mogło konkurować z czołem samego Clifforda Wenkinsa.

- Czy wy tu nie podpieracie stropów? Losenwoldt odpowiedział mu rzeczowo i nie dał poznać po sobie, czy rozumie, że pytanie jest podszyte strachem.

- Skąd? Przecież wiercimy w litej skale, a nie w ziemi. Nie ma mowy o tym, żeby się przekop mógł zawalić. Zdarza się od czasu do czasu, że ze stropu albo ze ściany odpada kawał skały. Zazwyczaj na świeżych odcinkach. Usuwamy obluzowane kawałki, żeby nie mogły spaść komuś na głowę.

Evan wciąż wyglądał na człowieka zaniepokojonego.

Znowu wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i wytarł spoconą twarz.

- Jakiego materiału wybuchowego używacie? - zapytał Dan.

Losenwoldt udawał, że nie słyszy, ale Roderyk powtórzył pytanie.

Inżynier westchnął ostentacyjnie, a potem odparł głosem jeszcze bardziej niecierpliwym:

- Nazywa się dynagel. Jest w postaci czarnego proszku. Trzymamy go w szczelnie zamkniętych czerwonych puszkach przymocowanych do ścian przekopu.

Wskazał na jedną z tych puszek. Przypomniałem sobie, że już przedtem zauważyłem dwie czy trzy, ale nie zastanawiałem się, co w nich jest.

Tonem dość sarkastycznym Dan zwrócił się do Roderyka:

- Proszę go zapytać, jak to wygląda? Losenwoldt wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Nikt tego zresztą nie widzi. Wszyscy przedtem wychodzą. Dopiero w cztery godziny po strzale wolno wrócić na dół.

- A dlaczego tak późno, drogi chłopcze? - zainteresował się Konrad.

- Pył - odparł krótko Losenwoldt.

- A kiedy zobaczymy te złoża... no... tę żyłę złota? - dowiadywał się Dan.

- Za chwilę - Losenwoldt wskazał na odchodzącą w prawo odnogę przekopu. - Uprzedzam, że dalej będzie bardzo gorąco, bo tam nie dociera klimatyzacja. Potem znowu

będzie lepsze powietrze. Proszę nie gasić lamp, będą panom potrzebne. I trzeba patrzeć pod nogi, bo spąg, to jest podłoga, jest bardzo nierówny.

Skończył, odwrócił się i ruszył przed siebie. A my za nim.

- Czy jesteś okey? - zapytałem w pewnym momencie Evana zły, że podejrzewałem go o tchórzostwo, wrzasnął, iż czuje się bardzo dobrze i że nie uważam go chyba za niedołągę.

- Oczywiście, że nie - zapewniłem go.

- No więc, o co ci chodzi? - warknął, przyspieszył kroku i dogonił Losenwoldta, widocznie po to, żeby nie uronić ani jednego ze słów, jakie padały z ust naszego przewodnika. Zostałem więc znowu sam na końcu orszaku.

Weszliśmy po chwili rzeczywiście w strefę bardzo gorącego, ale za to tak suchego powietrza, że prawie przestaliśmy się pocić. Ziemia pod naszymi stopami była nierówna i pełna wybojów, ściany przekopu grubo ciosane. Nie było na nich ani białej farby, ani czerwonej linii. Miałem wrażenie, że teren się obniża. Szliśmy powoli, a pod stopami chrząścił gruby żwir.

Dokoła panowała ożywiona praca. Ludzie w białych kombinezonach krzatali się, dźwigając ciężki ekwipunek, przy czym ich lampy górnicze oświetlały zniecała coraz to inną twarz. Daszki hełmów rzucały głęboki cień na oczy, tak że wszyscy wyglądali jednakowo, toteż od czasu do czasu zmuszony byłem dotknąć ramienia idącego przede mną Roderyka, żeby upewnić się, czy jestem za właściwą osobą.

Nagle, jak ręką uciął, strefa gorąca skończyła się i weszliśmy ponownie w obszar klimatyzacji. Było tak, jak gdybyśmy niespodziewanie znaleźli się na biegunie północnym. Losenwoldt przystanął i wdał się w rozmowę z dwoma młodymi górnikiemami.

- Tutaj się rozdzielimy - oświadczył nam. - Wy dwaj pójdziecie ze mną - dodał, wskazując na Roderyka i Evana. - A wy dwaj pójdziecie z Andersem. - Przydzielił machnięciem ręki Konrada i Dana do nieco wyższego, a poza tym bardzo do niego podobnego faceta. Wskazał na mnie. - Pana weźmie Yates.

Yates był bardzo młody, niezwykle ugrzeczniony i wyjątkowo brzydki. Mówił bardzo niewyraźnie, prawdopodobnie z powodu źle zaszytej zajęczej wargi. Uśmiechnął się do mnie krzywo i powiedział, że w życiu jeszcze nikogo nie oprowadzał po kopalni, bo to nie należy do jego obowiązków.

- Jestem panu bardzo wdzięczny - powiedziałem, żeby go lepiej usposobić.

Moi towarzysze oddalili się już i zmieszali z gromadkami innych, również w białe kombinezony odzianych postaci.

- No, to ruszamy.

Zapytałem mojego nowego przewodnika, jakie tu jest nachylenie terenu.

- Mniej więcej pięć procent - odparł i zamilkł. Zrozumiałem, że jeżeli zechcę się jeszcze czegoś dowiedzieć, to będę musiał stawiać pytania. Yates, w odróżnieniu od Losenwoldta, nie był zawodowym przewodnikiem i nie miał opracowanego tekstu. Doszedłem do wniosku, że może jednak Losenwoldt nie był najgorszy.

W lewej ścianie przekopu ziały wielkie otwory.

- Myślałem, że to jest lita skała - zauważyłem. - Skąd te wielkie otwory?

- Dotarliśmy już do złoża. Z tej ściany cały surowiec jest już wydobyty. Za chwilę zobaczy pan sam.

- Czy żyła jest nachylona pod tym samym kątem co chodnik, którym idziemy?

- Naturalnie - zdziwił się.

- A ten przekop, który teraz wiercicie, dokąd prowadzi?

- Do innej żyły, oczywiście.

Głupie pytanie. Żyła ciągnęła się, jak już wiedziałem, na długości wielu kilometrów. Wydobywanie jej równa się mniej więcej wydłubowaniu cieniutkiego plasterka szynki z grubego sandwicza, pomyślałem.

- A jak już cała żyła jest wyeksploatowana, to co wtedy? - zapytałem. - Co robicie, żeby się teren nie zapadł?

Odpowiedział mi nawet dość chętnie.

- Widzi pan, jesteśmy ostrożni. Na przykład tutaj. Ściany chodnika są wystarczająco grube, pomimo tych wielkich otworów po odpaleniu ładunku, żeby trzymać strop. Kiedy cały ten odcinek będzie wyeksploatowany, opuścimy go i z czasem ściany zsuną się i przekop zniknie. O ile wiem, to Johannesburg osiadł na jakie pół metra od czasu, kiedy usunięto żyłę złota, która się pod nim ciągnęła, i zlikwidowano kopalnię.

- Nie było to chyba w ostatnich czasach? - zdziwiłem się.

- Nie, skąd. To było bardzo dawno. Pokłady złota na terenie Randu są dosyć płytkie i tam właśnie był początek eksploatacji.

Przegoniła nas grupa robotników, dźwigających tungstenowe świdry. Inni mijali nas, kierując się ku wyjściu.

- Za chwilę odpalą - oświadczył Yates nie pytany. - Wiercenie jest zakończone i odbywa się zakładanie ładunków.

- Nie pozostało nam więc wiele czasu?

- Chyba nie.

- Bardzo bym chciał zobaczyć pracę bezpośrednio na przodku.

- No tak... rozumiem. To jeszcze kawałek stąd. Pokażę panu najbliższy odcinek. Chociaż dalej są znacznie bogatsze złoża.

Dotarliśmy do otworu w ścianie, który wydawał się większy od poprzednich. Na oko miał chyba z półtora metra przekroju, ale od razu gwałtownie opadał.

- Niech pan uważa na głowę - powiedział Yates. - Strop jest bardzo niski.

- Okej - odparłem.

Gestem pokazał, żebym szedł naprzód. Pochyliłem się więc nisko i wlałem do chodnika. Ciągnął się w prawo i lewo. Spora część szynki była, widać, już wydłubana z tego sandwicza.

Zamiast po solidnym kamieniu, szliśmy teraz po żwirze i ostrych odłamkach skalnych, które usuwały nam się spod nóg. Zatrzymałem się, żeby poczekać na Yatesa. Okazało się, że jest tuż za mną. Patrzył w prawo, gdzie niedaleko od nas grupa górników krzątała się przy mniej więcej dziesięciometrowych odcinku wklęsłej ściany.

- Sprawdzają po raz ostatni ładunki - wytłumaczył mi Yates. - Za chwilę wszyscy się wycofają.

- Ten gruz, po którym chodzimy - zapytałem - czy to już surowiec?

- Nie... skąd. To są po prostu odłamki skalne. Bo widzi pan, żyła przebiegała mniej więcej przez środek chodnika.

- Tego tutaj?

- No tak. Stąd cały surowiec jest już usunięty.

- Ale niech mi pan jeszcze powie, jak wy odróżnicie skałę zawierającą złoto od zwykłej, płonnej?

Mnie wszystkie ściany wydawały się jednakowe. Szare od góry do dołu, podobnie jak strop i podłoga.

- Niech pan poczeka, pokażę panu kawał surowca - powiedział i poczołgał się na czworakach w kierunku pracujących robotników. Chodnik był tak niski, że można w nim było tylko kucać, najwyżej uklęknąć i to z opuszczoną głową. Przykucnąłem więc i przyglądałem się, jak Yates przy pomocy pożyczonego od jednego z ludzi kilofa odrąbuje od ściany niewielki kawałek skały.

Przyczołgał się z powrotem.

- No proszę. Ma pan. Oto nasz surowiec. Nakierowaliśmy obydwaj lampy na wręczony mi przez Yatesa odprysk skalny. Miał ze cztery centymetry długości, był szary, z ciemniejszymi, lekko połyskliwymi łatami i żyłkami.

- Co to jest to ciemne? - zapytałem.

- To jest kruszec. A to jaśniejsze, to zwykły kamień. Im więcej ciemniejszych plam w skale, tym większa zawartość złota.

- A więc to ciemne to... złoto?

- Nie tylko. Naprawdę to nasz surowiec zawiera: złoto, srebro, uran i chrom. Po wydobyciu poddaje się go przeróbce i rozdziela zawarte w nim metale. Złota jest znacznie więcej niż srebra czy uranu.

- Czy mógłbym to sobie zabrać na pamiątkę?

- Oczywiście. - Chrząknął i dodał po chwili: - Bardzo pana przepraszam, ale jestem tu potrzebny. Chyba trafi pan sam do głównego przekopu? To bardzo proste. Nie można zabłądzić, nawet gdyby się chciało.

- Oczywiście - zgodziłem się. - Poradzę sobie doskonale. Nie chciałbym panu przeszkadzać w pracy.

- Bardzo dziękuję - odparł i pospiesznie powrócił do miejsca, w którym sprawdzano ładunki, co go zapewne naprawdę interesowało.

Leżałem jeszcze przez chwilę i przyglądałem się tej pracy. Światło mojej lampy oświetlało niewielką przestrzeń chodnika. Dalej panowała najczarniejsza z ciemności.

Górnicy w pojedynkę czy dwójkami zaczęli wycofywać się z chodnika. Włożyłem mój kawałek skały do kieszeni, rzuciłem ostatnie spojrzenie w głąb ziejącego otworu i zacząłem się ostrożnie cofać. Usłyszałem, że ktoś wsuwa się przez otwór do chodnika, światło czyjejs lampy górniczej padło na mój kombinezon, zatrzymałem się, żeby zrobić miejsce. Odwróciłem głowę, ale nad ciemnością zobaczyłem tylko czubek hełmu.

A potem mój własny hełm zsunął mi się na oczy i ogromny kawał Afryki runął na tył mojej głowy.

Oszołomiony czułem tylko, jak zadziwiająco powoli uchodzi ze mnie świadomość. Leciałem w dół przez nie kończące się czarne przekopy, a przed oczami migotały mi tysiące iskierek.

Straciłem przytomność, jeszcze zanim dobiłem do dna.

Rozdział dziesiąty

Ciemność. Cisza.

Otwieram oczy. Nic nie widzę. Wymacuję dłońmi powieki, żeby zobaczyć, czy są otwarte. Są.

Nic nie pamiętam. Nie wiem, gdzie jestem, skąd się tu wziąłem, dlaczego nic nie widzę. Czas się zatrzymał. Nie mogę zorientować się, czy to sen, czy jawa i przez dobrą chwilę nie potrafię przypomnieć sobie własnego imienia.

Zapadam znowu w nicość. Wracam. Jestem nagle zupełnie przytomny. Wiem już, że to nie sen. Wiem już, kim jestem.

Wciąż jednak nic nie widzę.

Poruszam się ostrożnie. Próbuję usiąść. Okazuje się, że leżę na boku. Przy poruszaniu się czuję pod sobą ostre kamienie, słyszę zgrzyt żwiru.

Jestem więc w chodniku.

Delikatnie podnoszę rękę. Strop znajduje się o pół metra nade mną.

Zgubiłem hełm. Na ciemieniu wymacuję guz. Pulsuje w nim tępy ból.

A niech to wszyscy diabli! Musiałem się wyrznąć w głowę. Jestem więc w chodniku. Nie widzę nic, bo moja lampa zgasła. Wszyscy opuścili kopalnię. Za chwilę wystrzelą ładunki dynagelu.

Przez długi, strasznie długi czas nęka mnie jedna, jedyna, natrętna myśl, że rozlecę się w kawałki i to w mgnieniu oka. Potem żałuję już tylko, że wybuch nie nastąpił, zanim odzyskałem przytomność. Przynajmniej nie musiałbym się bać. Ale po chwili zaczynam się jednak zastanawiać, czy nie dałoby się jakoś wyjść z tej opresji.

Najpierw światło.

Obmacywałem podłogę, natrafiłem na przewód mojej lampy górniczej i zacząłem go delikatnie pociągać ku sobie. Ale okazało się, że zarówno szybka, jak i żarówka są roztrzaskane.

Próbowałem znaleźć hełm, ale na próżno.

Muszę się stąd koniecznie wydostać, myślałem ogarnięty paniką, a zaraz potem pojawiło się pytanie: ale jak? Jak? Którędy?

Zmusiłem się do spokoju. Ostatnia rzecz, jaką powiedziałem do Yatesa, to że potrafię wyjść stąd bez jego pomocy. Pewnie wyprostowałem się zbyt gwałtownie i wyrznąłem głową w strop. Co za idiota ze mnie! Nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Tylko jedna rzecz była zupełnie pewna: padając rozbiłem lampę górniczą i nikt nie zauważył mnie leżącego bez przytomności w tych egipskich ciemnościach.

Co za kretyń z ciebie, człowieku, co za patentowany dureń, co za cholerna niezgraba!

Wyciągnąłem rękę i ostrożnie poczołgałem się o jakie ćwierć metra w przód. Natrafiłem tylko na żwir i odpryski skalne.

Muszę się zorientować, czy posuwam się w dobrym kierunku bo może w głąb chodnika, a nie ku wyjściu. Musisz znaleźć otwór prowadzący do przekopu, powtarzałem w myślach.

Zebrałem garść drobnych kamyków i metodycznie, zacząłem rzucać je w okalającą mnie przestrzeń - zaczynając z prawa i zataczając koło. Niektóre uderzały w strop, inne w ziemię, ale wiele z nich leciało znacznie dalej, tak daleko, że doszedłem do wniosku, iż przede mną znajduje się wolna przestrzeń.

Przewróciłem się na plecy. Pudło z bateriami wbijało mi się w ciało, więc odpiąłem pasy i pozbyłem się go. Następnie zacząłem znowu rzucać kamyki w kierunku, który wyznaczały moje stopy.

Ściana oddzielająca chodnik od przekopu była więc na pewno przede mną. Wskazywał na to odgłos uderzających w nią kamyków.

Serce waliło mi tak mocno, że aż mnie ogłuszało. Uspokój się, uspokój się, uspokój się - rozkazywałem mu. Przestań się tak cholernie bać, człowieku, przestań, bo i tak nic ci to nie pomoże.

Dalej ciskałem kamykami przed siebie - teraz już tylko po to, żeby wypunktować otwór a nie ścianę. Znalazłem go niemal natychmiast. Dla pewności rzuciłem jeszcze kilka kamyków. Doszedłem do wniosku, że otwór znajduje się na pewno tuż na lewo przed moimi stopami, ponieważ rzucane w tym kierunku kamyki leciały dalej, a kiedy padały na ziemię, nie toczyły się wprawdzie w dół, bo nie były okrągłe, ale zsuwały się po krótkiej, pochyłej krawędzi pomiędzy otworem a przekopem.

Jeszcze kilka rzutów kamykami. Potem wyprostowałem nogi i zacząłem powoli przesuwając całe ciało, aż moje stopy znalazły się u wylotu otworu. Teraz posuwałem się już śmielej na pośladkach i łokciach. Uważałem, żeby nie podnosić głowy.

Jeszcze kilka kamyczków. Otwór wciąż jest przede mną. Dobrze.

Jeszcze kilka ruchów naprzód. Jeszcze jedna próba z kamyczkami.

Cały ten odcinek mógł mieć najwyżej trzy metry. A mnie zdawało się, że czołgam się już od godziny.

Podniosłem ręce do góry. Trafiłem na strop.

Posunąłem się o blisko metr. Rozłożyłem ręce na boki. Po prawej stronie dotknąłem skały.

Jeszcze trzydzieści centymetrów. Poczułem, że teren gwałtownie opada, zgiąłem więc nogi w kolanach, znowu rozłożyłem ręce i stwierdziłem, że teraz już mam skały po jednej i drugiej stronie. A więc zaraz znajdę się w przekopie. Powoli, ostrożnie posuwam się naprzód. Wreszcie czuję pod stopami twardy grunt.

Przez dłuższy czas byłem jeszcze bardzo ostrożny. Nie miałem odwagi wyprostować się ani unieść głowy. Dobrze pamiętałem bowiem, jak twardy jest strop, a jak miękka moja niechroniona hełmem głowa.

Wreszcie - wciąż na czworakach - znalazłem się w przekopie - zdyszany i wcale nie mniej przestraszony niż w chodniku.

Trzeba się chwilę zastanowić.

Kiedy szliśmy przekopem, otwory prowadzące do chodników znajdowały się po mojej lewej ręce. Yates powiedział, że jak dojdę do przekopu, to nie będę już mógł zabłądzić.

W porządku. Trzeba więc skręcić w prawo i iść przed siebie. To dziecinnie proste.

Wyprostowałem się powoli i zostawiając za sobą otwór, skręciłem w prawo, wymacałem prawą ręką chropowatą, kamienną ścianę i zrobiłem krok w przód.

Zgrzyt moich butów po żwirze uświadomił mi ogrom panującej tu ciszy. Niedawno jeszcze stuk kamyczków, i walenie własnego serca wypełniały mi uszy. Teraz nic. Tylko ta cisza, równie głęboka jak ciemność.

Nie marnowałem jednakże czasu na rozmyślenia. Szybko, ale niezmiernie ostrożnie posuwałem się naprzód. Krok za krokiem. Jest cicho... to znaczy, że klimatyzacja została już wyłączona... to nieważne, powietrza mi na pewno starczy... a o gorąco mniejsza.

Nagle moja ręka straciła kontakt ze ścianą i serce znowu zaczęło bić w przyspieszonym tempie. Nabrałem powietrza w płuca i zrobiłem krok w tył. Prawa dłoń znowu trafiła na ścianę. O.K. Odetchnąłem z ulgą. Teraz klęknij, człowieku, i posuwaj się naprzód, ale nie trać kontaktu z prawą ścianą... w ten sposób miniesz następny otwór prowadzący z przekopu do chodnika. Otwór, przez który po wystrzeleniu ładunków buchnie szalona eksplozja.

Eksplozja, dokonująca się na niewielkiej przestrzeni, ma kolosalną siłę. Siłę zabójczą, tym groźniejszą, jeżeli towarzyszą jej latające kawałki skały.

O Boże, nasłałem. I jeszcze: Niech to wszyscy diabli! O czym myślą ludzie tuż przed śmiercią?

Ja na razie myślałem wyłącznie o tym, jak stąd wyjść możliwie jak najszybciej i uciec jak najdalej. Myślałem o tym, że nie wolno mojej ręce stracić kontaktu z prawą ścianą, bo o wówczas mógłbym stracić również orientację, odwrócić się, pomylić ściany i pójść w kierunku wybuchu. Poza tym nie myślałem absolutnie o niczym innym. Nawet o Kit.

Szedłem więc naprzód. Było coraz goręcej. Temperatura na odcinku, który wydawał nam się najduszniejszy, kiedyśmy szli do chodnika, była teraz po prostu nie do zniesienia.

Nie miałem pojęcia, z jaką szybkością posuwam się naprzód. Zdawało mi się, że bardzo powoli. Był to istny koszmar. Miewa się czasami takie sny, w których coś goni za nami, a my jesteśmy jak sparaliżowani.

*

Po długim czasie dotarłem wreszcie do miejsca, w którym przekop się rozszerzał, a eksplozji jakoś nie było. Wiedziałem, że w odnodze przekopu też miał nastąpić wybuch, ale tego bałem się mniej, bo sądziłem, że zakręt trochę złagodzi jego siłę.

Budziła się we mnie słaba nadzieja. Przesuwając prawą rękę po ścianie, trzymałem się jej, jak gdyby moje życie od tego zależało - no bo rzeczywiście tak było - i powoli posuwałem się naprzód. Zostało mi chyba z półtora kilometra do wylotu przekopu... a każdy krok zbliżał mnie do upragnionego celu.

Jednakże dynagel wcale nie wybuchł. Przynajmniej dopóki ja znajdowałem się na terenie kopalni.

Nagle oślepiło mnie jaskrawe światło.

Zamknąłem oczy, broniąc się przed tą inwazją jasności, stanąłem i oparłem się o ścianę. Kiedy uniosłem powieki, żarówki na stropie jarzyły się pełnym blaskiem, a przede mną ciągnął się bezpieczny, pomalowany na biało znajomy swojski przekop.

Ulga była tak nagła, niespodziana i cudowna, że aż się pode mną ugięły kolana. Ruszyłem teraz przed siebie na trzęsących się nogach. Miałem okrutny ból głowy, zupełnie jak po dużej wódce.

Powrócił znajomy szum, a z głębi przekopu zaczął dochodzić inny dźwięk. Stawał się coraz to wyraźniejszy i głośniejszy, aż wreszcie zobaczyłem elektryczną klatkę na kółkach, w której odbyłem tak niedawno podróż w głąb kopalni.

Elektrowóz podjechał, rozległo się tupanie ciężkich butów i po chwili z za płytkiego zakrętu wyłoniła się grupa ludzi w białych kombinezonach.

Spieszyło im się.

Kiedy mnie spostrzegli, puścili się biegiem i zatrzymali się tuż przede mną. Na twarzach ich malowała się wielka ulga. Jednym z nich był Losenwoltd. Pozostałych nie znałem.

- Pan Lincoln?... to pan...? Czy wszystko w porządku? - zapytał jeden z nich.

- Pewnie - odparłem lekko roztrzęsionym głosem. - W porządku - dodałem.

- Jak to się stało, że się pan zawieruszył? - zapytał z kolei Losenwoltd, nie bez pretensji w głosie. Nie mógł wiedzieć, że nie zamierzałem obciążać go jakąkolwiek winą. Ale wolał się widać zaasekurować.

- Bardzo mi przykro, że sprawiłem panom kłopot.. chyba wyrząłem się głową o strop i straciłem przytomność. Chociaż, prawdę mówiąc, nic nie pamiętam... - Zmarszczyłem brwi.

- Ale ze mnie idiota!

- W którym to było miejscu? - zapytał jeden z ludzi.

- W chodniku - odpowiedziałem.

- Wielkie nieba... musiał się pan zbyt gwałtownie wyprostować... a może spadł panu na głowę kawał skały ze stropu.

- Chyba tak - mruknąłem.

- Ale skoro stracił pan przytomność w chodniku, to jak pan tu doszedł? Jak pan się stamtąd wydostał?

Opowiedziałem im o kamykach. Nie odezwali się, tylko popatrzyli po sobie.

Jeden z nich obejrzał mnie ze wszystkich stron, a potem powiedział: - Ma pan trochę wyschniętej krwi we włosach... Czy zdoła pan o własnych siłach podejść do elektrowozu? Na wszelki wypadek przynieśliśmy nosze.

Uśmiechnąłem się.

- Chyba dojdę - powiedziałem. Ruszyliśmy.

- Kiedy zorientowaliście się, że pozostałem w tyle? - zapytałem.

- Mamy niby to bezbłędny system sprawdzania, czy wszyscy ludzie są wyewakuowani, zanim nada się sygnał do strzelania. I chyba tak jest z górnikiemami. Inna sprawa to osoby postronne... bo widzi pan, taka grupa nieoficjalnych gości jak panowie zdarza się u nas bardzo rzadko. Pan van Huren prawie nigdy nikogo nie zaprasza, a poza nim nikt nie jest do tego uprawniony. Odwiedzają nas wyłącznie grupy turystów po dwadzieścia osób i wówczas praca w kopalni właściwie zamiera. To bywa nie częściej niż raz na sześć tygodni. W te dni w ogóle nie strzelamy. Ale dzisiaj jeden z pańskich kolegów zasłabł i trzeba go było odesłać na powierzchnię i o ile się orientuję, wszyscy byli pewni, że pan pojechał razem z nim. Tim Yates powiedział, że kiedy się z panem rozstawał, pan zabierał się do wyjścia z chodnika.

- Tak było - zgodziłem się. - Pamiętam.

- Pozostali trzej goście wyszli razem, a potem wszyscy górnicy zostali odliczeni i ewakuowani. Za chwilę mieliśmy dać sygnał do strzelania.

Wysoki, chudy mężczyzna podjął wątek.

- Ale wtedy kontroler, który sprawdza ilość zjeżdżających i wjeżdżających windą pasażerów, oświadczył, że jego zdaniem brakuje jednego człowieka. Brygadierzy stwierdzili, że nie może to być żaden z górników, bo ci zostali odliczeni. Ale windziarz uparł się.

Doszliśmy do wniosku, że w grę mogą wchodzić wyłącznie goście. Postanowiliśmy sprawdzić. W garderobie zastaliśmy trzech panów, którzy oświadczyli nam, że pan się jeszcze nie zjawił, że ubranie pańskie wisi w szafce i żebyśmy sprawdzili w ambulatorium, bo na pewno poszedł pan tam ze swoim przyjacielem. Nazywa się Konrad, o ile pamiętam.

- Konrad! - krzyknąłem. Przez cały czas byłem pewny, że zasłabł Evan. - A co mu się stało?

- Zdaje się, że dostał ataku astmy. W każdym razie poszliśmy do ambulatorium i dowiedzieliśmy się od niego, że pan z nim nie wyjechał na powierzchnię.

- No tak - odparłem z namysłem. - Tak jest. Gdybym był z nim, kiedy zachorował, na pewno bym mu towarzyszył do ambulatorium. Ale od momentu, kiedy nas rozdzielono przy wejściu do chodnika, nie widziałem go już.

Podeszliśmy do elektrowozu i załadowaliśmy się. Zamiast dwunastu było nas teraz pięciu. Podróż luksusowa.

- Ten co zachorował - powiedział Losenwoldt agresywnie - wie pan który, ten tęgi z opadającymi wąsami, nie był w mojej grupie. Ja na pewno odprowadziłbym go osobiście do elektrowozu i wiedziałbym oczywiście, że pana z nim nie było.

- Oczywiście - potwierdziłem sucho. Podjechaliśmy do windy, wsiedliśmy do niej, rozległy się sygnały i dzwonki, wreszcie ruszyliśmy do góry. Po dwóch minutach znaleźliśmy się na powierzchni. Słońce świeciło niemiłosiernym blaskiem, a pomimo to zrobiło mi się tak zimno, że zacząłem drżeć na całym ciele.

- On jest za lekko ubrany! - krzyknął jeden z moich ratowników. - Ale przecież zabraliśmy z sobą koc. Trzeba go było owinąć.

Pobiegł do jednego z niewielkich domków, ustawionych dokoła szybu, i powrócił ze starą samodziałową marynarką, którą zarzucił mi na ramiona.

Oczekiwał mnie komitet recepcyjny, złożony z moich dość przerażonych towarzyszy podróży. Evan, Roderyk, Dan i van Huren powitali mnie z niekłamaną ulgą.

- Mój drogi - odezwał się van Huren. - Cóż mogę powiedzieć?

- Ależ to moja własna wina - uspokajałem go. - Jest mi szalenie przykro, że sprawiłem wam tyle kłopotu swoją osobą...

Van Huren był bardzo uradowany, podobnie zresztą jak pozostali. Zwróciłem się do trzech mężczyzn, którzy mnie odnaleźli. Okazało się, że Losenwoldt już się ulotnił.

- Dziękuję panom bardzo serdecznie - powiedziałem. - Bardzo, bardzo serdecznie.

Uśmiechnęli się od ucha do ucha.

- Żądamy zapłaty - powiedział jeden z nich. Musiałem mieć głupią minę, gdy zacząłem się zastanawiać, ile im ofiarować pieniędzy.

- Pańskiego autografu - wyjaśnili.

- Ach tak! - roześmiałem się głośno.

Jeden z nich wyciągnął z kieszeni notatnik. Napisałem po kilka miłych słów na trzech oddzielnych kartkach. Niewielka fatyga za tak wielką przysługę, pomyślałem.

*

Dyżurny lekarz obmył mi ranę na głowie, oświadczył, że jest płytka, że to nie poważnego, nie wymaga zeszycia, a nawet plastra, chyba że sobie tego życzę...

- Nie, nie życzę sobie - powiedziałem.

- No to świetnie. Niech pan weźmie te proszki przeciwbólowe.

Posłusznie przełknąłem dwa. Potem poszedłem po Konrada, który leżał w sąsiedniej izbie, ale oddychał już zupełnie normalnie, i zabrałem go do wskazanej mi jadalni na lunch. Po drodze opowiedzieliśmy sobie nasze przygody. Żaden z nas nie był z siebie zadowolony.

Zasiedliśmy wraz z van Hurem i jeszcze dwoma urzędnikami kopalni, których mi nie przedstawiono, do stołu. Rozmowa toczyła się wokół mojego cudownego odratowania. Z wielkim naciskiem poprosiłem Roderyka, żeby był uprzejmy nie pisać o tej historii na łamach swojej gazety.

Roderyk uśmiechnął się.

- Pewnie... gdyby pana rozerwało na kawałki, to byłaby naprawdę sensacja. Ale tak? To, że urzędnik odpowiedzialny za ewakuowanie kopalni dobrze się spisał, nie jest znowu taką ważną wiadomością.

- I dzięki Bogu - mruknąłem. Konrad spojrział na mnie podejrzliwie.

- Drogi chłopcze, jakiś dziwny pech prześladowuje cię od chwili, kiedy przyjechałeś do Afryki. Drugi raz w ciągu jednego tygodnia o mały włos nie wykitowałeś.

- Żaden pech. Odwrotnie. Dwa razy cudem umknąłem śmierci. Ja tak na to patrzę.

- Do trzech razy sztuka - powiedział Konrad.

*

Po pewnym czasie rozmowa oczywiście zeszła na złoto. Mam wrażenie, że jest to rzecz równie normalna w Welkom, jak rozmowa o koniach w Newmarket.

- Proszę mi powiedzieć, jak oddziela się złoto od skały? - zapytał Dan. - Przecież jest ledwo widoczne.

Van Huren uśmiechnął się pobłaźliwie.

- To bardzo proste, Dan. Ustrzelony urobek poddaje się tak zwanemu procesowi wzbogacenia. Najpierw zostaje zmiażdżony na pył. Potem dodaje się domieszkę cyjanku potasu, który zatrzymuje cząsteczki złota w roztworze. Następnie dodaje się domieszkę cynku, który wiąże cząsteczki złota. Potem wypłukuje się kwasy. Następnie przez dodanie wody królewskiej oddziela się cynk od złota. Pozostaje samo złoto.

- To rzeczywiście szalenie proste, drogi chłopcze - zauważył Konrad.

Van Huren spojrzał na niego z sympatią.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba jeszcze poddać je procesowi oczyszczania. Rozgrzewa się je do białości w wielkich tyglach. Wszelkie domieszki spływają, a czyste złoto leje się do form i w ten sposób powstają sztaby.

Dan wykonał w pamięci szybki rachunek.

- Z trzech i pół tysiąca ton urobku otrzymujecie więc jedną małą sztabkę złota.

- Tak jest - roześmiał się van Huren. - Z dokładnością do jednej czy dwóch ton.

- Ile wynosi tygodniowy urobek?

- Trochę ponad czterdzieści tysięcy ton metrycznych. Oczy Dana zaświeciły się.

- To znaczy, że... produkujecie jedenaście i pół sztab złota tygodniowo.

- Czy nie chciałby pan objąć posady w naszej rachubie? - zapytał go wielce rozbawiony van Huren.

Ale Dan jeszcze nie skończył.

- Każda sztaba waży 72 funty, prawda? Innymi słowy... zaraz... produkujecie 800 funtów czystego złota tygodniowo. Jaka jest w tej chwili cena jednej uncji złota? To wcale nie jest zły interes! Bez żartów!

Widać było, że jest naprawdę głęboko poruszony. Od początku naszej wyprawy był podniecony, oczy miał błyszczące i interesował się wszystkim bardzo żywo. Widać fascynuje go sam proces robienia pieniędzy, pomyślałem, a to łączy się z umiejętnością migania się od płacenia podatków.

- Proszę jednak nie zapominać o kosztach własnych - tłumaczył mu wciąż uśmiechnięty van Huren. - Trzeba wziąć pod uwagę płace, koszty utrzymania kopalni, sprzęt, udziały akcjonariuszy. Po odliczeniu tych wszystkich sum pozostaje bardzo niewiele czystego zysku.

Wyraz twarzy Dana wskazywał na to, że niezupełnie wierzy swojemu rozmówcy. Roderyk wyciągnął spod zamszowego rękawa kurtki mankiet pomarańczowej koszuli, spięty spinką z wielkim półszlachetnym kamieniem.

- Quentinie, czy chce pan przez to powiedzieć, że nie jest pan wyłącznym właścicielem kopalni?

- Tak jest. Ja i moja rodzina jesteśmy właścicielami gruntu i prawa eksploatacji, więc teoretycznie złoto również należy do nas, ale rozpoczęcie eksploatacji wymaga kolosalnych sum kapitału, sięgającego wielu milionów randów. Trzeba przecież wywiercić szyb, postawić wiele budynków, zainstalować kosztowne urządzenia. Dwadzieścia pięć lat temu mój brat i ja założyliśmy spółkę i wypuściliśmy akcje, żeby zdobyć kapitał na to wszystko. W tej chwili spółka ma kilkuset akcjonariuszy.

- Kopalnia nie wygląda na swój wiek - zauważyłem. Van Huren spojrzał na mnie uśmiechniętymi oczami.

- Ta część, którą panowie zwiedzali dzisiaj, to nasz najnowszy przekop. I najgłębszy. Jest wiele innych, na wyższych poziomach.

- A dużo złota zostało jeszcze do wyeksploatowania? Van Huren nie przestawał się uśmiechać. Emanowała z niego pewność siebie człowieka, który wie, że nigdy nie zabraknie mu grosza.

- Starczy tego na pewno jeszcze dla dzieci Jonatana - powiedział.

Evana mniej interesowała technika i kalkulacja całej tej operacji niż czysta filozofia zagadnienia. Z właściwym sobie temperamentem wmieszał się do rozmowy:

- Czym jest właściwie złoto? Zastanówmy się nad tym. Wszyscy ludzie powinni sobie postawić to pytanie. O co właściwie chodzi? Każdy chciałby je mieć, płaci się za nie coraz to większe sumy i nikt nie wie, co z tym robić.

- Można by na przykład robić rakiety ze złota i puszczać je na księżyc.

Evan spojrzał na mnie z irytacją.

- Najpierw wydobywa się to z ziemi, a potem pakuje z powrotem pod ziemię w takim Fort Knox, skąd się na pewno nie wydobędzie już nigdy na światło dzienne... To czysty nonsens... sprawa jest całkowicie sztuczna i wymyślona. Nie rozumiem, dlaczego wartość wszystkiego musi być koniecznie mierzona tym złotym proszkiem, który się, w gruncie rzeczy, do niczego nie nadaje.

- A złote plomby i koronki? - rzuciłem mimochodem.

- A końcówki do tranzystorów? - dodał Roderyk. Uwagi nasze najwidoczniej bawiły van Hurena. Ale ja przestałem podprowadzać Evana, bo w gruncie rzeczy po zwiedzeniu kopalni poglądy moje niedaleko odbiegały od jego wywodów.

*

Tegoż wieczoru Dakota odwiozła nas z powrotem do Johannesburga. Siedziałem obok Roderyka i prawdę mówiąc, byłem diablo zmęczony. Przez całe popołudnie zwiedzaliśmy najrozmaitsze warsztaty i urzędnia. Patrzyliśmy (i słuchaliśmy), jak się miazdzy urobek, jak szczerze złoto wypływa z tygli. Głowa bolała mnie coraz silniej. Chciałem się kilkakrotnie wycofać, ale za każdym razem przypominał mi się Roderyk ze swoją maszyną do pisania i zostawałem.

Byliśmy także w jednym z baraków mieszkalnych.

Górnicy z pierwszej zmiany zabierali się właśnie poważnie do picia jakiegoś tajemniczego napoju koloru mlecznego kakao w wielkich butelkach z plastyku.

- To jest piwo Bantu - wyjaśniał nam nowy przewodnik, który okazał się równie sympatyczny, jak Losenwoldt był opryskliwy.

Skosztowaliśmy. Miało nawet przyjemny smak, nie było słodkie, ale w niczym nie przypominało piwa.

- Czy jest w tym alkohol, drogi chłopcze? - zapytał Konrad.

Drogi chłopiec odpowiedział, że owszem, jest, ale w znikomej ilości.

To się dobrze składa, pomyślałem patrząc, jak jeden z górników wychyla ogromną butelkę kilkoma haustami.

Nasz przewodnik skinął na siedzącego opodal robotnika, który podniósł się i podszedł do naszego stolika. Był wysoki, niemłody i uśmiechał się sympatycznie.

- Piano Njembezi - przedstawił go przewodnik. - To on dzisiaj sprawdzał listę i zwrócił uwagę na to, że brakuje jednej osoby.

- Ach to pan? - zainteresowałem się.

- *Jaabo* - odparł, co, jak się później dowiedziałem, oznacza w języku Zulusów „tak”. („Nie” to po prostu krótki, nosowy dźwięk, pauza i długie, przeciągłe „aaa”. Nie można tego powiedzieć krótko i węzłowato)..

- Drogi Piano - powiedziałem - chciałbym panu serdecznie podziękować.

Wyciągnąłem rękę, Piano podał mi swoją, wymieniliśmy mocny uścisk dłoni, co wywołało na twarzach jego towarzyszy wesołe uśmiechy. Nasz przewodnik zacisnął wargi, Roderyk potrząsnął głową, Dan, Konrad i Evan nie zareagowali wcale.

Przy stoliku mojego zbawcy zakotłowało się, a po chwili jeden z jego towarzyszy wstał, podszedł do nas i przyniósł doszczętnie sczytany egzemplarz jakiegoś pisma filmowego.

- To jest jego - oświadczył towarzysz Piano i wcisnął mu pismo do ręki. Njembezi zawstydział się lekko, ale wskazał palcem na okładkę. Widniała tam moja fotografia. Miałem na niej jak zwykle - minę człowieka śmiertelnie znudzonego.

Napisałem na dole strony wielkimi literami: „Swoje życie zawdzięczam Piano Njembezi”, po czym podpisałem się zamazyście.

- Będzie to - przechowywał do grobowej deski - powiedział nasz przewodnik.

Najwyżej do jutra, pomyślałem sobie.

*

Dakota niosła nas gładko. Kiedy zmieniliśmy kurs, promień wieczornego słońca opadł ciężko na moje zamknięte powieki. Ostrożnie przekręciłem głowę na drugą stronę. Być może, że rana nie jest głęboka, pomyślałem, ale boli jak licho.

Z niewiadomych przyczyn ten ruch głowy wydobył z pokładów mojej podświadomości jakies mgliste wspomnienia. Przecież kiedy padałem, w chodniku był jakiś człowiek. Nie widziałem jego twarzy i nie miałem pojęcia, kto to taki. Ale skoro był tuż przy mnie, kiedy wyrznąłem się w głowę, to czemu, na Boga Ojca, nie pomógł mi się stamtąd wydostać?

Byłem taki skołowany, że dopiero po dobrej minucie doszedłem do prostego wniosku, że nieznany osobnik dlatego nie przyszedł mi z pomocą, że to właśnie on rąbnął mnie kamieniem w łeb.

Otworzyłem oczy. Spojrzałem na Roderyka, który przyglądał mi się z pewnym zdziwieniem i już chciałem mu wszystko powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Nie miałem najmniejszej ochoty na dzielenie się moimi podejrzeniami z czytelnikami dziennika Rand Daily Star.

Rozdział jedenasty

Zamiast spać, co na pewno wyszłoby mi bardziej na zdrowie, spędziłem tej nocy wiele godzin na godzeniu się z myślą, że ktoś najprawdopodobniej usiłował mnie zabić.

Nie miałem pojęcia kto. Nie miałem pojęcia dlaczego. Wciąż nie byłem jeszcze pewny, czy pamięć nie płata mi figla: może mi się tylko zdawało, że w chodniku widziałem człowieka.

Bądź co bądź; stuprocentowej pewności nie miałem. Więc co robić?

Może zadzwonić do van Hurena? Może zażądać śledztwa? Ale czy to ma sens? W kopalni kręciła się ogromna ilość ludzi. Wszyscy byli jednakowo ubrani. Poza tym w Miodniku panował półmrok. Wszczęcie śledztwa spowoduje mnóstwo gadania i więcej

domysłów niż rezultatów. „Lincoln twierdzi, że ktoś dybie na jego życie” - takie i temu podobne nagłówki ukazywałyby się natychmiast w gazetach, a tego wołałem uniknąć.

Dwukrotnie w ciągu jednego tygodnia - jak słusznie powiedział Konrad - cudem uniknąłem śmierci.

Co za absurda! historia! To przecież bohaterowie, których grałem w filmach, byli nieustannie narażeni na śmierć z ręki wrogów i zawsze jej cudem unikali, ale nie ja.

Więc czy siedzieć cicho i nie robić nic? No tak, ale jeżeli ktoś rzeczywiście chce mnie zabić, to co stoi na przeszkodzie, żeby spróbował po raz trzeci? Nie można się mieć dzień i noc na bacności... szczególnie jeżeli w grę wchodzi raz mikrofon, a drugi raz kawał skały w głębi kopalni złota? Czy w tych warunkach można cokolwiek przewidzieć?

Jeżeli... jeżeli rzeczywiście miały miejsce dwa zamachy na moje życie, to obydwie zostały zaplanowane tak, żeby robiły wrażenie wypadku. Wobec tego żadne środki ostrożności i tak na nic by się nie zdały. Bo nie będzie to na pewno ani trucizna, ani nóż w plecy w ciemnym zaułku, ani kula z rewolweru. A jak się uchronić przed uszkodzonym hamulcem samochodowym, jadowitym pająkiem w bucie czy nadpiłowanym balkonem?

Przez dłuższy czas opierałem się domysłom na temat sprawy, bo w grę wchodziły wyłącznie osoby, które znajdowały się w określonym czasie na terenie kopalni.

Czyżby to był na przykład jakiś górnik, który tak się nudził na jednym z moich ostatnich filmów, że postanowił zabezpieczyć się raz na zawsze przed następnymi? Ale czy w tym celu musiałby mnie aż zabijać? Czy nie wystarczyło po prostu „głosować nogami”, czyli nie chodzić na moje filmy?

A może to ktoś z mojej branży, ktoś chorobliwie o mnie zazdrosny? Jedyne człowiek, który zaprzysiął mi dożgonną nienawiść, to Drix Goddard, ale on nie przyjechał jeszcze do Południowej Afryki i na pewno nie było go na głębokości półtora kilometra w chodniku kopalni van Hurena.

Nikt z zatrudnionych tego dnia na dole ludzi nie wiedział o mojej wizycie, a nawet na powierzchni dopiero po wypadku dowiedziano się, kim jestem.

Pozostawali więc... co u licha?... pozostawali więc tylko Evan... Konrad... Dan... no i Roderyk. Może jeszcze van Huren, który był tu w końcu panem wielu dusz i mógł zorganizować morderstwo bez własnego udziału.

Evan? Miał wprawdzie do mnie najrozmaitsze pretensje, ale jego niechęć nie była aż tak wielka. Dan nie mógł wiedzieć, że podejrzewam go o to, że szkodzi koniom Nerissy, a nawet gdyby się domyślał, to na pewno nie próbowałby zatuszować drobnego w końcu

przestępstwa popełniając ciężką zbrodnię. Prawdopodobnie przyznałby się z uśmiechem do wszystkiego, wzruszyłby ramionami i przyrzekł poprawę.

Jeżeli chodzi o Konrada, Roderyka i van Hurena, to dla nich nie potrafiłem wymyślić żadnych motywów.

Wszyscy oni (z wyjątkiem Konrada, który leżał w ambulatorium) robili wrażenie szczerze uradowanych, kiedy zobaczyli, że wychodzę z windy zdrowy i cały... A może cieszyli się dlatego, że zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, kto mnie tak urządził?

Im dłużej myślałem, tym mniej wydawało mi się to wszystko prawdopodobne. Żadnego z nich nie mogłem sobie wyobrazić w roli konspiratora i mordercy. Doszedłem więc w końcu do wniosku, że ponosi mnie fantazja, że zbyt długo obracam się w świecie fikcji i pewnie zaczynam ją mieszać z rzeczywistością.

Westchnąłem. Stwierdziłem, że głowa mnie już nie boli, że nie jestem prawie wcale zamroczony i wkrótce zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, moje nocne podejrzenia wydały mi się jeszcze bardziej nonsensowne. To Konrad wpadł na pomysł, że pomiędzy sprawą mikrofonu a wypadkiem w kopalni jest jakiś związek. Po prostu mylił się.

*

Roderyk zadzwonił jeszcze przed śniadaniem. Czy nie przyszedłbym do niego na kolację? Będzie tylko Katia i żadnych ceregieli; a kiedy nie odpowiadałem, dodał szybko, że nie napisze na ten temat ani słówka i ani jedna z moich ewentualnych cennych myśli nie zostanie wykorzystana do publikacji.

- Okej - zgodziłem się z uśmiechem na ustach i licznymi wątpliwościami w duszy. - Gdzie pan mieszka?

Podał mi swój adres i dodał: - Pański kierowca będzie wiedział, gdzie to jest.

- Na pewno.

Powoli odłożyłem słuchawkę. Nie było chyba nic podejrzanego w tym, że Roderyk wiedział, iż wynająłem sobie samochód z szoferem. Miał w końcu swojego człowieka w Iguanie, który informował go o takich drobiazgach, jak: dokąd pojechałem, kiedy i na jak długo, i jak często myję zęby.

Niemal natychmiast telefon zadzwonił po raz drugi.

Wenkins. Czy mógłbym, to znaczy, czy nie zgodziłbym się, żeby Wenkins przyjechał do mnie dzisiaj celem omówienia pewnych, no, niektórych, powiedzmy, szczegółów, związanych z premierą mojego filmu?

- Owszem - odparłem - proszę bardzo.

Zaraz potem zadzwonił Konrad. Czy miałbym ochotę pojechać do Parku Krugera razem z nim i Evanem?

- Na jak długo jedziecie? - zapytałem.

- Na jakie dziesięć dni.

- W takim razie nie. Muszę być tutaj najpóźniej w przyszły wtorek. Chyba żebym pojechał swoim samochodem. I tak lepiej mieć dwa samochody do dyspozycji, szczególnie że będziecie przecież musieli dużo rozjeżdżać.

- No to świetnie - ucieszył się. Wyobrażałem sobie, że nie miał wielkiej ochoty na jazdę tym samym samochodem co Evan i ja, bo wiedział, że zmuszony, będzie przez większość czasu do odgrywania roli arbitra.

Zapowiedział więc, że wpadnie do mnie na małego drinka przed samym lunchem i to razem z Evanem, który jak twierdził, jest niesłychanie przejęty swoim nowym projektem. Jak zawsze, pomyślałem.

Następny telefon był od Arknolda.

- Proszę pana - zaczął. - Proszę pana, jeżeli chodzi o konie pani Cavesey... - zamilkł i po dłuższej chwili zorientowałem się, że więcej nic nie powie.

- Będę przez całe przedpołudnie w hotelu. Jeżeli chce pan pogadać, to proszę do mnie wpaść – zaproponowałem.

W słuchawce słychać było jego ciężki, przyspieszony oddech.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Zobaczę. A zresztą, może tak będzie lepiej. Około jedenastej, dobrze? Po porannym treningu.

- Do zobaczenia - powiedziałem i na tym rozmowa się skończyła.

*

Gorące słońce, błękitne niebo.

Zszedłem na dół, napiłem się kawy na tarasie i przerzuciłem gazety. Gęsto zadrukowane kolumny miejscowych wiadomości, z których niewiele rozumiałem, bo wymagały znajomości środowiska. To tak, jak gdyby się weszło do kina w połowie seansu, pomyślałem.

W Johannesburgu zamordowano jakiegoś mężczyznę: znaleziono go przed dwoma dniami, z drutem zaciśniętym dokoła szyi.

Przeszedł mnie lekki dreszcz grozy i odłożyłem gazetę.

Głupcze, uspokajałem się, nie było żadnego zamachu na twoje życie. To wszystko bzdura. Śmierć obcego człowieka nie powinna cię tak przerażać. Niestety nie miałem sposobu na przekonanie mojej podświadomości, że nic mi nie grozi.

- Dzień dobry - usłyszałem wesoły, młodzieńczy głos Sally. - Co pan tu robi?

- Patrzę, jak trawa rośnie.

Usiadła naprzeciwko mnie, uśmiechając się wesoło. Jej piętnastoletnia buzia wprost promieniowała zadowoleniem.

- A ja przyjechałam na tenisa.

Miała na sobie króciutką białą sukienkę białe skarpetki, białe pantofle i niosła dwie rakietki tenisowe w pokrowcach. Jej ciemne, opadające na ramiona włosy przytrzymywała zielona wstążka, a sposób bycia świadczył o zamożności van hurenowskiego domu.

- Filiżankę kawy? - zaproponowałem.

- Wolałabym sok pomarańczowy. Zamówiłem więc sok.

- Prawda, że klawa ta nasza kopalnia?

- Klawa - zgodziłem się. Oboje umyślnie naśladowaliśmy akcent Dana.

- Ale pan jest szybki - uśmiechnęła się. - - Ojciec mówi, że pan podchodzi do zjawisk intuicyjnie, chociaż nie mam pojęcia, co to znaczy.

- To znaczy, że zbyt pochopnie wyciągam wnioski - roześmiałem się.

Potrząsnęła główką z namysłem.

- Chyba nie, bo ojciec powiedział to w sensie dodatnim.

Przyniesiono sok pomarańczowy, więc zaczęła go powoli sączyć, pobrzękując pływającymi w szklance kawałkami lodu. Miała długie, ciemne rzęsy, a policzki jak krew z mlekiem. Musiałem stłamsić w sobie uczucie zazdrości, jakie budziło się we mnie na widok młodych dziewcząt: moja córka może i wyrośnie na taką właśnie śliczną, zgrabną dziewczynę, ale nigdy nie będzie można z nią ani na serio porozmawiać, ani pożartować...

Sally odstawiła szklankę i rozejrzała się.

- Czy nie widział pan Dana? - spytała. - Ten świntuch umówił się tu ze mną na dziesiątą, a jest już piętnaście po.

- Przez całe wczorajsze popołudnie podliczał długie kolumny cyfr. Pewnie się biedaczek zmęczył.

- Jakich znowu cyfr? - zapytała podejrzliwie. Powiedziałem jej.

Roześmiała się.

- Widocznie lubi liczyć. W sobotę, w czasie wyścigów, też to robił. Nazwałam go żywym kalkulatorem. - Wypiła jeszcze trochę soku. - Czy pan wie, że Dan to straszny hazardzista? Postawił dziesięć randów na jednego konia. Dziesięć randów!

Pomyślałem, że van Huren dobrze wychował córkę, skoro dziesięć randów było dla niej poważną sumą.

- Muszę przyznać - ciągnęła - że jego koń wygrał. Poszłam z nim do kasy po pieniądze. Odebrał dwadzieścia pięć randów, czy uwierzy pan? Powiedział mi, że bardzo często wygrywa. Był bardzo z siebie zadowolony.

- Na wyścigach wszyscy w końcu przegrywają.

- Ale z pana pesymista. Zupełnie jak mój ojciec! - krzyknęła.

Nagle zabłysło jej oko i straciła zainteresowanie rozmową.

Dan podchodził do naszego stolika. Miał na sobie białe szorty i jasnoniebieską, otwartą wiatrówkę. Był opalony i jak zwykle, uśmiechnięty.

- Halo! - zawołał na nasz widok.

- Halo! - odpowiedziała Sally wpatrzona w niego jak w tęczę.

Wstała i odeszła bez słowa, a ja zostałem z jej nie dopitym sokiem pomarańczowym i mieszanymi uczuciami. Patrzałem, jak kroczy radośnie u boku złotego chłopca. Tak od zarania ludzkości wyglądają zakochane dziewczęta. Tyle, że ta konkretna dziewczyna była córką właściciela kopalni złota, a chłopiec, z którym udawała się na partyjkę tenisa, umiał nie tylko liczyć, ale także rachować.

*

Kiedy przyszedł Arknold, portier przysłał mi go do ogródka. Podszedł do mojego stolika, przywitał się, bronił się przez chwilę, ale w końcu zgodził się na małe piwo. Z daleka dochodziły odgłosy odbijanej piłki oraz słowa i śmiechy obojga młodych.

Arknold spojrzął w stronę kortów, rozpoznał Dana i zmarszczył brwi.

- Nie miałem pojęcia, że zastanę go tutaj - zdziwił się.

- On nas nie słyszy.

- No nie... ale... proszę pana... wie pan co, może byśmy lepiej weszli do środka?

- Jeżeli pan woli - zgodziłem się. Ale w hallu też nie chciał rozmawiać, więc w końcu pojechaliśmy na górę do mojego pokoju. Z okien rozciągał się wprawdzie widok na korty tenisowe, ale nas stamtąd nie było na pewno widać.

Arknold usiadł, podobnie jak Konrad poprzedniego dnia, w głębszym z dwóch foteli. Widocznie podświadomie uważał się za ważniejszego ode mnie. Na jego grubo ciosanych rysach twarzy nie odzwierciedlały się subtelniejsze zmiany nastroju. Ani mięśnie szczęki, ani wyraz oczu nie wskazywały na wzrost czy też spadek napięcia emocjonalnego, toteż trudno byłoby zgadnąć, co ten człowiek myśli. Był na przemian to agresywny, to skłopotany. Widocznie nie był pewny, czy należy - atakować, czy też próbować ugody.

- Proszę pana - odezwał się wreszcie - co zamierza pan powiedzieć pani Cavesey, jak pan wróci do Anglii?

- Jeszcze sam nie wiem.

Wysunął nagle głowę jak agresywny buldog.

- Tylko niech jej pan czasem nie radzi, żeby zmieniła trenera!

- A właściwie dlaczego nie?

- Bo ja robię wszystko, co tylko możliwe.

- Owszem - zgodziłem się - konie wyglądają doskonale, ale biegają okropnie. Każdy inny właściciel dawno by je panu odebrał.

- To nie moja wina, że nie wygrywają - powiedział ponurym głosem. - Niech jej pan to powie. Po to tutaj przyszedłem. Niech jej pan powie, że to nie moja wina.

- Jeżeliby pani Cavesey odebrała panu konie, straciłby pan spory dochód miesięczny, to jasne. A poza tym straciłby pan również twarz. Ale przynajmniej uwolniłby się pan od groźby dochodzenia prokuratorskiego.

- Co pan? - warknął, ale przerwałem mu.

- Mógłby pan na początek pozbyć się może tego swojego stajennego - zasugerowałem. Nie powiedział już tego, co zamierzał przed chwilą, ale opadła mu dolna szczęka.

- Gdyby pan zdecydował się zwolnić Baty'ego - odezwałem się jak gdyby mimochodem - to może udałoby mi się namówić panią Cavesey, żeby pozostawiła konie w pańskiej stajni.

Zamknął usta. Nastąpiła dłuższa pauza, w czasie której powoli się uspokajał i miejsce agresywności zajęło zmęczenie zmieszane z wyraźnym uczuciem porażki.

- Tego zrobić nie mogę - powiedział wreszcie, ale nawet nie próbował bronić swojego stajennego.

- Czy boi się pan, że on coś wygada i skreśli pana z rejestru klubowego, czy też chodzi panu o pieniądze?

- Proszę pana...

- Niech pan się z nim rozstanie, zanim stąd wyjadę - a powiedziałem z uprzejmym uśmiechem.

Wstał ciężkim ruchem, spojrzał na mnie ponuro i dysząc ciężko, zaczął wyrzucać z siebie potok prawie niezrozumiałych słów; z wyrazu jego twarzy trudno było się zorientować, czy są to inwektywy, próba wybronięcia się, czy też prośba o pomoc.

Podszedł do okna, sprawdził, że Dan wciąż gra na korcie, odwrócił się raptownie i wybiegł bez słowa pożegnania: jakby go żywcem przypiekano i to z trzech stron na raz, pomyślałem sobie i nawet poczułem pewną litość.

*

Powróciłem na taras, gdzie zastałem Wenkinsa, który szukał mnie wśród czytających gazety gości hotelowych.

- Panie Wenkins! - krzyknąłem.

Spojrzał na mnie nerwowo i podbiegł, potrącając po drodze krzesła i stoliki.

- Dzień dobry... Link - zaczął i wyciągnął rękę na powitanie, ale z bardzo daleka. Zrobiłem nieobowiązujący gest ręką i pomyślałem, że może jakiś odważny przyjaciel powiedział mu, że jedzie od niego potem.

Usiedliśmy przy małym stoliczku w cieniu biało-żółtego parasola, po czym Wenkins zgodził się... no cóż... chyba tak... na małe piwko. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął wymięty plik papierów i zaczął je przeglądać. Czynność ta jak gdyby go uspokoiła.

- Worldic... no cóż... dyrekcja postanowiła... to znaczy... wydaje im się, że byłoby dobrze, gdyby przyjęcie odbyło się przed projekcją filmu...

Zorientowałem się od razu, o co chodzi. Obawiali się oczywiście, że prysnę w czasie seansu.

- Tutaj... o proszę... jest lista zaproszonych gości... to znaczy... osób zaproszonych przez dyrekcję, a tutaj... zaraz... zaraz to znajdę... tutaj jest lista przedstawicieli prasy... a to... to jest lista osób, które nabyły bilety na film i przyjęcie... ograniczyliśmy ją... no ale... sam pan widzi... ile tego jest... chyba będzie straszny tłok.

Pocił się niemiłosiernie. Wielką białą chustką do nosa ocierał twarz. Spodziewał się widocznie, że zrobię awanturę. Ale to byłoby bezsensowne. Sam sobie nawarzyłem tego piwa; a poza tym, czy nie powinienem być wdzięczny ludziom za to, że fatygują się dla mnie?

- No więc niech pan powie... to znaczy... czy pan się zgadza... Zostało jeszcze trochę biletów... ale tylko na samą projekcję... no cóż... Już tylko te droższe, po dwadzieścia, randów...

- Dwadzieścia randów? - zdziwiłem się. - To strasznie drogo:

- Przecież to na cel dobroczynny - zapewniał mnie. - Pan rozumie...

- Na jaki cel?

- Zaraz... mam tu gdzieś kartkę... zapomniałem już na co tym razem.. - Szukał po kieszeniach, ale nie znalazł niczego. - No trudno... w każdym razie jest to na pewno słuszna sprawa... więc, rozumie pan... Worldic... to znaczy dyrekcja chciałaby, żeby pan zgodził się na pewien trick reklamowy... bo zostało jeszcze sporo biletów...

- Nic z tego.

- Uprzedzałem ich... ale kazali mi pana prosić o zgodę... no cóż... - zgasł jak świeca.

- Gdzie odbędzie się to przyjęcie? - zapytałem.

- No... chwileczkę... ach tak... naprzeciwno kina Wideworld, w hotelu Klippspringer Heights... zobaczy pan... bardzo ładna sala... to znaczy... jest to jeden z najlepszych hoteli Johannesburga.

- Świetnie. Wracam w przyszły wtorek wieczorem, powiedzmy, około szóstej. Może pan do mnie zadzwonić i omówimy wszystkie szczegóły, dobrze?

- Naturalnie - zgodził się pospiesznie. - Ale, widzi pan... Worldic, to znaczy dyrekcja prosi, żeby pan nam podał swój adres w Parku Krugera.

- Jeszcze nawet nie wiem, gdzie będę mieszkał.

- A czy nie mógłby się pan dowiedzieć? Bo... rozumie pan... oni mi kazali... za wszelką cenę...

- Dobrze - uspokoiłem go. - Dowiem się i dam panu znać.

- Strasznie panu dziękuję - dyszał. - Nie umiem panu... powiedzieć... ale widzi pan... - Był coraz bardziej zdenerwowany, widać miał mi jeszcze coś do powiedzenia. Już formułowałem w myślach bezapelacyjne słówko NIE, ale nie zdążyłem go wypowiedzieć, bo strach przed dyrekcją zwyciężył widać w duszy Wenkinsa nad strachem przede mną.

- Dyrekcja... widzi pan... zorganizowała... no... zamówiła fotografa... na dzisiejsze popołudnie...

- Jakiego znowu fotografa?

- Chcielibyśmy panu zrobić kilka zdjęć.

Z niezmiernym wysiłkiem wykrztusił z siebie, że mają to być zdjęcia przedstawiające mnie w spodenkach kąpielowych, pod parasolem plażowym w towarzystwie wspaniale zbudowanej modelki w bikini.

- Niech pan wraca i powie dyrekcji, że jej pomysły reklamowe są spóźnione o co najmniej pięćdziesiąt lat. Takie fotografie na nikogo już nie działają i na pewno nie przyczynią się do zwiększenia sprzedaży biletów w cenie dwudziestu randów.

Pot spływał mu z czoła strumieniami.

- A poza tym może pan im jeszcze powiedzieć, że jeżeli nie przestaną mi dreptać po piętach, to nigdy więcej nie przyjadę na żadną premierę.

- No, ale... - jękał się. - Przecież... no przecież... po tamtych zdjęciach... wie pan, tych co pokazują pana w trakcie ratowania Katii... po tym... ludzie aż się tłoczyli do kas... setki listów... wszystkie tańsze miejsca znikły w ciągu jednego dnia... bilety na przyjęcie też...

- Ale to nie był trick reklamowy - powiedziałem wyraźnie i z naciskiem.

- No nie... naturalnie, że nie... O nie, nie, nie.

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło. Wyglądał okropnie, cały mokry od potu i z tymi swoimi rozbieganymi, przerażonymi oczami. Już odchodził, kiedy Sally i Dan, uśmiechnięci i weseli, powrócili z kortów.

- Halo, panie Wenkins - powitała go Sally. - Wygląda pan, jak gdyby pan też był po kilku partiach tenisa.

Wenkins spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem i znowu sięgnął po chustkę do nosa. Dan przyglądał mu się z zainteresowaniem, ale nie odezwał się.

- No cóż... powiem im... powtórzę im, co pan powiedział... ale nie będą zadowoleni...

- Właśnie, niech im pan wszystko dokładnie powtórzy. Żadnych tricków.

- Żadnych tricków - wymamrotał, ale byłem niemal pewny, że nie odważy się powtórzyć dyrekcji tego, co powiedziałem.

Sally opadła na fotel i jeszcze długo patrzyła na oddalającego się chwiejnym krokiem Wenkinsa.

- Czym on się tak zdenerwował? - zwróciła się do mnie. - Co mu pan zrobił?

- Jest po prostu bardzo nerwowy.

- I dumny - dodał Dan, ale widać było, że myślni jest zupełnie gdzie indziej.

- Czy mogłabym poprosić o sok pomarańczowy? - zapytała Sally.

*

Zanim zjawił się kelner, nadszedł Evan z Konradem, więc trzeba było zrobić większe zamówienie. Evan był jeszcze bardziej podekscytowany niż zazwyczaj. Machał rękami jak szalony i wgadywał coś w Konrada swoim apodyktycznym tonem wszechwładnego reżysera, który nie uznaje cudzego zdania i ma wszystkich członków ekipy za nic. Na twarzy Konrada malowała się niecierpliwość, ale milczał. Kierownicy zdjęć podlegają wprawdzie reżyserom, ale nie są bynajmniej z tego powodu szczęśliwi.

- Ten film ma być *par excellence* symboliczny - perorował. Evan. - To jest jego zasadnicza cecha. Moim zdaniem, wieżowce to nowoczesne symbole faliczne, wyrażające potęgę narodów. Każdy prężny i rozwijający się kraj uważa, że musi mieć co najmniej jedną obrotową restaurację na najwyższym piętrze najwyższego wieżowca...

- Jeżeli są w każdym prawie kraju, to po co się tak podniecać tą obrotową restauracją w Johannesburgu - mruzczał Konrad pod nosem. Był ostrożny, bo nie chciał narażać się Evanowi.

- Wieżowiec zostaje - powiedział Evan z naciskiem.

- Co to jest symbol faliczny? - zainteresowała się Sally.

Dan odpowiedział jej bardzo uprzejmym tonem, żeby sobie odszukała to wyrażenie w encyklopedii.

Zapytałem Evana, gdzie będziemy mieszkali w Parku Krugera, bo chciałem zostawić adres w hotelu.

- Nie mam pojęcia - odparł niechętnie - nasz kierownik produkcji zamówił nam noclegi w kilku kampingach i to już parę miesięcy temu. Wjeżdżamy do parku od południa i przesuujemy się na północ.

- Jest gdzieś lista tych noclegów, drogi chłopcze - dodał Konrad. - Mogę ci ją przepisać, jak wrócimy do hotelu.

- Mnie tam wszystko jedno - powiedziałem. - Ale firma Worldic stanowczo o to prosi.

- Jak to wszystko jedno? - oburzył się Evan. - Jeżeli Worldic tego żąda, to trzeba to załatwić.

Evan odnosił się z wielkim szacunkiem do firm, które zajmowały się dystrybucją jego filmów.:

- Konrad zrobi spis kampingów i prześle im go bezpośrednio.

Spojrzałem na Konrada rozbawionym wzrokiem.

- No to świetnie. Zaadresuj kopertę na Clifforda Wenkinsa, dobrze?

Konrad skinął milcząco głową. Rozumiałem go. Co innego przyjacielska przysługa, a co innego rozkaz Evana.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz zabierać ze sobą tego twojego szofera - ciągnął Evan rozkazującym jak zwykle tonem. - Bo uprzedzam, że dla niego miejsca nie będzie.

Potrząsnąłem przecząco głową.

- Nie - uspokoiłem go. - Wynajmę samochód bez kierowcy.

- Świetnie.

Nawet w to piękne, beztroskie wtorkowe przedpołudnie, siedząc nad szklanką do połowy wychylonego džinu z tonikiem, Evan był napięty jak struna, oczy płonęły mu gorączkowo, a pięści miał zaciśnięte tak mocno, że aż mu kostki zbieleły. Jego zmierzwiłone kędzierzawe włosy sterczały na wszystkie strony. Nagromadzona energia zdawała się zeń buchać niemal widzialnymi falami. Sally była urzeczona.

- Jestem pewna, że rezerwat szalenie się panu spodoba - powiedziała z powagą. - Zwierzęta są takie urocze.

Evan wiedział tylko, jak postępować z młodymi dziewczętami na planie; nie był też najwidoczniej zachwycony stosunkiem nieszczęsnej Sally do zwierząt. Urocze? Nonsens! Dla niego miały w tej chwili znaczenie wyłącznie symboliczne.

- No cóż... - odchrząknął i przez chwilę przypominał mi nieszczęsnego Wenkinsa.

Humor Konrada poprawił się błyskawicznie. Wyglądził wąsy i spojrzał na Sally z sympatią. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego mile, a zwracając się do Dana powiedziała:

- Tobie też by się tam spodobało. Jak przyjedziesz następnym razem, wybierzemy się.

Dan stwierdził, że marzy o tym. Konrad zapytał go, kiedy odjeżdża do Ameryki, na co Dan odparł, że chyba za tydzień lub dziesięć dni. Sally zawołała na to, że Dan nie wyjedzie na pewno przed premierą filmu Linka i dodała, że po projekcji jest przyjęcie, na które wybiera się cała rodzina van Hurenów. Dan zapewnił ją, że pamięta o tym i że na pewno przyjdzie.

Patrzył na nią, a dziewczyna promieniała. W duchu wyraziłem nadzieję, że słoneczny chłopiec jest równie zdolny do miłości jak do matematyki.

Evan i Konrad zostali na lunchu i do znudzenia omawiali lokalizacje wytypowane tego rana. Jak wynikało z ich rozmowy, zamierzali stosować metodę *cinema vérité*, Konrad miał się posługiwać ręcznym Arriflexem i chwytac życie na gorąco, jak to mówią. Kiedy byliśmy przy deserze, doszedłem do wniosku, że cały ten film, razem z jego symbolizmem, słoniami i Bóg wie czym jeszcze, będzie nudny jak flaki z olejem.

Konrada interesowała przede wszystkim strona techniczna. A mnie w ogóle nic. Evan, jak zwykle, pasjonował się każdym szczegółem i to ponad wszelką miarę.

- Więc bierzemy Arrifleksa - powiedział na zakończenie do Konrada. - Mogą się trafić niepowtarzalne sytuacje... byłoby głupio, gdybyśmy nie mogli kręcić.

Konrad zgodził się. Potem obydwaj doszli do wniosku, że należałoby również zabrać aparaturę dźwiękową. Kierownik produkcji wynajął im na przewodnika jednego ze strażników leśnych i terenowe auto, więc będzie można bez trudu zabrać cały ekwipunek.

A jeżeli auto okaże się za ciasne, dodali, to chyba będzie można część ekwipunku załadować do twojego samochodu, co? Zgodziłem się oczywiście. Przyrzekłem, że nazajutrz rano podjadę pod ich hotel i zabiorę, co będzie trzeba.

*

Po ich odjeździe odprawiłem samochód z szoferem, zafundowany mi przez firmę „Worldic” i wynająłem sobie inny wóz. Kierowca, który przywiózł go pod Iguanę, pokazał mi, jak się z nim obchodzić, i zapewnił, że wóz jest nowusieńki, ledwo co dotarty, więc nie powinien sprawiać najmniejszych kłopotów.

Udałem się na próbną przejażdżkę, zgubiłem drogę, nabyłem mapę i szczęśliwie powróciłem do hotelu. Okazało się, że samochód nie ma wprawdzie przyspieszenia pod górę, ale za to dobrze trzyma drogę; typowy wóz na przejażdżki niedzielne za miasto, dla przewietrzenia babci i wnucząt.

Rozdział dwunasty

Przy pomocy mapy zajechałem bez przeszkód do domu Roderyka tuż przed zmierzchem.

Ponieważ samochód stał na parkingu przez kilka godzin, sprawdziłem przed wyruszeniem hamulce. Były, oczywiście, w porządku. Zrobiło mi się głupio, no ale miałem w końcu prawo do obaw.

Roderyk mieszkał na szóstym piętrze. Od razu zaczął mnie namawiać, żebym obejrzał widok z balkonu.

- Jest wspaniały, szczególnie o tej porze - powiedział. - We wszystkich punktach miasta zaczynają się teraz zapalać światła. W dzień widać masę kominów fabrycznych i hałd, i krzyżujących się dróg... chyba że pan lubi te przemysłowe krajobrazy... ale o zmierzchu to wszystko się zaciera...

Mimo woli zatrzymałem się na progu balkonu.

- Proszę, niech pan pozwoli. Chyba, że ma pan lęk przestrzeni.

- Nie, skąd.

Wyszedłem więc na balkon i okazało się, że widok jest rzeczywiście wspaniały. Przed nami, na południowym skłonie nieba, wisiał jak wielki latawiec Krzyż Południa, a w stronę Durbanu wiała się, wypunktowana pomarańczowymi światłami, szeroka wstęga autostrady.

Zauważyłem, że Roderyk nie opiera się o żelazną balustradę. Ja też trzymałem się blisko muru. Trochę się bałem, a jednocześnie karciełem się w duchu za głupie tchórzostwo: było mi przykro, że nie ufam Roderykowi. Jakże zabójczą rzeczą jest podejrzliwość!

Wróciliśmy, oczywiście cali i zdrowi, do pokoju. Mięśnie moich szczęk i brzucha, które były przez cały ten czas napięte, rozluźniły się. Idioto, uspokój się - mówiłem sobie, ale nie mogłem się jakoś pozbyć myśli, że Roderyk był obecny zarówno przy historii z mikrofonem, jak i wczoraj w kopalni.

Mieszkanko było niewielkie, ale urządzone z fantazją. Oliwkowy dywan, na nim czarny, skórzany worek wypełniony gumowymi kulkami, który służył jako fotel. Ściany koloru khaki, na ścianach abstrakcyjne obrazy, jaskrawe i wielkie, a pomiędzy nimi ciężkie, mosiężne kinkiety. Przed sofą, pokrytą imitacją tygryziej skóry, niski oszklony stół, a w jednym kącie gigantyczna puszka po piwie - rzeźba w stylu Andy Warhola. Całość robiła wrażenie rozpaczliwego pędu do nowoczesności. Była najwidoczniej dziełem człowieka, który powiedział sobie, że trzeba za wszelką cenę iść naprzód z żywymi, bo inaczej się zginie, bo inaczej nie ma w ogóle egzystencji. Można było przyjąć za pewnik, że Roderyk pali marihuanę.

Miał, oczywiście, kosztowną instalację stereofoniczną. Nastawił bardzo awangardową taśmę, może odrobinę przestarzałą w stosunku do tego, czego słuchało się teraz w Londynie, ale w nosowych głosach wykonawców brzmiała ta sama nuta buntu, zmieszanego z rozczulaniem się nad własnym losem. Zastanawiałem się przez chwilę, czy ilustracja muzyczna była tylko częścią całej dekoracji i czy rzeczywiście odpowiadała gustom Roderyka.

- Drinka? - zapytał. Zaakceptowałem z przyjemnością.

Campari z wodą sodową. Różowy, słodko-gorzki płyn w wysokiej szklance.

- Katia« powinna przyjść lada chwila. Miała jeszcze jakieś nagranie.

- A czuję się już całkiem dobrze?

- Ach tak. Na sto dwa.

Udawał obojętność, ale ja nie zapomniałem rozpaczy, jaka malowała się w jego oczach, kiedy myślał, że z nią niedobrze. Pod awangardową fasadą kryły się widać normalne ludzkie uczucia.

Miał na sobie napięte do granic wytrzymałości spodnie i obcisłą koszulę z falbankami, z przodu sznurowaną. Strój ten, niby to domowy, a więc niedbały, był bardzo starannie obmyślony i miał, oczywiście, symbolizować męskość, siłę i nowoczesną elegancję. Mój własny ubiór też niewątpliwie również mówił o mnie. Tak to już jest wszędzie i ze wszystkimi.

Jeżeli chodzi o Katię, to jej strój był również jednoznaczny.

Wpadła do mieszkania jak żywa i kolorowa reklama przemysłu rozrywkowego. Miała na sobie obcisły, żółty kombinezon z nogawkami poszerzającymi się od kolan i opadającym kaskadami czarnych koronek. Wyglądała trochę jak hiszpańska tancerka, szczególnie że we włosach miała wysoki grzebień z szylkretu.

Podeszła do mnie szeroko rozkładając ramiona. Żywotność tryskała z niej wszystkimi porami, jak gdyby prąd elektryczny, który przeszedł przez jej ciało, nie tylko jej nie zaszkodził, ale odwrotnie, naładował ją dodatkową energią.

- Link - krzyknęła - jakże się cieszę, że znowu pana spotykam!

Przyprowadziła ze sobą, oczywiście, drugą dziewczynę. Natychmiast nastroszyłem się jak jeź. Roderyk i Katia byli, rzecz jasna, w zмовie. Figlarne zachowanie się Katii zdradzało ich zamiary. Nie byłem zachwycony tym fortem, ale miałem wprawę i wiedziałem, jak się zachować. Westchnąłem z żalem na myśl o małej, spokojnej kolacyjce, jaką przyrzekł mi Roderyk. No, ale to mi się chyba już nigdy w życiu nie przydarzy, pomyślałem.

Dziewczyna była bardzo piękna. Ciemnowłosa, o wielkich, nieco krótkowzrocznych oczach. Miała na sobie coś bardzo powiewnego i miękkiego, zielonego i powłóczystego. Kiedy się ruszała, materiał przyklejał się do ciała, uwypuklając to kształtne biodro, to krągłą pierś.

Roderyk bacznie obserwował moje reakcje, udając przy tym, że koncentruje się wyłącznie na podawaniu świeżych drinków.

- Melania - przedstawiła Katia dziewczynę tonem takim, jak gdyby prezentowała mi Wenus, wyłaniającą się z morskiej toni. Smukła szyja Melanii niezawodnie przyciągnęłaby uwagę pana Botticellego.

Pewnie w domu mówią na nią Mela, pomyślałem złośliwie i przywitałem się z nią z niezbyt entuzjastycznym uśmiechem. Ale Melania nie dała się łatwo zbyć. Zatrzepotała długimi rzęsami, rozchyliła miękkie, różowe wargi i rzuciła mi namiętne spojrzenie. Ma wprawę, pomyślałem, i jest pewna swoich sztuczek, zupełnie jak ja, kiedy stoję przed kamerą.

Melania opadła obok mnie na sofę, pokrytą imitacją tygrysiej skóry, w pozie, która pozwalała miękkiemu materiałowi sukni szczelnie oblepić jej smukłe ciało. Tak się złożyło, że nie miała przy sobie zapalek, więc podałem jej ogień z dużej zapalniczki w kształcie pomarańczy, która stała przede mną na stoliku. Tak się również złożyło, że Melania zmuszona była ująć moją dłoń w obydwie ręce, żeby zabezpieczyć płomyk przed zgaśnięciem. Kiedy prostowała się, żeby strącić popiół z papierosa, zmuszona była również chwycić mnie za ramię, żeby nie stracić równowagi.

Katia opowiadała wesołe anegdotki, a Roderyk raz po raz dolewał mi dzinu do szklanki. Zastanawiałem się nad tym, gdzie ukrył magnetofon. Byłem bowiem absolutnie przekonany, że cała nasza rozmowa jest nagrywana.

Kolację zjedliśmy przy czarnym, kwadratowym stole, umieszczonym w niewielkiej alkowie, której ściany pomalowane były na kolor musztardowy. Jedzenie było świetne, konwersacja raczej pikantna, ale chociaż oni przerzucali się dowcipnymi uwagami, ja byłem raczej milczący i pilnowałem języka, żeby nie powiedzieć niczego, co nadawałoby się do zacytowania w prasie.

Melania pachniała dobrymi perfumami, a Roderyk ukradkiem dolewał mi koniaku do wina. Przyglądał mi się pilnie, choć dyskretnie i wyraźnie czyhał na to, żebym się wreszcie rozluźnił i stracił panowanie nad sobą. Mam cię gdzieś - myślałem - ciebie i twoją gazetkę. Prawdziwy z ciebie skurwysyn, bracie Roderyku, ale nie wygrasz ze mną.

Roderyk zorientował się widać, że mnie nie upije, więc postanowił nagle porzucić rozmówki z podtekstem seksualnym i ni stąd, ni zowąd, bez żadnego przejścia, spojrzął na mnie i zapytał:

- Jest pan tu już tydzień. Niech pan nam powie, co pan myśli o apartheidzie?

- A pan? - odbiłem piłkę. - A państwo? Wy tu żyjecie. Powiedźcie mi coś na ten temat.

Roderyk potrząsnął głową, a Katia stwierdziła, że ważne jest to, co myślą przyjezdni, i tylko Melania, która trzymała się innych reguł gry, zawyrokowała stanowczym tonem:

- Apartheid jest nieunikniony.

Roderyk zachnął się, ale ja zapytałem szybko:

- W jakim sensie?

- Apartheid oznacza życie w separacji - tłumaczyła mi - a nie, że jedna rasa jest lepsza od drugiej. Ale ludzie różnią się od siebie i nie wolno w to ingerować. Cały świat wyobraża sobie, że my nienawidzimy czarnych, ale to nieprawda...

Byłem zdumiony nagłą zmianą, jaka zaszła w tej dziewczynie, podobała mi się teraz znacznie bardziej niż w roli seksbomby.

- Wielu czarnych ma samochody i własne domy. Mają też swoje szpitale, i kina, hotele i sklepy...

Chciałem już otworzyć usta, żeby powiedzieć, że biali na ogół posiadają, dziwnym zbiegiem okoliczności, więcej pieniędzy i że na każdym kroku spotyka się napisy „Tylko dla białych”, albo „Czarnym wstęja wzbroniony”, ale Melania była tak podniecona, że nie dała mi dojść do głosu, co wyraźnie zdenerwowało Roderyka. Patrzył na nią złym wzrokiem, ale ona tego nie zauważyła.

- Wiem, co pan powie - ciągnęła. - Zaraz zacznie pan mówić o etyce. Wszyscy Anglicy, którzy tu przyjeżdżają, wytykają nam, że jesteśmy niesprawiedliwi wobec czarnych. Ale nie widzą zmian na lepsze. Może dlatego, że nie chcą ich widzieć. Zmiany są powolne, ale przecież są.

Zastanawiałem się po cichu nad tym, czy myślałaby tak samo, gdyby była czarna a nie biała. Być może, że czarnym wolno już było uprawiać medycynę czy advokaturę, ale na przykład dżokejami być nie mogli. To wiedziałem na pewno.

Roderyk, który oczywiście czekał na to, żebym powiedział coś konkretnego, stracił cierpliwość i znowu zwrócił się do mnie z bezpośrednim pytaniem:

- A jakie są pańskie poglądy na tę sprawę? Uśmiechnąłem się.

- Widzi pan, drogi Roderyku, w moim zawodzie nigdy nie stosowano dyskryminacji wobec żadnej grupy społecznej. Jedyne warunki to przynależność do Związku Zawodowego Aktorów.

Roderyk dał za wygraną. Widać zorientował się, że nie wydobędzie ze mnie żadnej opinii politycznej, którą warto by było zacytować w druku. Postanowił więc przypomnieć Melanii, że ma przecież grać rolę seksbomby. Jej własny instynkt mówił jej, że zajechałaby ze mną dalej, gdyby się ograniczyła do konwersacji, bo wyraźnie mi się opierała. Ale widać mieli wspólne cele i piękna dziewczyna natychmiast zmieniła ton. Uśmiechnęła się wstydliwie, jak gdyby chciała powiedzieć, że niepotrzebnie zabierała głos w sprawach, na których się nie zna, i skromnie opuściła gęste rzęsy.

Katia i Roderyk wymienili oczami sygnały równie dyskretne, co światła latarni morskiej w bezksiężycową noc, po czym Katia oświadczyła, że idzie do kuchenki, żeby zrobić kawę. Roderyk powiedział, że idzie z nią, żeby jej pomóc, i zasugerował Melanii i mnie, żebyśmy się przenieśli na sofę, gdzie na pewno będzie nam wygodniej niż na twardych krzesłach.

Melania wciąż uśmiechała się nieśmiało. Podziwiałem jej aktorstwo, bo wiedziałem, że jest zimna i twarda jak stal. Ale nic, rozłożyła się na sofie w pozie rusałki. Zręcznym ruchem tak udrapowała suknię, że jej wspaniałe piersi wydawały się nagle niemal nagie. Z satysfakcją stwierdziła, że nie mogę oderwać od nich oczu.

Przedwczesna twoja radość, droga Melanio, pomyślałem, grubo przedwczesna.

Roderyk przyniósł kawę, a Katia wyszła na balkon. Po chwili powróciła i potrząsnęła przecząco głową. Roderyk nalewał kawę do filiżanek, a Katia rozdawała je. Zauważyłem, że drżała z wewnętrznego podniecenia.

Spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta piętnaście.

- Muszę się już pożegnać - powiedziałem. - Wyjeżdżam jutro bardzo wcześnie.

- Nie, nie, jeszcze chwilkę - powiedziała Katia gwałtownie, a Roderyk podał mi kielich, wypełniony taką ilością koniaku, że można by w nim zatopić co najmniej jeden krążownik. Wziąłem niby to duży łyk, ale w rzeczywistości załedwie umoczyłem usta. Gdybym wypił wszystko, co mi Roderyk nalał tego wieczora, nie byłbym na pewno w stanie poprowadzić samochodu.

Melania zrzuciła złote pantofelki i gimnastykowała palce bosych stóp o pomalowanych na różowo paznokciach. Chciała mi pokazać, że nic nie nosi pod tą swoją zieloną, powiewną sukienką.

Kawa okazała się równie smaczna, co kolacja. Katia była niewątpliwie lepszą kucharką niż konspiratorką. Po kwadransie wysunęła się ponownie na balkon, a kiedy powróciła, spojrzała na Roderyka i skinęła głową.

Przyjrzałem się jeszcze raz uważnie całej tej trójce. Młodo-starej twarzy Roderyka, śmiesznej, nieodpowiedzialne! Katii, pięknej Melanii, niestrudzenie snującej swoją pajęczą nić. Byłem pewny, że są w zмовie, że coś knują... ale co?

Za dwadzieścia jedenasta. Wychyliłem resztkę kawy, wstałem i powiedziałem, że koniecznie muszę iść.

Tym razem nie było sprzeciwu.

- Bardzo dziękuję za miły wieczór - powiedziałem. Uśmiechy.

- Pyszna kolacja - powiedziałem do Katii. Uśmiechnęła się.

- Wspaniałe drinki - do Roderyka. Uśmiechnął się.

- I przyjemne towarzystwo - zwróciłem się do Melanii.

I ona się uśmiechnęła.

Sztuczna uprzejmość. Czujne spojrzenia. Zrobiło mi się sucho w ustach.

Przeszliśmy do hallu.

- I na mnie czas - powiedziała Melania. - Roderyku, czy mógłbyś mi wydzwonić taksówkę?

- Oczywiście, kochanie - zgodził się, ale zaraz dodał: - Przecież jedziesz w tym samym kierunku co Link. Poproś go, a na pewno cię podrzuci.

Wszyscy troje patrzyli na mnie i nie przestawali się uśmiechać.

- Oczywiście - zgodziłem się, bo co było robić. Melania otuliła się niewielkim szalem, Katia i Roderyk odprowadzili nas do windy. Winda była automatyczna, trzeba było tylko nacisnąć odpowiedni guzik. Nacisnąłem „P”. Zatrzymała się na parterze.

Uprzejmie puściłem Melanię przodem. A potem powiedziałem:

- O... przepraszam... zostawiłem sygnet na umywalce w łazience. Skoczę szybciotko na górę. Zaraz wrócę. Proszę na mnie poczekać.

Zanim mogła zaprotestować, drzwi windy zasunęły się. Nacisnąłem guziki 2 i 6. Wysiadłem na drugim piętrze. Wybiegłem przez drzwi prowadzące na schody pożarowe i szybko zbiegłem po metalowych stopniach na wewnętrzne, podwórze, pełne pojemników na śmieci, bojlerów od centralnego ogrzewania i koszów na bieliznę. Wybiegłem na ulicę, okrążyłem cały blok i powróciłem pod dom Roderyka. Zatrzymałem się po przeciwnej stronie ulicy w cieniu jakiejś bramy.

Zauważyłem czterech mężczyzn, dwaj stali przed wejściem do domu Roderyka, a pozostali dwaj kręcili się dokoła mojego samochodu. Wszyscy dźwigali dobrze mi znajome, połyskujące przedmioty.

Z bramy wybiegła Melania, zatrzymała się i zaczęła rozmowę z tymi, co stali bliżej. W świetle ulicznych latarni suknia jej wydawała się niemal przezroczysta, uwypuklając urodę jej wspaniałego ciała. Mówiła coś z wielkim ożywieniem, a oni silnie gestykulowali i gwałtownie potrząsali głowami.

Spojrzeli nagle w górę, więc i ja uniosłem głowę i zobaczyłem stojących na balkonie Roderyka i Katię. Wołali coś do Melanii. Nie dosłyszałem ich słów, ale i tak wiedziałem, o co chodzi. Zwierzyna wymknęła im się z pułapki. Nie byli zadowoleni.

Melania i jej dwaj towarzysze podeszli do tych, co kręcili się koło mojego samochodu. Odbyli krótką i mało produktywną naradę, po czym Melania powróciła do mieszkania Roderyka.

Westchnąłem i skrzywiłem się. Roderyk nie był mordercą. Był po prostu typowym dziennikarzem, a jego czterej współpracownicy nie byli uzbrojeni w rewolwery czy noże, ale w aparaty fotograficzne. Nie chcieli mnie zabić, ale sfotografować.

Sfotografować mnie przy wejściu do czynszowej kamienicy w towarzystwie pięknej dziewczyny w niemalże przezroczystej sukni.

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się czterem fotografom, ale doszedłem do wniosku, że nie dałbym im rady. Obróciłem się więc na pięcie i oddaliłem niepostrzeżenie.

*

Wróciłem taksówką do hotelu Iguana Rock i zadzwoniłem do Roderyka. Był wyraźnie przygnębiony.

- A niech pana szlag trafi! - krzyknąłem bez wstępów.

- A niech.

- Czy kazał pan założyć podsłuch na mój telefon? Pauza. Potem westchnienie.

- Tak - przyznał się.

- Wzruszająca szczerłość. Niestety spóźniona.

- Link...

- Szkoda słów... Niech mi pan tylko powie, po co panu to wszystko?

- Moja gazeta...

- Nic podobnego - przerwałem mu. - Żadna przyzwoita gazeta nie ima się takich sztuczek. To była pańska prywatna inicjatywa. Dłuższa pauza.

- No więc powiem panu. Zrobiliśmy to na prośbę Clif forda Wenkinsa. Ten głupi śmierzdel jest okropnie sterroryzowany przez tę swoją firmę. Błagał mnie, żebym w zamian za drobne przysługi, jakie wyświadcza nam od czasu do czasu, pomógł mu... no, rozumie pan. Powiedział mi, że Worldic wyleje go na twarz, jeżeli nie zdobędzie pańskiego zdjęcia z jakąś seksbombą. Twierdził, że zaklinał pana na wszystko, ale że pan stanowczo odmówił. A oni się boją, że inaczej nie uda im się opylić tych biletów po dwadzieścia randów, na których im najbardziej zależy. Melania jest najlepszą modelką w Johannesburgu. Wenkins ubłagał ją, żeby odegrała tę rolę. Powiedział jej, że chodzi o bardzo wzniosły cel dobroczynny.

- Ten cholerny Wenkins - powiedziałem - sprzedałby własną duszę dla reklamy.

- Przykro mi...

- To nic w porównaniu z tym, jak przykro będzie temu gnojowi...

- Przyrzekłem mu, że pan się o niczym nie dowie.

- A niech was wszystkich diabli wezmą! - wrzasnąłem i rzuciłem słuchawkę.

Rozdział trzynasty

Nazajutrz rano poprosiłem biuro hotelu, żeby posłali kogoś po mój samochód, zapakowałem niewielką walizeczkę i zjechałem pod hotel Evana i Konrada.

Evan był właśnie zajęty nadzorowaniem ładowania bagaży i ekwipunku do furgonetki, co czynił z takim przejęciem, jakby reżyserował scenę do jakiegoś bardzo ważnego filmu. Miał jednak do dyspozycji wyłącznie Konrada. Dokoła, na chodniku, piętrzyły się walizki, pudła i worki z plastyku, zasuwane na zamki błyskawiczne.

- Drogi chłopcze - zawołał Konrad na mój widok - na litość boską, zdobądź mi trochę lodu.

- Lodu? - zdziwiłem się. Wskazał na żółte pudło.

- Lodu - powtórzył. - Do obłożenia kaset.

- A piwo zabieracie?

- Piwo jest w czerwonym pudle, drogi chłopcze. Piwo miało u Konrada, rzecz jasna, pierwszeństwo nad wszystkim innym. Było już starannie obłożone kostkami lodu i załadowane do furgonetki. Poszedłem więc do hotelu i powróciłem niebawem z dużym przezroczystym workiem z folii, pełnym kawałków lodu. Konrad wsypał je na dno żółtego pudła, dołożył kasety z taśmą, zamknął starannie i wsunął do bagażnika. Evan stwierdził sucho, że jeżeli będziemy dalej pracowali w tym tempie, to może i zajedziemy do Parku Krugera pod wieczór.

O jedenastej furgonetka była pełna, ale na chodniku leżało jeszcze całe mnóstwo pudeł, pudełek, statywów, kaset i różnych innych przedmiotów, które nieuchronnie kojarzą się z zawodem kamerzysty.

Evan machał rękami jak szalony, jak gdyby spodziewał się, że w ten sposób zagarnie to wszystko cudownym sposobem do wnętrza furgonetki. Konrad podskubywał w zamyśleniu wąsy. Otworzyłem więc bagażnik swojego wozu, bezceremonialnie wpakowałem wszystko do środka i powiedziałem Konradowi, że będzie to sobie mógł rozsortować, jak dojedziemy na miejsce.

Następnie wypiliśmy po butelce piwa i wreszcie koło południa wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy przez dobre pięć godzin na północny wschód od płaskowyżu otaczającego Johannesburg, aż zajechaliśmy na wysokość około stu metrów ponad poziomem morza. Powietrze stawało się coraz to gorętsze i trzeba było coraz częściej zatrzymywać się, żeby coś wypić. Jeżeli chodzi o pojemność żołądka, to Konrad mógł niewątpliwie konkurować z członkami szczepu Bantu.

O piątej dojechaliśmy do bramy Numbi, która stanowi najbliższy wjazd do rezerwatu. Sam Park Krugera ciągnie się stąd trzysta dwadzieścia kilometrów na północ i osiemdziesiąt kilometrów na wschód, przy czym jest nie ogrodzony i zwierzęta mogą sobie uciekać, jeśli im się tam nie podoba. Brama Numbi to zwyczajna drewniana bariera, strzeżona przez dwóch umundurowanych Murzynów Afrykańczyków, oraz niewielki drewniany budynek. Evan pokazał strażnikom przepustkę na dwa samochody i dowód rezerwacji w kampingach. Wśród uśmiechów i przychylnych gestów ostemplowano nam przepustki i bariera została podniesiona.

Rosnące tuż przy wjeździe szkarłatne i fioletowe bougainvillée okazały się zwykłą atrapą. Rezerwat był całkowicie wysuszony. Od wielu miesięcy nie spadła tu ani jedna kropla deszczu. Wąska droga (prowadziła w głąb tej wypalanej dżungli, a jedynym śladem obecności człowieka była jej asfaltowa nawierzchnia.

- Zebry! - wrzasnął nagle Konrad.

Zobaczyłem rzeczywiście stado bardzo zakurzonych zebra, stojące cierpliwie pod bezlistnymi gałęzmi rozłożystego drzewa. Merdały leniwie ogonami. Trudno je było zauważyć w prążkowanym cieniu gałęzi.

Konrad posiadał na szczęście mapę terenu. Celem naszym był najbliższy kamping o pięknej nazwie Pretoriuskop, ale jak się wkrótce okazało, prowadziło tam kilka wąskich, wijących się i krzyżujących dróg, można więc było łatwo zabłądzić i wpakować się w

dzunglę, gdzie jak nas zapewniono, żyły wielkie stada lwów, nosorożców, bawołów i krokodyli.

No i oczywiście słoni.

Kamping był duży, rozłożony na rozległej przestrzeni i otoczony wysoką siatką z drutu. Nie zauważyliśmy żadnych namiotów, a tylko okrągłe, zbudowane z cegły i pokryte strzechą chaty. Wyglądały jak czerwone beczki nakryte słomkowymi kapeluszami.

- *Rondavele* - oświecił nas Evan swoim najbardziej profesorskim tonem, wskazując na nie ręką. Poszedł nas zameldować do chaty, w której znajdowało się biuro, a potem udał się na poszukiwanie przydzielonych nam pomieszczeń. Każdy z nas dostał całą taką chatę dla siebie. Wewnątrz znajdowały się dwa łóżka, stół, krzesła, szafę w ścianie, prysznic i klimatyzacja. Jednym słowem, pełny nowoczesny komfort w sercu dżungli.

Evan zapukał do moich drzwi i oświadczył, że zaiaz udajemy się na przejażdżkę. Bramy kempingu zamykano na noc o godzinie szóstej trzydzieści, co dawało nam zaledwie czterdzieści minut na zorientowanie się w terenie i obejrzenie stada pawianów.

- Nie zdążymy rozpakować furgonetki - oświadczył - więc najlepiej będzie, jak weźmiemy twój wóz.

Prowadziłem, a oni wyglądali przez okna samochodu. Duża gromada pawianów siedziała na kamienistym pagórku iskając się namiętnie, a trochę dalej stado antylop obskubywało jakieś bezlistne krzaki. Słoni ani śladu.

- Lepiej wróćmy, zanim zabłądzimy - zaproponowałem i rzeczywiście dojechaliśmy do kempingu na kilka sekund przed zamknięciem bramy.

- A co by było, gdybyśmy się spóźnili? - zapytałem.

- Trzeba by było spędzić noc w dżungli - oświadczył Evan autorytatywnie. - Jak zamykają, to zamykają i święty Boże nie pomoże.

Evan, jak zwykle, udawał, że czerpie informacje z powietrza, ale jak się później okazało, zaopatrzył się po prostu w recepcji w odpowiednią broszurkę i przestudiował ją. Książeczka radziła również, żeby nie otwierać okien samochodu i nie wrzeszczeć przez nie „zebra” czy „lew”, bo zwierzęta tego bardzo nie lubią. Podobno nie boją się samochodów i nie interesują się nimi, ale niech tylko zaczną z nich wystawać coś ludzkiego, nabierają apetytu i ruszają do ataku.

Konrad wydobyl z bagażnika furgonetki skrzynkę z piwem, po czym usiedliśmy przed jedną z chat i zabraliśmy się do gaszenia pragnienia. Powietrze było łagodne i ciepłe. Zmrok powoli ogarniał nasze *rondavele*. Kojąca była ta cisza, dobra na sterane nerwy i nawet

obecność Evana nie potrafiła jej zakłócić. Miała tylko jedną wadę... napawała człowieka poczuciem bezpieczeństwa.

*

Nazajutrz był czwartek. O świcie wyruszyliśmy w głąb dżungli i dopiero na następnym kempingu zabraliśmy się do śniadania. Kemping ten nazywał się Skukuza. Tu zamierzaliśmy spędzić następną noc.

Skukuza była większa od Pretoriuskopu i kierownictwo produkcji Evana wynajęło, nam tu znacznie bardziej luksusowe *rondavele*, jak również przewodnika, co byłoby znakomitym pomysłem, gdyby nie był Afrykanerem, z trudem wysławiającym się po angielsku. Wysoki, powolny, małomówny i flegmatyczny człowiek, dokładne przeciwieństwo Evana.

Evan zarzucał go pytaniami i zmuszony był w milczeniu czekać na odpowiedź. Haagner tłumaczył sobie w głowie angielskie słowa na swój język, potem formułował odpowiedź, tłumaczył ją na angielski i odpowiadał. Irytowało to Evana od samego początku, ale Haagner nie przejmował się tym i nie tracił równowagi ducha. Konrad bawił się doskonale (choć usiłował tego po sobie nie pokazywać), niczym poniewierany sługa, który patrzy, jak jego pan poślizguje się na skórce od banana i pada jak długi.

Ruszyliśmy w teren w wozie terenowym Haagnera, do którego Konrad załadował Arrifleksa, aparaturę dźwiękową, z pół tuzina mniejszych kamer i czerwone termos-pudło, zawierające taśmy filmowe i dźwiękowe, mapy, notatniki, bloki rysunkowe, owoce, piwo i sandwicze w torebkach z folii. Evan skarżył się, że przedsiębiorstwo nie przydzieliło mu sekretarki, a Konrad, mrucał pod nosem, że powinniśmy Bogu dziękować, że nie przydzielono nam Drixa Goddarda, ale kwaśne spojrzenie, jakie skierował na niego Evan, świadczyło o tym, że co do tego nie ma między nimi zgody.

- *Oli fant* - powiedział nagle Haagner, któremu Evan ze trzy razy wyjaśniał cel naszej ekspedycji.

Haagner zatrzymał auto.

- O tam, w dolinie.

Spojrzeliliśmy w dół, ale spostrzegliśmy tylko kilka drzew, sporą łąkę i małą rzeczułkę.

- Tam, panowie.

Po chwili nasze niewprawne oczy zarejestrowały trzy ciemne zarysy ciężkich zwierzęcych ciał, na pół ukryte w zaroślach.

- To za daleko na robienie zdjęć - oświadczył Evan. - Musimy podjechać bliżej.

- One są po drugiej stronie rzeki - powiedział Haagner. - Rzeki Sabi. Sabi po Bantu znaczy strach.

Spojrzałem na niego podejrzliwym wzrokiem, ale stwierdziłem, że nie prowokuje Evana, tylko po prostu udziela informacji. Wąska, naiwna rzeczulka spokojnie płynęła przez dolinkę i wyglądała równie niegroźnie, jak Tamiza.

Haagner wskazywał nam najrozmaitsze zwierzęta, ale Evana nie interesowały ani sępy amerykańskie, ani sójki czubate, ani zielone małpy, ani gnu, ani stada przepięknych, zwinnych antylop. Interesowały go wyłącznie dzikie bestie, takie jak hieny, sępy, dziki, a szczególnie lwy i gepardy, które nawet tutaj są wielką rzadkością.

Ale najbardziej czekał na *olifanty*. Evan przyswoił sobie to tubylcze słowo, spodobało mu się i wymawiał je z taką satysfakcją, jak gdyby je sam wymyślił. Kiedy Haagner pokazał nam leżącą na drodze dużą kupę ekskrementów słonia, zachwył Evana nie miał granic. Kazał zatrzymać samochód i zmusił Konrada do zrobienia co najmniej dziesięciu metrów filmu i to z różnych ujęć.

Haagner cierpliwie ustawiał wóz tak, żeby ułatwić Konradowi fotografowanie. Nie ukrywał, że uważa Evana za szaleńca, a ja śmiałem się bezgłośnie, aż mnie gardło rozboleło. Byłem przekonany, że gdyby słoń wrócił, Evan kazałby mu zrobić dubla, dwie, a może i trzy kupki. Byłaby to dla niego rzecz najnormalniejsza w świecie.

Evan z prawdziwym żalem rozstał się z słoniową kupą i widać było, że zastanawia się nad tym, jak wykorzystać ją w sposób możliwie najbardziej symboliczny. Konrad oświadczył, że marzy o piwie, ale Haagner wyciągnął tylko rękę i powiedział: „Onder-Sabie”, co okazało się nazwą następnego kempingu, podobnego jak dwie krople wody do poprzednich.

- *Olifanty* w rzece Saliji - oświadczył Haagner po powrocie z krótkiej pogawędki z grupą kolegów. - Jeżeli pojedziemy zaraz, to może je zobaczymy.

Evan zażądał oczywiście, żebyśmy natychmiast jechali, trzeba się więc było rozstać z miłym cieniem i na pół opróżnionymi szklankami zimnego piwa. Zbliżało się południe, było coraz goręcej. Bardziej od nas rozsądni śmiertelnicy urządzali sobie sjęstę, ale dla Evana *olifanty* były w tej chwili sprawą całkowicie nadrzędną.

Samochód był rozpalony niemal do białości.

- Dzisiaj gorąco - stwierdził Haagner. - Jutro więcej gorąco. Niedługo przyjdzie deszcz i wszystko zrobi się zielone.

- Nie, nie - zdenerwował się Evan. - Mnie jest koniecznie potrzebna susza. Wypalona słońcem roślinność. Chcę pokazać ten rezerwat taki, jaki jest w tej chwili - wrogi, jałowy, wygłodzony, agresywny, groźny, zły i okrutny. A stanowczo nie zielony i kwitnący.

Haagner nic z tego nie rozumiał. Zadumał się na dłuższą chwilę, a potem powtórzył swoje:

- Za miesiąc zaczną się deszcze i park będzie zielony. Dużo, dużo wody. Teraz niedużo. Małe rzeki wyschły. *Olifanty* muszą chodzić do dużej rzeki. Do Saliji.

Ujechaliśmy ze dwa kilometry, po czym zatrzymaliśmy się w pobliżu dużego szałas na skraju rozległej doliny.

Pod nami płynęła rzeka Salija i rzeczywiście zobaczyliśmy *olifanty*. Duża rodzina, mama, tata i dzieci, pluskała się wesoło. Rodzice nabierali wody do trąb i opryskiwali swoje młode.

Miejsce, w którym Haagner zatrzymał się, było oficjalnym postojem, więc pozwolił nam wysiąść. Z zadowoleniem rozprostowałem nogi i sięgnąłem do czerwonej skrzynki po małe piwko. Konrad trzymał w jednej ręce kamerę, a w drugiej puszkę z piwem, a Evan, niesłychanie podniecony, próbował zarazić nas swoim entuzjazmem.

Usiadłem z Haagnerem przy drewnianym stole i rozpakowałem sandwicze. Było co najmniej 35 °C. w cieniu. Haagner ostrzegł Evana, żeby się zbytnio nie oddalał i nie wiódł na pokuszenie wygłodzonych lwów, ale Evan był - jak to on - przekonany, że nic mu się nie stanie, i miał rację. Zmusił Konrada do pójścia wraz z nim mniej więcej 40 metrów w kierunku rzeki, żeby zrobić możliwie jak najlepsze zdjęcia. Haagner denerwował się i zaczął ich przywoływać tłumacząc mi, że gdyby coś im się stało, jego niechybnie wyrzucono by z pracy.

Niebawem powrócił Konrad, ocierając z czoła krople potu, które nie były wyłącznie rezultatem upału, i oświadczył, że słyszał, jak „coś” warczy w krzakach.

- W rezerwacie jest tysiąc dwieście lwów - powiedział Haagner. - Jak głodne, to atakują. Same tylko lwy zabijają na terenie parku trzydzieści tysięcy różnych zwierząt rocznie.

- O Boże - westchnął Konrad. Widać było, że coraz szybciej traci entuzjazm do projektu Evana.

Po chwili powrócił Evan cały i zdrowy. Haagner rzucił mu niechętnie spojrzenie..

- Więcej *olifantów* na północy - powiedział. - *Olifanty* na północy - dodał z naciskiem, co miało znaczyć, że znajdują się poza jego rejonem.

Evan uspokoił go natychmiast.

- Jutro Jutro jedziemy na północ i spędzimy noc na kempingu Satara.

Uspokojony Haagner odwiózł nas do Skukuzy. Po drodze wskazywał nam sumiennie każde napotkane zwierzę i wymieniał jego nazwę.

- Czy można by przejechać przez park konno? - zapytałem.

Potrząsnął stanowczo głową.

- Bardzo niebezpieczne. Bardziej niebezpieczne niż chodzić, ale chodzić też niebezpiecznie - dodał patrząc prosto na Evana. - Jakby wam się zepsuł samochód, czekajcie, aż nadjedzie następny, i poproście, żeby zawiadomiono strażników w najbliższym kempingu. Nie wysiadajcie. Nie chodźcie piechotą po rezerwacie. Szczególnie w nocy. Lepiej przesiedzieć całą noc w samochodzie.

Evan słuchał go bez przekonania. Wskazał natomiast na jedną z licznych, nie asfaltowanych bocznych dróg. Przy wjeździe do każdej był napis „Wstęp wzbroniony”. Zapytał Haagnera, dokąd prowadzą.

- Niektóre do osiedli strażników - odparł Haagner po dłuższej pauzie. - Inne do wodopojów. Jeszcze inne do przesieki przeciwpożarowej. To drogi tylko dla strażników. Nie dla zwiedzających. Nie wolno tam wchodzić.

Patrzył na Evana podejrzliwie, bo zorientował się, że mą do czynienia z człowiekiem nie uznającym jakichkolwiek zakazów.

Nie wolno - dodał. - Zabronione.

- A dlaczego?

- Rezerwat ma trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych. Łatwo zabłądzić.

- Mamy mapę.

- Te boczne drogi nie są wyznaczone na mapie. Evan zamilkł. Siedział z buntowniczą miną i jadł sandwicza po sandwiczu. Kiedy skończył, otworzył okno, żeby wyrzucić foliowy woreczek.

- Nie wolno! - krzyknął Haagner ostro i Evan zatrzymał się.

- Dlaczego nie?

- Zwierzęta to jedzą i dławią się. Nie wolno niczego wyrzucać. Folia zabija zwierzęta.

- No już dobrze - warknął Evan, zwinął woreczek i podał mi, żebym go włożył do czerwonej skrzynki. Ponieważ skrzynka była szczelnie zamknięta, wsunąłem go do kieszeni. Evan nie mógł jednak nie postawić na swoim i po chwili wyrzucił przez okno resztę sandwicza z serem {i pomidorem.

- Proszę nie karmić zwierząt - odezwał się Haagner automatycznie.

- Dlaczego nie? - zapytał po raz nie wiadomo który Evan.

- Nie trzeba uczyć zwierząt, że samochody mają w środku jedzenie.

Ten argument usadził Evana. Konrad mrugnął do mnie porozumiewawczo, a ja ułożyłem twarz w wyraz całkowitej obojętności, chociaż w środku pękałem ze śmiechu.

Ponieważ natknęliśmy się, niestety, na słonia, który machał do nas uszami z odległości rzutu piłki krykietowej, powróciliśmy na kamping dopiero tuż przed zamknięciem bramy. Mimo że słońce niezwykle szybko „chodziło, Evan nie chciał słyszeć o powrocie, widział wszędzie wspaniałe wprost alegorie, kazał Konradowi robić całe kilometry zdjęć i nakładać coraz to inne filtry. Chciał, żeby Konrad ustawił na środku drogi statyw po to, żeby nie wszystkie zdjęcia były robione z ręki, ale Haagner przeciwstawił się temu projektowi głosem tak pełnym przerażenia, że nawet Evan zrezygnował ze swojego zamiaru.

- *Olifant* to najgroźniejszy zwierz - powiedział Haagner z wielką powagą. A Konrad dodał, równie solennym tonem, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby go do opuszczenia wozu. Haagner nie chciał się nawet zgodzić na otworzenie okien i żądał, żebyśmy czym prędzej odjeżdżali. Twierdził, że jak słoń macha uszami, to znaczy, że jest z czegoś niezadowolony, a ponieważ waży co najmniej siedem ton, i wiadomo, że potrafi szarżować z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę - więc lepiej się ulotnić.

Jednakże Evan był widać przekonany, że słoń nie odważy się zaatakować tak znakomitych osobistości, jak E. Pentelow, reżyser, i E. Lincoln, aktor. Udało mu się przekonać Konrada, żeby się wziął do filmowania, ale przez cały czas Haagner nie zgasił ani na chwilę motoru i nie spuszczał nogi ze sprzęgła. Kiedy w pewnej chwili słoń posunął się krok w naszym kierunku, Haagner ruszył z takim impetem, że Konrad razem ze swoją kamerą znalazł się na podłodze.

Pomogłem mu się pozbierać, podczas gdy Evan robił wymówki Haagnerowi. Haagner, straciwszy najwidoczniej cierpliwość, zatrzymał auto z niemniejszą energią, zaciągnął ręczny hamulec i powiedział:

- Dobrze. Czekamy.

Słoń wyszedł na szosę. Stał jakie sto metrów za nami. Jego ogromne uszy powiewały jak flagi.

Konrad zerknął w tył.

- Ruszajmy, drogi chłopcze - powiedział uprzejmym tonem.

Haagner nie odpowiedział tylko zacisnął zęby. Słoń widać postanowił nas dogonić i puścił się klusem.

Już zacząłem tracić nerwy, kiedy Evan wreszcie się załamał. Już zaczął mówić coś do Konrada o robieniu dalszych zdjęć, kiedy zaświtało mu, że sytuacja nie jest dobra.

- Odjazd! - krzyknął do Haagnera. - Nie widzisz, człowieku, że ten słoń szarżuje?

A słoń miał duże i bardzo piękne kły.

Haagner widocznie także uznał, że wszystko ma swoje granice, i ruszył z takim impetem, że słoń dostał tylko chmurę kurzu w nos.

- A co będzie, jak nadjedzie następny samochód? - zapytałem. - Nadzieje się prosto na tego rozjuszonego bydlaka.

Haagner potrząsnął głową.

- Już dzisiaj za późno. Już wszystkie samochody wracają na kampingi. A ten *olifant* zaraz pójdzie do buszu. Na pewno nie zostanie na szosie.

Konrad spojrział na zegarek.

- Ile czasu zajmie nam powrót do Skukuzy? - zapytał.

- Jeżeli się więcej nie zatrzymamy - odpowiedział Haagner z nutą złośliwości w głosie - to zajdziemy za pół godziny.

- Ale kiedy jest już kwadrans po szóstej - zdenerwował się Evan.

Haagner wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. Evan był widać zaniepokojony, w związku z czym na twarzy Afrykanera pojawił się błogi uśmiezek satysfakcji. I pozostał na niej przez całą jazdę. Po pewnym czasie trzeba było zapalić reflektory, po czym Haagner skręcił nagle w jedną z nie asfaltowanych dróg i po kilometry czy półtora znaleźliśmy się w wiosce, złożonej z ładnych nowoczesnych bungalowów, otoczonych ogródkami i Oświetlonych ulicznymi lampami.

Rozglądaliśmy się w zdumieniu. Typowe współczesne przedmieście, pełne zieleni i kwiatów, wśród wysuszonej, brunatnej dżungli.

- To jest miasteczko strażników - wyjaśnił nam Haagner. - Mój domek trzeci stąd..Wszyscy biali strażnicy i pracownicy tu mieszkają. Robotnicy i strażnicy Bantu mają osobne osiedla.

- A” lwy? - zapytałem. - Czy tu jest bezpiecznie? Uśmiechnął się.

- Chyba tak.

Przejechaliśmy osiedle, skręciliśmy na nie oświetloną drogę i wkrótce znaleźliśmy się przed bramą kampingu.

- No tak całkiem bezpiecznie to może i nie jest - powiedział nagle Haagner. - Nocą nikt nie oddala się zbyt od domu. A lwy rzadko podchodzą pod ludzkie siedziby... poza tym mamy dobre ogrodzenia... ale zdarzyło się kiedyś tu, na tej właśnie drodze, pomiędzy osiedlem a kampingiem, że lew napadł na młodego Bantu. Znałem go dobrze. Ostrzegano go, żeby nie chodził po nocy... To było straszne.

- Czy lwy często pożerają ludzi? - zapytałem. Zatrzymaliśmy się właśnie przed naszym *rondavelem* i wyładowywaliśmy kamery i skrzynki.

- Gdzie tam. Bardzo rzadko. A jeżeli, to robotników leśnych. Nigdy zwiedzających. W samochodzie jest bezpiecznie. - Spojrzał jeszcze raz wymownie na Evana. - Nie wolno wychodzić z samochodu - dodał na pożegnanie. - To jest zabronione.

*

Przed kolacją kazałem połączyć się z Anglią. Połączenie będzie za dwie godziny, oświadczone mi, ale o dziewiątej rozmawiałem już z Kit.

- Wszystko w porządku - powiedziała - dzieciaki dokazują, jak zwykle. - Poza tym odwiedziła Nerissę.

- Spędziłam z nią wczoraj cały dzień... Siedziałyśmy w domu, bo jest szalenie osłabiona. Ale nie chciała mnie puścić. Udało mi się wyciągnąć z niej to wszystko, o co pytałeś... ale trwało to bardzo długo.

- Co mówiła?

- Masz dużo racji. Rzeczywiście zwierzyła się Danowi, że cierpi na chorobę Hodgkina. Mówi, że wtedy sama jeszcze nie wiedziała, że to nieuleczalne, ale myśli, że Dan specjalnie się tym nie przejął, bo powiedział tylko, że zawsze sądził, że jest to raczej choroba młodych ludzi.

Jeżeli to wie, pomyślałem, to znaczy, że wie dużo więcej.

- Podobno pobył u niej dziesięć dni i przez ten czas zaprzyjaźnili się. Tak określiła to Nerissa. Przyrzekła, zanim odjechał do Ameryki, że zapisze mu w testamencie wszystkie swoje konie. Powiedziała mu też, że zamierza rozdzielić część swojego majątku pomiędzy kilku przyjaciół, a jemu, jako jedynemu członkowi rodziny, zapisać resztę.

- No tak... Kilka tygodni temu, w końcu lipca a może z początkiem sierpnia, znowu się u niej zjawił. To było w tym czasie, kiedy kręciłeś w Hiszpanii. Nerissa wiedziała już, że jest umierająca, ale nie powiedziała mu o tym. Pokazała mu jednakże swój testament, ponieważ był wyraźnie zainteresowany jego treścią. Po przeczytaniu powiedział jej, że ma nadzieję, że ona pożyje jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, i w ogóle był szalenie sympatyczny.

- Co za hipokryta!

- Bo ja wiem - zastanowiła się Kit. - W tym, co wymyśliłeś, widzę jedno duże ale.

- A mianowicie?

- Dan nie może mieć nic wspólnego z tym, że konie Nerissy ostatnio przegrywają wszystkie wyścigi.

- Dlaczego?

- Bo jak mu Nerissa powiedziała, że martwi ją ta cała dziwna sprawa, to właśnie Dan podrzucił jej myśl, żebyś ty pojechał na miejsce i spróbował zorientować się w sytuacji.

- To niemożliwe! - krzyknąłem.

- Mówię ci. To był jego pomysł.

- A niech to wszyscy diabli!

- Gdyby sam coś kombinował, to na pewno nie namawiałby jej, żeby posłała kogoś na zwiady, no nie?

- Chyba nie.

- Nie przejmuj się tak.

- Bo nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

- Trudno. Przecież - i tak nie powiedziałbyś Nerissie, że jej ukochany bratanek to kawał drania.

- To prawda.

- Poza tym, gdyby Dan chciał obejrzeć testament Nerissy bez jej wiedzy, nie napotkałby na większe trudności. Ten dokument poniewiera się stale na inkrustowanym stoliku w rogu salonu. Jak tylko o nim wspomniałam, dała mi go do przeczytania. Interesuje ją reakcja ludzi. Jeżeli chcesz, to mogę ci powiedzieć, co nam zapisała.

- No więc co? - zapytałem bez większego zainteresowania. Nie mogłem przestać myśleć o Danie.

- Dostaniemy akcje jakiejś firmy, która nazywa się Rojedda. Poza tym mnie zostawia wisior z brylantami i kolczyki. Pokazała mi je... są zupełnie niezwykłej urody. Powiedziałam jej, że to stanowczo za kosztowny prezent.. Kazała mi je przymierzyć, bo chciała zobaczyć, czy jest mi w nich do twarzy. Była zadowolona... powiedziałabym nawet... szczęśliwa... To jest zupełnie niesłychane... Nie, tego nie wytrzymam... o Boże...

- Nie płacz, kochanie.

- Nie mogę... nie mogę się powstrzymać. Nerissa jest znacznie słabsza niż ostatnim razem. I ma bóle. Jakiś spuchnięty gruczoł naciska na nerw w klatce piersiowej.

- Pojedziemy do niej, jak tylko wrócę.

- Tak - szlochała Kit. - O Boże, jak ja bym chciała, żebyś już tu był.

- Ja też. Od dziś za tydzień będę w domu. Weźmiemy dzieciaki i pojedziemy do Kornwalii.

*

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem na zewnątrz. Walnym krokiem przeszedłem koło naszych *rondavelów* i dalej, na wielką polanę, porośłą ostrą, brunatną trawą. Afrykańska noc jest bardzo cicha. Jedyńm dźwiękiem był szum generatora, zasilającego Skukuzę w prąd elektryczny, i energiczne ćwierkanie tysięcy cykad.

Nerissa dostarczyła mi odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Znałem już prawdę, ale trudno mi było w nią uwierzyć. Ktoś zapuszcza się w bardzo ryzykowną grę. Tak jest. A w grze tej stawką jest moje życie.

*

Powróciłem do telefonu i zamówiłem jeszcze jedną rozmowę. Służący van Hurena prosił, żebym poczekał, i już po chwili po drugiej stronie drutu odezwał się głos Quentina. Powiedziałem mu, że zdaję sobie sprawę, iż jest to niedyskretne pytanie i wytłumaczę mu, o co chodzi, przy najbliższym spotkaniu, ale chciałbym wiedzieć, jakie są udziały Nerissy w Rojeddzie.

- Dokładnie takie same jak moje - odparł bez wahania. - Odziedziczyła po Porcji cały pakiet akcji mojego brata.

Podziękowałem mu. Nie byłem szczęśliwy.

- Do zobaczenia na premierze - powiedział. - Wszyscy tu cieszą się bardzo na tę okazję.

*

Długo nie mogłem usnąć. A chyba nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo tutaj, na strzeżonym kempingu, gdzie na dodatek Evan i Konrad chrapali w najlepsze w dwóch sąsiadujących z moim *rondavelach*.

Zasnąłem w końcu, a kiedy się obudziłem, okazało się, że wcale nie jestem w łóżku.

Znajdowałem się w samochodzie, który wynająłem w Johannesburgu. Samochód stał gdzieś w Parku Krugera. Był biały dzień. Dokoła drzewa, krzewy i sucha trawa. Żadnego *rondavela*, jak okiem sięgnąć.

W nozdrzach miałem mdły zapach eteru i trochę krę? ciło mi się w głowie, ale jedno wiedziałem na pewno, a mianowicie to, że prawe ramię przeplecione mam przez kierownicę, a przeguby rąk połączone parą solidnych kajdanków.

Rozdział czternasty

Co za idiotyczny żart, pomyślałem. Co za dureń z tego Evana!

A może to znowu jakiś kretyński pomysł reklamowy Wenkinsa.

Przecież to nie mogło być na serio?

Ale wiedziałem doskonale, chociaż jeszcze nie chciałem się do tego przyznać przed samym sobą, że tym razem żadna Jill nie przyjdzie mnie wyzwolić.

Tym razem przyjdzie zdychać i to na serio, a nie dla kamery. Śmierć zagląda mi prosto w oczy.

Bo Dan grał o nie byle jaką stawkę, ale o kopalnię złota.

Czułem się fatalnie. Mdlilo mnie. Musieli mi dać jakiś ohydny narkotyk i to prawdopodobnie dużą dawkę. Co zapewne nie miało już żadnego znaczenia.

Przez całe wieki nie udało mi się zebrać ani jednej składnej myśli. Kręciło mi się w głowie, zalewały mnie wielkie, zielonkawe fale mdłości. Moje samopoczucie absorbowowało wszystkie moje myśli, odsuwało ode mnie wszystko inne. Zapadałem co chwila w stan zbliżony do omdlenia, potem budziłem się i uświadamiałem sobie ze zgrozą beznadziejność sytuacji.

Pierwsza konkretna obserwacja: kiedy kładłem się spać, miałem na sobie tylko kalesony, a teraz byłem ubrany w koszulę i spodnie, które nosiłem poprzedniego dnia. Po chwili zorientowałem się, że na nogach mam skarpetki i buty.

Następnym odkryciem, które od kilku minut dojrzywało w mojej podświadomości, był fakt, że jestem ściśnięty pasami bezpieczeństwa w poprzek klatki piersiowej i przez brzuch. Zupełnie tak samo jak w Specjale.

Pasy nie były nawet mocno zaciśnięte, ale nie mogłem ich odpiąć, bo po prostu nie sięgałem do zamków.

Mimo to próbowałem. Próbowałem na różne sposoby. Ale bez rezultatu.

Potem zacząłem kombinować, jak uwolnić się od kajdanków, ale też bez powodzenia. Były to kajdanki używane przez policję brytyjską, i tak skonstruowane, że o tym, żeby wysunąć ręce, nie mogło być mowy.

Próbowałem złamać kierownicę, ale chociaż wyglądała na słabszą niż kierownica Specjału, i z tego nic nie wyszło.

Miałem nieco większą swobodę poruszania się niż wtedy. To pasy były luźniejsze, było też trochę więcej miejsca na nogi. Mała pociecha.

Po chwili zacząłem się zastanawiać, jaka jest szansa na to, że zostanę przypadkowo znaleziony.

Gdy Evan i Konrad zorientują się, że zniknąłem, zapewne zorganizują poszukiwania. Haagner zmobilizuje wszystkich strażników parku. Niebawem na pewno ktoś się zjawi. I uwolni mnie.

Robiło się coraz cieplej. Przez prawe okienko wpadało słońce. Niebo było bezchmurne. Z tego wnioskowałem, że samochód stoi maską na północ... i aż jęknąłem na samą myśl o tym, co to znaczy. Na południowej półkuli słońce świeci w środku dnia z północy, więc niebawem będzie mi świecić prosto w twarz.

A może ktoś zjawi się jeszcze przed południem?

Może.

Po jakich dwóch godzinach poczułem się nieco lepiej, mdłości zmniejszyły się wyraźnie i tylko od czasu do czasu nawiedzały mnie lekkie skurcze żołądka. Zaczynałem - myśleć jaśniej i nie miałem już poczucia niechybnie zbliżającej się śmierci, i na dodatek całkowitej obojętności na taką ewentualność.

Pierwszym logicznym wnioskiem było, że Dan zakuł mnie w samochodzie po to, żeby mnie zgładzić, bo wtedy on odziedziczyłby wszystkie akcje Nerissy.

Nerissa zapisała mi akcje Rojeddy, a Dan dowiedział się o tym z jej testamentu.

Dan miał odziedziczyć tę część majątku Nerissy, która pozostanie po wypłaceniu wszystkich innych zapisów. Ale gdybym umarł wcześniej niż Nerissa, nie odziedziczyłbym, rzecz prosta, akcji Rojeddy. Przypadłyby w udziale głównemu spadkobiercy, czyli jemu. Jeśli ja przeżyję, Dan straci nie tylko udział w kopalni, ale jeszcze kilkaset tysięcy funtów.

Według obowiązującego obecnie prawa, cały podatek spadkowy oblicza się od tej sumy, która pozostaje po wypłaceniu wszystkich zapisów pobocznych, czyli w tym wypadku od sumy, jaką odziedziczyłby Dan.

Gdyby tylko Nerissa w porę wtajemniczyła mnie w swoje zamiary, rozmyślałem zupełnie bezcelowo, może udałoby mi się wytłumaczyć jej, dlaczego nie powinna tego robić. Może nie zdawała sobie sprawy z tego, jak - kolosalną wartość mają akcje Rojeddy, bo przecież dopiero niedawno sama odziedziczyła je po siostrze. Może nie wiedziała, jak się oblicza podatek spadkowy. Trudno było wyobrazić sobie, że mając tyle sympatii do bratanka, tak sformułowała testament, że bogaciłem się jego kosztem.

Gdyby naradziła się z pierwszym lepszym księgowym, na pewno postąpiłaby inaczej, ale testament spisuje się z adwokatem, a adwokaci angielscy z reguły nie udzielają finansowych rad...

Dan, świetny matematyk, zorientował się w sytuacji już w czasie czytania testamentu Nerissy. Ja też bym się zorientował, ale go przecież nigdy nie widziałem. Byłem teraz przekonany, że Dan natychmiast zaczął się zastanawiać, jak usunąć mnie z drogi.

A wystarczyłoby, żeby mi powiedział o testamencie Nerissy. Ale skąd mógł o tym wiedzieć? Po prostu wyobraził sobie, jak ja postąpiłbym, gdyby było odwrotnie, i działał według tej recepty. Był pewien, że każdy człowiek - a więc również i ja - zrobiłby tak jak on.

Nerissa, kochana, droga Nerissa. Chciała, żeby wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni, każdemu pragnęła coś pozostawić i w rezultacie wpakowała mnie w tak okropną kabałę.

Dan - hazardzista. Dan, słoneczny chłopiec, który dobrze wiedział, że choroba Hodgkina jest nieuleczalna. Dan, mały kombinator, który zaczął od zabiegów obniżających wartość koni wyścigowych po to, żeby później nie trzeba było płacić od nich dużego podatku

spadkowego, a potem, zorientowawszy się, że chodzi o znacznie wyższą stawkę, nie zawahał się przed popełnieniem zbrodni.

Przypomniałem sobie jego wielkie zainteresowanie kopalnią, liczne i wnikliwe pytania dotyczące jej eksploatacji i tę partię tenisa z Sally. Widać polował na całość, a nie tylko na połowę. Odziedziczyć jedną połowę, wżenić się w drugą. Że dziewczyna ma dopiero piętnaście lat, żadna przeszkoda. Za dwa lata będzie bardzo odpowiednią żoną dla współnika ojca. Dan...

Ogarnięty nagłym porywem złości zacząłem się szarpać, mocować z pasami, napierać na kierownicę. Co za okrucieństwo! To przecież nie do uwierzenia! Jak mógł... jak mógł jeden człowiek zamknąć drugiego człowieka w samochodzie, skazując go na powolną śmierć z gorąca, głodu i pragnienia? Takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w filmach... w jednym filmie... w filmie pod tytułem „Człowiek w samochodzie”.

Nie wolno wychodzić z samochodów, powiedział Haagner. To niebezpieczne. Co za kpiny! Gdybym mógł się tylko wydostać z tego pudła, chętnie bym zaryzykował spotkanie z lwami.

Boże, jak ja wrzeszczałem, jak jęczałem, kiedyśmy kręcili tę scenę. Przypominałem sobie teraz każdy moment. Wyobrażałem sobie wtedy, co przeżywałbym w takiej sytuacji, a potem odgrywałem to do kamery. Grałem strach, grałem udrękę umierającego człowieka. W iluż to filmach próbowałem odtworzyć takie uczucia! Jakże dokładnie je analizowałem, jakże często rejestrowałem na taśmie! Miałem za sobą całą serię filmów, w których portretowałem mężczyzn tak dręczonych, że nawet uratowani przed śmiercią, nieuchronnie wpadali w obłąd.

Człowiek w Specjale był postacią wymyśloną przez scenarzystę. Reagował na każdą sytuację bardzo doraźnie i impulsywnie i dlatego płakał, wrzeszczał, jęczał, lamentował. Ale ja miałem inne odruchy, zupełnie inaczej przyjmowałem przeciwności losu. Teraz analizowałem moją sytuację w sposób możliwie logiczny i chciałem, żeby tak było do samego końca. Na pewno ktoś, prędzej czy później, mnie znajdzie. Muszę więc za wszelką cenę być wtedy żywy i przy zdrowych zmysłach.

*

Słońce grzało coraz silniej, we wnętrzu samochodu robiło się coraz goręcej, ale był to drobiazg w porównaniu z inną torturą. Mój pęcherz napełnił się, odczuwałem nieprzeparłą potrzebę oddania moczu.

Z wielkim wysiłkiem sięgnąłem skutymi rękami do rozporka i otworzyłem zamek błyskawiczny. Ale nie mogłem przesunąć się wystarczająco do przodu, a gdyby mi się nawet udało otworzyć łokciem drzwi, i tak nalałbym częściowo na podłogę wozu. Chociaż nie miało

to żadnego sensu, odkładałem ten nieuchronny moment jak najdłużej, aż poczułem ostry ból. W końcu trzeba było dać za wygraną i chociaż część moczu rozlała się na podłogę, reszta spłynęła do moich spodni.

Siedziałem więc teraz w kałuży i trzęsłem się ze złości. Nie wiem dlaczego, ale uznałem, że zmuszenie mnie do zlania się i to w pozycji siedzącej, było większą niegodziwością niż nałożenie mi kajdanków. Kiedy robiliśmy film, zastanawialiśmy się nad problemem moczu, ale doszliśmy do wniosku, że jest on nieistotny w porównaniu z męką psychiczną człowieka skazanego na powolną śmierć. Byliśmy w błędzie. To była lwia część tej udręki.

Wściekłość zahartowała mnie i powiedziałem sobie stanowczo, że ścierpię wszystko, byle nie ponieść porażki. Zacząłem snuć marzenia o zemście.. Nienawidziłem Dana z całej duszy!

Czas włókł się w nieskończoność. Temperatura w samochodzie stała się nie do zniesienia. Wiedziałem, że długo tego nie wytrzymam. Co było robić? A przecież w tej samej sytuacji przeżyłem w Hiszpanii bite trzy tygodnie. Jeśli chodzi o ścisłość, to tam było nawet goręcej. To, że robiliśmy sobie długą przerwę w ciągu dnia, nie miało w końcu tak wielkiego znaczenia.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że zbliża się godzina południowego posiłku. No cóż... może niedługo ktoś się zjawi.

Tylko, jak, zastanawiałem się, i którądy? Przede mną nie było żadnej drogi, zaledwie kilka karłowatych drzew, sucha trawa i brunatne poszycie. Na prawo i lewo ode mnie to samo. Ale przecież przywieziono mnie tu. Ostatecznie to nie orzeł zrzucił mnie wraz z samochodem w środek dżungli. Przechyliłem głowę, jak mogłem najdalej i w lusterku samochodowym zobaczyłem z tyłu coś w rodzaju piaszczystej drogi. Była zupełnie zarośnięta i kończyła się w odległości jakich dwudziestu metrów od miejsca, w którym się znajdowałem. Mój samochód został dowieziony do jej końca, a potem wepchnięty w busz.

Za niespełna miesiąc zacznie się pora deszczowa. Drzewa, krzewy i trawa zazielenia się, a droga zamieni się w gliniaste koryto. Nikt już wtedy me znajdzie tu samochodu.

Jeżeli... jeżeli do nadejścia pory deszczowej będę tu tkwił.

Potrząsnąłem gwałtownie głową. Jesteś na prostej drodze do szaleństwa, podobnie jak ów człowiek w samochodzie, którego tak niedawno grałeś. A przecież postanowiłeś, że zachowasz przytomność umysłu!

Tak, tak.

A może wysłą na poszukiwanie helikopter...

Samochód jest szary. Ale z góry na pewno go zobaczą. Przypomniałem sobie, że tuż koło Skukuzy znajdowało się małe lotnisko. Było zaznaczone na mapie. Evan na pewno wynajmie helikopter...

No, ale gdzie mnie będą szukali? Gdzie? Samochód stał maską na północ na końcu ślepego duktu. A rezerwat był ogromny i dziki.

Krzyczeć? Może ktoś mnie usłyszy? Ależ skąd! Pomyślałem o małych hałaśliwych samochodach z szczelnie zamkniętymi oknami, w których turyści zwiedzają rezerwat poruszając się tylko po asfaltowych drogach.

Uruchomić sygnał!?!... Wykluczone. W moim samochodzie działa dopiero, kiedy motor jest włączony.

*

Pora obiadu nadeszła i minęła. Nie odmówiłbym, gdyby zaofiarowano mi kufel dobrego, zimnego piwa.

Nagle usłyszałem za plecami trzask łamanych gałęzi. Ktoś nadszedł! Odwróciłem głowę... A więc ziściły się moje nadzieje!

Ale nie odezwał się żaden ludzki głos. Żaden wybawiciel nie wrzasnął radośnie na mój widok. Albowiem nie był to, niestety, człowiek, ale żyrafa.

Niesamowitej wysokości zwierzę koloru kawy z mlekiem wysunęło się z zarośli i nie zwracając najmniejszej uwagi na samochód, zaczęło podskubywać resztki suchych liści rosnącego tuż przede mną drzewa. Żyrafa stała tak blisko, że zasłaniała mi słońce i przez dłuższą chwilę siedziałem w oazie rozkosznego cienia. Od czasu do czasu pochylała piękną smukłą szyję i wielkimi wilgotnymi oczami, ocienionymi niezwykle gęstymi i długimi rzęsami, wpatrywała się w przednią szybę. Pomyślałem sobie, że niejedna zalotna dziewczyna pozazdrościłaby jej tych niezwykłych rzęs.

Nie mogłem się powstrzymać od przemówienia do niej.

- Słuchaj, stara, poleć no do Skukuzy i pogadaj z naszym przyjacielem Haagnerem. Niech tu podjedzie swoim wozem i wybawi mnie z tej kabały.

Przestraszył mnie dźwięk własnego głosu. Brzmiał w nim nieskrywany strach. Może i miałem nadzieję, że Evan, Konrad, Haagner, czy po prostu przypadkowy turysta, wkrótce mnie odnajdą, ale w gruncie rzeczy nie liczyłem na to. Podświadomie - zapewne przez to, że grałem już tę rolę w filmie - przygotowany byłem na długie czekanie.

Ale chyba w końcu zostaną uratowani, jakiś wieśniak przejedzie tędy na ośle, zobaczy samochód i uwięzionego w nim człowieka. Tak kończył się film i tak będzie w rzeczywistości.

Bo przecież moi towarzysze na pewno zaczną mnie w końcu szukać.

Nie zjawię się na premierze, Wenkins zaniepokoi się, przestraszy i wyśle ekspedycję ratowniczą.

Premiera ma się odbyć w środę.

O ile mnie pamięć nie myli, to dzisiaj jest piątek.

Człowiek może żyć bez wody sześć do siedmiu dni.

Tępo wpatrywałem się w żyrafę. Zatrzepotała tymi swoimi fantastycznymi rżęsami, pokiwała głową, jak gdyby zasmucona, i oddaliła się eleganckim krokiem.

Środa będzie moim szóstym dniem bez wody. Do czwartku nie ma co liczyć na pomoc.

Może nawet do piątku albo soboty. I to też tylko, jeżeli będą prawidłowo rozumowali.

Ale chyba nic z tego nie wyjdzie.

Na pewno się uda.

*

Kiedy żyrafa odeszła, a wraz z nią jej cień, przekonałem się, jak silnie praży teraz słońce. Muszę znaleźć na to radę, postanowiłem, bo inaczej okropnie się wysuszę.

Najbardziej narażone były moje ręce. Przednia szyba samochodu była - jak to w krajach tropikalnych - przyciemniona od góry, więc kiedy odchylałem głowę w tył, twarz miałem poza zasięgiem słonecznych promieni, które padały jednakże całą siłą na mój brzuch i uda. Odpiąłem mankiety, wsunąłem ręce w rękawy jak w mufkę i w ten sposób trochę sobie ulżyłem.

Następnie zacząłem się zastanawiać, czy zdjęć buty, skarpetki, otworzyć okno i wpuścić do środka nieco świeżego powietrza. Bez większego trudu podnosiłem po kolei nogi do poziomu rąk i zapewne potrafiłbym w końcu ściągnąć skarpetki. Palcami prawej stopy zdołałbym też zapewne otworzyć lewo okno.

Ale nie byłem pewny, czy to by miało sens. Powstrzymywał mnie nie strach przed zwierzętami, ale przed utratą wilgoci.

Wiedziałem, że mój jedyny zapas płynu znajduje się w moim własnym organizmie. Każdy ruch, każdy oddech uszczuplał go, życiowy płyn ulatniał się ze mnie i skraplał, zamieniając się w niewidzialną zawiesinę w otaczającym mnie powietrzu. Dopóki okna samochodu są szczelnie zamknięte, para wodna zostaje niemal bez reszty wewnątrz wozu. Z chwilą kiedy je otworzę, stracę ją natychmiast.

Na zewnątrz powietrze było suche jak proch. Nie miałem żadnego sposobu na to, żeby zapobiec parowaniu własnej wilgoci, ale należało ją do maksimum wykorzystywać. Chciałem

jak najbardziej opóźnić chwilę, kiedy moja skóra zacznie pękać z wysuszenia. Oddychanie względnie wilgotnym powietrzem zapobiegnie, przynajmniej na pewien czas, wysuszeniu błony śluzowej nosa i krtani.

Po przemyśleniu tego wszystkiego postanowiłem nie otwierać okien samochodu.

*

Obsesyjnie wracałem do rozmyślań nad ewentualnym ratunkiem. Istna huśtawka nadziei i rozpacz. Raz byłem przekonany, że Evan i Konrad natychmiast po stwierdzeniu mojego zniknięcia rozesłali ekspedycje ratunkowe, a za chwilę wyobrażałem sobie, że po prostu uznali mnie za chama, ponieważ odjechałem bez pożegnania, i udali się na północ, przy czym Evan zafascynowany pogonią za *olifantami* na pewno już zapomniał o istnieniu niejakiego E. Lincolna.

Poza tym nikomu nie wpadnie na pewno do głowy, że mogło mi się przytrafić coś złego. W Johannesburgu wiedzą, że pojechałem na resztę tygodnia do Parku Krugera, więc ani van Hurenowie, ani Wenkins, ani Roderyk nie mają powodu do niepokoju. Nie spodziewają się telefonu ode mnie, nie liczą na to, że powrócę przed wtorkiem.

Jedyną nadzieję pokładałem w Evanie i Konradzie... no i w mitycznym wieśniaku i jego osle.

*

W pewnym momencie tego długiego dnia przyszło mi na myśl, żeby zobaczyć, co znajduje się w kieszeniach moich spodni. Przy rozbieraniu nie wyjąłem z nich niczego. Po prostu rzuciłem spodnie na drugie łóżko.

W tylnej kieszeni wyczułem portfel, ale pieniądze nie miały w tej chwili żadnego znaczenia.

Wiercąc się i kręcąc zdołałem po pewnym czasie przesunąć prawą boczną kieszeń do przodu. Wyciągnąłem z niej firmowe zapalki hotelu Iguana Rock, niebieską gumkę i szczątek nie zatemperowanego ołówka.

Włożyłem wszystkie te przedmioty z powrotem do prawej kieszeni i zbadałem zawartość lewej.

Znalazłem w niej dwie rzeczy. Chustkę do nosa... i zwinięty woreczek z folii po sandwichach Evana.

„Nie wolno wyrzucać przez okno woreczka plastikowego - powiedział wtedy Haagner. - To może zabić jakieś zwierzę”.

I uratować życie człowieka.

*

Cudowny, cudowny woreczek z folii.

Radzę każdemu, kto wybiera się na wycieczkę przez pustynię, żeby zabrał ze sobą przynajmniej jeden.

Nauczono mnie, jak zdobyć w tropikalnym upale łyżkę stołową wody raz na dwadzieścia cztery godziny, ale niestety nie w szczelnie zamkniętym samochodzie. Trzeba w tym celu wykopać dołek w ziemi. A poza tym niezbędny jest kamień, kawałek folii i jakieś naczynie.

Kondensacja.

Przede wszystkim dołek w ziemi. Wykopuje się go w samo południe, głęboki na jakieś 40 centymetrów. Do dołka wkłada się kubek, miseczkę, czy jakiegokolwiek inne naczynie. Następnie nakrywa się dołek szczelnie folią i zabezpiecza przy pomocy kamieni czy piasku. Wreszcie kładzie się na środek folii niewielki kamyk albo garść bilonu.

A potem można już tylko czekać.

Z nadejściem chłodu nocy wilgoć z gorącego powietrza w szczelnie nakrytym dołku zaczyna się skraplać, a na powierzchni nieprzemakalnej folii osiadają niewielkie kropelki wody i powoli spływają do umieszczonego na dnie naczynia.

Jak dobrze pójdzie, to nad ranem ma się jedną łyżkę wody.

*

Nie jest to dużo.

Przesunąłem się do przodu na tyle, na ile pozwalały mi pasy i podciągnąłem jedną rękę do ust. Okazało się, że w tej pozycji mogę dmuchać do woreczka. -

Przez dobre pół godziny wdychałem nosem i wydychałem przez usta wprost do woreczka. Kilkaset malutkich kropelek rosy zebrało się na jego wewnętrznej powierzchni... para wodna z moich płuc szła teraz do woreczka, a nie była bezmyślnie trwoniona.

Odwrociłem woreczek na lewą stronę i starannie go wylizałem. Cudowna wilgoć. Potem przyłożyłem tę chłodną, jeszcze lekko wilgotną folię do policzka i wtedy po raz pierwszy ogarnęła mnie rozpacz. Może dlatego, że uświadomiłem sobie znikomość mojego osiągnięcia.

*

Wyciągnąłem z kieszeni niebieską gumkę, zebrałem brzegi wypełnionego rozgrzanym powietrzem woreczka, skręciłem je, ściągnąłem gumką i powiesiłem na kierownicy. Huśtał się na niej jak balonik jakiegoś durnego dziecka, a dotknięty, kołysał się przez pewien czas trochę szybciej.

*

Przez cały dzień dręczyło mnie pragnienie, ale jakoś to wytrzymałem.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zaburczało mi w żołądku. Z głodu, oczywiście. Ale i to było jeszcze do wytrzymania.

Po pewnym czasie znowu pęcherz dał znać o sobie. Uporałem się z tym problemem podobnie jak poprzednio. Czas, pomyślałem sobie, rozwiąże ten problem. Jak człowiek nie pije, to i nie susia. Logiczne.

*

Kiedy zapadła noc, trzeba było zawiesić nadzieję na kołku. Dopiero za dwanaście godzin będzie można znowu zacząć konkretnie myśleć o możliwości ratunku. Straszne i bardzo długie były te nocne godziny.

Chwyciły mnie skurcze mięśni. Pamiętam, że to też wykombinowałem sobie do mojej roli w „Człowieku w samochodzie”. A teraz skurcze były prawdziwe. W miarę jak obniżała się temperatura powietrza, mięśnie sztywniały i skręcały się przy tym bardzo boleśnie.

Próbowałem je rozgrzać napinając je i puszczając, przy czym myślałem, że przy tej okazji uda mi się może złamać kierownicę, ale tylko się zmęczyłem. Potem wymyśliłem sobie całą serię biernych ćwiczeń, żeby mi mięśnie całkowicie nie zeszywniały, ale wykonałem tylko połowę.

Bo, o dziwo, mimo wszystko, zapadłem w sen. Kiedy obudziłem się, okazało się, że koszmar wciąż trwa.

Drżałem z zimna, byłem bardzo sztywny i znacznie bardziej głodny.

Do dyspozycji miałem cztery zapalki, chustkę do nosa i kawałek ołówka.

Po chwili namysłu wyciągnąłem ołówek i zacząłem go ogryzać. Nie po to, żeby coś zjeść, ale żeby obnażyć grafit. Albowiem doszedłem do wniosku, że dzięki temu ołówkowi będę mógł zdemaskować Dana.

*

Tuż przed nastaniem świtu i mnie zaświtało, że Da nie mógł mnie wmanewrować w tę sytuację bez pomocy osób trzecich. Pewnie osobiście założył mi kajdanki i sami zatrzasnął drzwiczki samochodu, ale ktoś musiał go prze-: cież stąd wywieźć. Nie odważyłby się chyba przejść piechotą przez rezerwat, a to nie tylko z obawy przed dzikimi zwierzętami, ale chociażby dlatego, że pieszy turysta musiałby zwrócić na siebie uwagę.

A więc miał pomocnika.

Ale kogo?

*

Arknold...

Arknold wiedział o machinacjach Dana i słowa nie pisał, bo wykrycie afery rzucało na niego złe światło i groziło mu, w najlepszym wypadku, utratą licencji. Ale czy to skłoniłoby go do zamordowania człowieka?

Nie. Na pewno nie.

Barty? Dla pieniędzy?

Tego nie mogłem wykluczyć.

*

Któreś z van Hurenów? Ale po co?

To nonsens.

*

Roderyk. Dla zdobycia ekskluzywnej sensacji dziennikarskiej? Katia? Melania?

To czysta bzdura.

*

Clifford Wenkins? W celach reklamowych?

Jeżeli to on, w takim razie nic poważnego mi nie grozi, bo zjawi się, żeby mnie uratować. Nie zdobyłby się przecież na to, żeby mnie zamordować. Firma Worldic nie wybaczyłaby mu zniszczenia towaru, którym handlowała. Jakże chciałem wierzyć, że to tylko trick Wenkinsa, ale mi się to nie udawało.

*

Evan? Konrad?

Nawet myśleć o tym nie chciałem.

Byli na miejscu. Spali w sąsiednich domkach. Mogli bez trudu wejść do mnie i oszołomić mnie eterem.

Obydwaj albo jeden z nich, podczas gdy drugi spał. Ale jeżeli tak, to który? I po co?

*

Jeżeli sprawcą jest Evan albo Konrad, to na pewno zginę, bo na dobrą sprawę tylko oni mogą mnie uratować.

Kiedy zrobił się dzień, okazało się, że moje rozumowanie, dotyczące wilgotności powietrza, jest słuszne. Za oknami stała gęsta mgła. Wszystkie okna samochodu także były zamglone i pokryte kroplami rosy.

Polizałem lewą szybę. Pycha. Co za rozkosz dla mojego wysuszonego języka i chropowatej krtani. Nie znaczy to jednak, że przestałem marzyć o butelce jasnego piwa.

Wyrzależem na zewnątrz przez wylizaną szybę. Nic się nie zmieniło. Ta sama dżungla. To samo pustkowie.

W chłodnym teraz woreczku foliowym rzeczywiście zebrało się z pół łyżki wody. Otworzyłem go starannie i wypuściłem zeń powietrze, które w miarę narastania upału znowu by się rozszerzyło i wchłonęło cenny płyn. Wypiję ją później, postanowiłem. Jak będzie znacznie gorzej.

*

Ponieważ okna pokryte były warstewką wilgoci, mogłem bez ryzyka wywietrzyć wnętrze wozu. Zdjąłem więc skarpetki, palcami stóp przekręciłem korbkę i uchyliłem lewe okno na szerokość trzech centymetrów. Kiedy słońce weszło, zakręciłem je czym prędzej i bez problemów. W miarę jak narastał upał, szyby stawały się coraz bardziej przezroczyste, bo rozgrzewające się powietrze wchłaniało wilgoć. Nie martwiłem się jednak zbyt, gdyż wiedziałem już z całą pewnością, że pewna ilość wilgoci uwięziona jest we wnętrzu samochodu i że będzie ją można znowu zebrać.

*

Wziąłem się na powrót do ogryzania ołówka (który w nocy wsunąłem za pasek od zegarka) i po chwili obnażyłem wystarczający do pisania kawałek grafitu.

W schowku pod przednią szybą znajdowały się mapy, przewodniki i dokumenty wozu. Po dłuższych wysiłkach udało mi się do nich dotrzeć, chociaż musiałem dokonać cudów zręczności palcami stóp i zużyć dużą część mojej cennej energii życiowej. Ale w końcu wydstąpiłem dość dużą gładką kopertę i atlas drogowy z pięknymi szerokimi marginesami.

A było co pisać.

Rozdział piętnasty

Dan zaproponował Nerissie, żeby posłała mnie do Afryki, ponieważ wykombinował sobie, że tam będzie mu łatwiej zabić mnie w ten sposób, żeby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Zwabił mnie na miejsce kaźni prośbą umierającej kobiety o ostatnią przysługę.

Musiałem wymyślić dla mnie taką śmierć, która wykluczałaby podejrzenie o morderstwo, bo on byłby z natury rzeczy jednym z pierwszych podejrzanych. Ale wypadek, to zupełnie co innego. Na przykład zepsuty mikrofon.

Dan nie był obecny na mojej konferencji prasowej.

Byli tam Roderyk, Clifford, Wenkins i Konrad. I dobre pięćdziesiąt osób. Nawet jeżeli Dan dostarczył mikrofon, to kto inny włożył mi go do ręki. Katia odebrała mi go przez czysty przypadek.

A zamach w kopalni?

Przecież gdyby nie czujność niejakiego Njembezi, nie byłoby już po mnie śladu.

Ale to, co się teraz działo, nie mogło być przypadkowe. Najlepszym tego dowodem były kajdanki. Być może, że Dan zamierzał jeszcze powrócić i zdjąć je z moich rąk. Po mojej śmierci, oczywiście. - Może wtedy uznano by, że zablądziłem jadąc po rezerwacie samochodem, a bałem się go opuścić?

Jednakże i w tym było dla niego pewne ryzyko. Ktoś mógłby natrafić na mnie przypadkowo, zanim Dan powróciłby na miejsce zbrodni.

Ogarnięty skrajną frustracją, wzdychałem raz po raz.

Nic nie trzymało się kupy.

*

W porównaniu z pierwszym, drugi dzień był istnym piekłem. Stokrotnie gorszy od wszystkiego, co przeżyłem w Hiszpanii. Słońce parzyło tak niemiłosiernie, że sam proces myślenia stał się torturą, a skurcze bez chwili przerwy skręcały mi mięśnie ramion, brzucha i pleców.

Z rękami wsuniętymi w mankiety koszuli, głową opartą o tylne siedzenie, żeby uchronić twarz przed piekącymi promieniami słońca, siedziałem i męczyłem się jak potępieniec.

Mizerne były wyniki moich wysiłków zdobywania wody. Słońce suszyło mnie niemiłosiernie, czułem, że się kurczę, zrozumiałem, że nie ma mowy o tym, abym przeżył tak tydzień. Mogłem wytrwać najwyżej jeszcze dzień albo dwa.

Moja krtań była jedną bolesną raną, a ślina nikłym wspomnieniem z odległej przeszłości.

W chłodnicy znajdowały się przeszło cztery litry wody. Ale dostanie się do niej było niemożliwe.

Kiedy już prawie zupełnie nie mogłem przełykać, a każdy oddech był jak ukłucie noża, postanowiłem wypić zapas wody. Wlałem ją sobie do ust i trzymałem przez dłuższą chwilę tak, żeby nią możliwie najdłużej cieszyć język, podniebienie, dziąsła i zęby. Kiedy wreszcie przełknąłem tę znikomą odrobinę płynu, ogarnął mnie przeraźliwy smutek. Bo pozostało mi już tylko czekanie na noc.

Przewróciłem woreczek na lewą stronę i ssałem go jak dziecko, a kiedy nie było na nim ani śladu wilgoci, napełniłem go znowu gorącym powietrzem z własnych płuc, drżącymi rękami założyłem gumkę i powiesiłem go na kierownicy.

*

Nagle przypomniało mi się, że w bagażniku znajdują się jeszcze różne części ekwipunku Evana. Może więc nie ze względu na mnie, ale na te rzeczy zacznij mnie szukać.

Evan, na litość boską, rusz się!

Ale Evan na pewno pojechał na północ ku szerokiej, szarozielonej mulistej rzece Limpopo w pogoni za swoimi *olifantami*.

A ja... ja zakuty siedziałem w rozżarzonej samochodzie i powoli zdychałem z powodu kopalni złota, na którą nie miałem najmniejszej ochoty.

*

Znowu nadeszła noc, a z nią głód.

Znam ludzi, którzy płacą ciężką forszę za to, żeby stracić kilka kilo w specjalnych zakładach leczniczych. Są tacy, którzy urządzają głodówki, żeby zaprotestować przeciwko takiej czy innej niesprawiedliwości. Jednym słowem, głód nie jest wcale rzadkością i można go znieść.

Można go znieść. Jak ból.

Noc była chłodna, wspaniała. Kiedy zrobiło się jasno, wylizałem starannie szybę okienną i zabrałem się znowu do pisania. Spisałem wszystkie najdrobniejsze szczegóły, które mogłyby się przydać przy dochodzeniu po mojej śmierci.

Zanim skończyłem, zrobiło się znów nieznośnie gorąco, więc na koniec napisałem Kit, kocham was bardzo i podpisałem się imieniem i nazwiskiem, bo przypuszczałem, że wieczorem będę już tak słaby, że nie zdołam ruszyć ręką. Następnie wsunąłem te zapiski pod lewy pośladek, żeby nie spadły na podłogę, wsadziłem ogryzek ołówka pod pasek od zegarka, wypuściłem powietrze z woreczka foliowego, żeby zabezpieczyć sobie porcyjkę wody i oddałem się rozmyślaniom nad tym, ile jeszcze życia mi pozostało.

*

W południe odechciało mi się żyć.

Trzymałem się jako tako od momentu, w którym zdecydowałem się na wypicie tych kilku kropel wody. Osuszyłem woreczek o policzki i potem dałem właściwie za wygraną. Nadmuchiwanie go ponowne, zawiązanie i powieszenie na kierownicy - wszystko to przychodziło mi z trudem i trwało niezmiernie długo. Do jutra, myślałem, do jutra znowu nabiera się naparstek wody, ale ja go już nie wypiję.

*

Jakże mało wiedzieliśmy o umieraniu, kiedy robiliśmy nasz film. Koncentrowaliśmy się niemal całkowicie na psychicznym stanie umierającego, a nie na fizycznych objawach. Nie wiedzieliśmy, że nogi stają się ciężkie jak ołów, a kostki puchną jak wielkie purchawki. Łatwiej byłoby mi pofrunąć, niż nałożyć z powrotem skarpetki i buty.

Nie wiedzieliśmy, że brzuch wzdyma się jak balon, że pasy ochronne wrzynają się w zbolałą skórę jak noże, że oczy niemiłosiernie pieką, bo gruczoły łzowe w pewnym momencie przestają funkcjonować. Nie mieliśmy pojęcia, jak straszne są skutki wysuszenia krtani.

Koszmarne temperatura działała na mnie coraz bardziej ogłupiająco. Czułem już jedynie i wyłącznie wszechogarniający mnie ból i miałem całkowitą pewność, że to się nigdy nie skończy.

Chyba w momencie śmierci.

*

Późnym popołudniem przyszedł słoń i przewrócił drzewo, którego liście obskubywała żyrafa poprzedniego dnia.

Piękna, alegoryczna scena dla Evana, pomyślałem. Słoń w roli niszczyciela dżungli.

Ale Evan był daleko.

Ewanie, Ewanie, przyjdźże do licha i wyciągnij mnie stąd!

Słoń posilił się, a potem odszedł, pozostawiając obalone drzewo, które leżało, wołając korzeniami o pomstę do nieba i także umierało z braku wody.

*

Zanim ściemniło się zupełnie, dopisałem jeszcze kilka zdań do mojego elaboratu. Ręce mi drżały, silny skurcz raz po raz skręcał palce i na koniec ołówek spadł i potoczył się pod siedzenie. Nie potrafiłem go podnieść spuchniętymi palcami nóg.

Chciałem płakać, ale to byłoby marnotrawstwem płynu.

Znowu zapadła noc i straciłem poczucie czasu.

Zapomniałem, od kiedy tu jestem i ile dni pozostało do środy. Środa była równie daleka jak Kit i równie nieosiągalna. Miałem halucynacje. Widziałem nasz basen, w ogrodzie i pluskające się w nim dzieciaki. Wizja ta była znacznie bardziej realna niż sytuacja, w której się znajdowałem.

*

Ogarnęły mnie silne dreszcze i wstrząsały mną całymi godzinami.

Noc była chłodna. Mięśnie sztywniały. Zęby szczękały. Głód skręcał kiszki.

Nad ranem rosa skropliła się i popłynęła strużkami po szybach. Przesuwałem językiem po niewielkiej powierzchni lewej szyby. Byłem słaby jak dziecko. Lizałem powoli, niemrawo. Ulżyłem sobie bardzo niewiele;

Nie starczało mi już sił na uchYLENIE okna i wpuszczenie nieco świeżego powietrza, ale wiedziałem, że żaden samochód nie jest całkiem szczelny, więc jeżeli umrę, to nie z braku tlenu.

*

Nieuniknione słońce weszło w niewinnej, różowej aurze - łagodne preludium okrutnego dnia.

Nie wierzyłem już, że zostanę uratowany.

Marzyłem o utracie przytomności, bo wiedziałem, że tylko to przyniesie mi upragniony spokój. Nawet delirium sprawi mi ulgę, bo męką jest właśnie orientowanie się w sytuacji, nadzieja, oczekiwanie. Jakże pragnąłem momentu, w którym wyłączy się rozum, a świadomość zniknie. Dla mnie to będzie momentem śmierci. Jedynym, który się liczy. A serce niech sobie stanie, kiedy zechce.

*

Wielkie fale gorąca waliły w samochód jak taran.

Płonąłem.

Płonąłem.

Rozdział szesnasty

A jednak w końcu przybyli.

W samo południe. Evan i Konrad w furgonetce. Evan, jak zwykle, pełen energii, wymachujący rękami, z oczami płonącymi blaskiem. Konrad, lekko zdyszany, ocierał pot z czoła dużą chustką.

Po prostu podeszli do mojego samochodu, otworzyli drzwiczki i zamarli z wrażenia. Wziąłem ich za zjawy; byłem przekonany, że zaczęło się delirium i czekałem, kiedy znikną.

Pierwszy odezwał się Evan.

- Gdzieś był, u licha? Od wczoraj rana szukamy cię po tym przeklętym rezerwacie.

Nie odpowiadałem. Po prostu nie mogłem. Konrad zaś powtarzał:

- Mój Boże, mój ty Boże... drogi chłopcze... mój Boże - zupełnie jak pęknięta płyta.

Evan powrócił do furgonetki, podjechał bliżej i wytaszczył czerwoną skrzynkę.

- Napijesz się piwa? - zapytał. - Bo nie przywieźliśmy wody.

Napiję się piwa.

Nalał je z puszki do tekturowego kubka i przyłożył go do moich ust. Było zimne, zupełnie niewiarogodnie wspaniałe. Wypiłem tylko połowę, bo każdy łyk przychodził mi z trudem.

Konrad otworzył prawe drzwiczki i wsunął się na przednie siedzenie.

- Nie mamy kluczyka od kajdanków - powiedział żalonym tonem.

Zachciało mi się śmiać. Po raz pierwszy od długiego czasu.

- Faj! - krzyknął Evan. - Ależ ty śmierdzisz! Zorientowali się, że nie mogę wydobyć z siebie głosu.

Evan dolał mi piwa do kubka, a Konrad wysiadł i zaczął szperać w bagażniku. Powrócił z czterema kawałkami mocnego drutu i rolką taśmy izolacyjnej.

Wsunął końcówki drutów do zamka kajdanków, okręcił je taśmą i zaczął nimi obracać. Zaimprovizowany wytrych spisał się pierwszorzędnie. Konrad kłął, pocił się, ale w końcu udało mu się przekręcić zębate kółko i uwolnić moją prawą rękę.

Lewa była w końcu mniej ważna. Mogła sobie poczekać.

Następnie odpięli mi pasy i zabrali się do wyciągania mnie z wozu. Nie było to łatwe. Ponieważ siedziałem w tej samej pozycji przez przeszło osiemdziesiąt godzin, ciało moje zastygło, zupełnie jak wlane do formy.

- Może jeden z nas powinien pojechać po lekarza - zastanawiał się Evan.

Potrząsnąłem energicznie głową. Miałem im coś pilnego do powiedzenia i to zanim zjawią się osoby postronne. Drżącą ręką wyciągnąłem spod poślądka moje zapiski i na migi zażądałem pióra. Konrad podał mi swojego złotego Parkera. Wypisałem na czystym brzegu koperty następujące słowa: *Jeżeli nie zawiadomicie nikogo, żeście mnie znaleźli, będziemy mogli złapać faceta, który mnie tak urządził.* A po chwili namysłu dodałem: *To bardzo ważne.*

Stojąc obok siebie czytali moje bazgroty i dosłownie drapali się w głowę.

Dopisałem: *Zasłońcie czymś przednią szybę.*

To zrozumieli w lot. Konrad wziął kawał brezentu i zasłonił nim cały przód samochodu. Temperatura w środku obniżyła się wkrótce o dobre dziesięć stopni.

Evan spostrzegł mój woreczek z folii i zdjął go z kierownicy.

- A co to takiego? - zapytał.

Wskazałem na zawartą tam odrobinę wody. Evan zrozumiał i na twarzy jego odmalowało się niekłamane przerażenie.

Wyjął mi z ręki zapiski i zabrał się do ich czytania. Wypiłem jeszcze trochę piwa. Ręka, którą trzymałem kubek, wciąż jeszcze drżała, ale czułem, jak życie wraca we mnie wszystkimi porami i wolniutko, łyk po łyku zwilżałem zboląłą krtani.

Evan skończył czytanie i podał moje zapiski Konradowi. Patrzył na mnie w milczeniu, co było u niego dość niezwykle. Po dobrej chwili odezwał się wreszcie:

- Czy ty naprawdę myślałeś, że Konrad i ja maczaliśmy w tym palce?

Potrząsnąłem głową.

- Clifforda Wenkinsa też możesz skreślić. Wyłowili go z jeziora Wemmer Pan w sobotę po południu. Wynajął sobie łódkę, no i utopił się.

Wiadomość ta dopiero po chwili dotarła do mojej świadomości. O Boże - pomyślałem - więc już nie zobaczę tej nieszczęsnej figury... tego zapoconego... jękającego się, wiecznie zastraszonego człowieka...Chwyciłem złote pióro Konrada i dałem im do zrozumienia, że muszę jeszcze coś napisać.

Chciałbym się położyć. Może w furgonetce?

Konrad od razu zabrał się do spełnienia mojej prośby. Odsunął na bok cały ekwipunek, wyjął tylne siedzenia z obydwu samochodów, położył je na dno furgonetki i nakrył swetrami i płaszczami. W ten sposób powstało znakomite posłanie.

- Hotel Ritz, do usług - oświadczył. Próbowałem się uśmiechnąć i spojrzałem w lusterko. Wyglądałem strasznie. Miałem czterodniowy zarost, czerwone, zapadnięte oczy, a cerę trupioszarą w czerwone placki. Wyglądałem, innymi słowy, jak mocno opalony upiór.

Z delikatnością, o jaką bym ich nigdy nie podejrzewał, moi wybawcy pomogli - mi wydostać się z samochodu i niemal dosłownie zanieśli mnie do furgonetki. Trudno było mi się wyprostować. Miałem wrażenie, że za chwilę pękną mi kręgi, a każdy mięsień skrzypiał jak zardzewiały zawias, gdy zgięty wpół dowlokłem się do posłania. Potem leżąc już - z bólem, ale i z uczuciem nie wysłowionej ulgi zacząłem się prostować. Evan przeniósł brezent z mojego samochodu na dach furgonetki.

Zostań, Evanie - napisałem po chwili, bo bałem się, że uruchomi swój samochód, żeby sprowadzić pomoc lekarską.

Evan wahał się najwyraźniej, więc dopisałem: *Proszę cię bardzo, nie zostawiaj mnie samego.*

- Jezus Maria - jęknął po przeczytaniu tych ostatnich słów. - Nie bój się, nie zostawimy cię.

Evan był bardzo przejęty, co mnie zaskoczyło. Przecież nie lubił mnie, a podczas filmowania scen w Specjale nadokuczał mi, ile tylko mógł.

Popijałem piwo łyk po łyku. W porównaniu z tym, jak bolało mnie gardło, angina jest dziecinną igraszką, ale zbawczy płyn robił swoje i po chwili mogłem już poruszać spuchniętym językiem.

Evan i Konrad usiedli na przednim siedzeniu furgonetki i naradzali się poważnie nad tym, dokąd jechać. Skukuza, jak się okazało, była najbliższym kempingiem, ale nie mieli tam zamówionego noclegu, a do Satary, gdzie nas oczekiwano, było co najmniej dwie godziny jazdy.

W końcu postanowili jechać do Satary, co uznałem za logiczne.

- No to jazda - oświadczył Evan. - Tu jest cholernie gorąco. Zatrzymamy się po drodze w jakimś gęstym cieniu i zjemy mały lunch. Jest już po drugiej i jestem głodny.

To już bardziej przypominało tego Evana, którego znałem i nie lubiłem.

Zapamiętaj sobie dobrze to miejsce. Trzeba będzie wrócić - napisałem.

- Poślemy kogoś po twój samochód - odparł Evan niecierpliwie. - Ale później.

Potrząsnąłem głową. *Musimy tu Wrócić.*

- Po co?

Żeby złapać Dana Caveseya na gorącym uczynku. Spojrzeli na mnie ze zdumieniem.

- Ale jak? - zapytał Evan.

Napisałem im jak. Przeczytali moje bazgroły. Już w trakcie czytania zawodowa żyłka Evana zaczęła brać górę. Konrad zmarszczył brwi i widać było, że już zaczął kombinować, co i jak robić. Wiedziałem, że to, co im proponuję, jest bardzo w ich stylu. Ale niemal równocześnie w umysłach ich powstały identyczne wątpliwości. Spojrzeli na mnie.

- To się chyba nie da zrobić, drogi chłopcze - odezwał się Konrad.

Potrząsnąłem głową.

- A wspólnik, który mu pomagał to wszystko zaaranżować? - zapytał Evan. - Gdzie go szukać?

Już nie żyje.

- Nie żyje? - spojrzeli na mnie ponownie, tym razem z pełnym niedowierzaniem. - Chyba nie masz na myśli Wenkinsa?

Skinąłem głową. Byłem strasznie zmęczony. Napisałem: *Powiem wam wszystko, jak będę mógł mówić.*

Zrozumieli, zamknęli drzwiczki mojego wozu, powrócili do furgonetki. Wjechaliśmy na wąską, zarośniętą ścieżynę, która przez tyle dni była dla mnie jedynie efemerycznym odbiciem lustrzanym.

Konrad prowadził, a Evan rysował mapkę terenu. Okazało się, że natrafili na mnie zupełnie przypadkowo, albowiem znajdowałem się na końcu od lat nie używanego traktu, prowadzącego do wodopoju, od dawna wyschniętego. Trakt ten w pewnym miejscu łączył się z innym, a ten z kolei prowadził do jednej z asfaltowych dróg. Evan oświadczył, że na pewno trafi z powrotem do mojego samochodu. Dodał, że przez cały wczorajszy dzień przeszukiwali wszystkie boczne drogi pomiędzy Skukuzą a Numbi. Dzisiaj zabrali się do eksplorowania wysuszonego dorzecza rzeki Sabie. Znaleźli mnie na piątym z kolei bocznym trakcie, zaopatrzonym napisem: „Wjazd wzbroniony”.

Ujechawszy kilka kilometrów natrafiliśmy na grupę drzew, rzucających spory cień na skąpą trawę. Konrad zaparkował, a Evan wyciągnął czerwoną skrzynkę. Okazało się, że były w niej sandwicze, piwo i owoce.

Postanowiłem na razie nie jeść. Piwo wyraźnie mi służyło.

Moi dwaj przyjaciele posilali się, jak gdyby ta wyprawa była normalnym piknikiem. Wychodząc widać z założenia, że każde rozumne zwierzę o tej porze urządza sobie sjęstę, a nie rozgląda się za lekkomyślnymi śmiertelnikami, otworzyli szeroko okna furgonetki.

Nie minął nas ani jeden samochód, bo widocznie wszyscy rozumni śmiertelnicy także odpoczywali. Evan był, rzecz jasna, niewrażliwy na upał, a Konrad musiał, chcąc nie chcąc, stosować się do szefa.

Co sprawiło, że zaczęliście mnie szukać? - napisałem.

- Co chwila brakowało nam coś z tych rzeczy, które Konrad włożył do twojego samochodu. Denerwowało nas to coraz bardziej. Wreszcie wczoraj z rana zadzwoniliśmy do Iguany, żeby ci powiedzieć, że jesteś wstrętnym egoistą i że zrobiłeś nam ohydne świństwo.

- Powiedziano nam, że nie wróciłeś - przejął pałeczkę Konrad. - Że o ile wiedzą, pojechałeś do Parku Krugera i to na kilka dni.

- Nic z tego nie rozumieliśmy - przerwał mu Evan. - Bo w końcu zostawiłeś tę kartkę.

- Jaką kartkę? - chciałem krzyknąć, ale z mojej krtani nic wydobył się żaden dźwięk. Napisałem więc to pytanie.

- Twoją kartkę do nas - warknął Evan niecierpliwie. - W której piszesz, że wracasz do Johannesburga.

Nie zostawiłem żadnej kartki.

Evan przestał żuć swojego sandwicza z szynką. Wyglądało to jak zatrzymana klatka filmowa. Po chwili znowu wprowadził szczęki w ruch, przełknął i stwierdził:

- No jasne, przecież nie mogłeś tego zrobić.

- Ale daliśmy się nabrać. Było tam po prostu jedno zdanie, wypisane dużymi literami: *WRACAM DO JOHANNESBURGA. LINK.* Uznaliśmy to za chamstwo i szczyt niewdzięczności, drogi chłopcze. Żeby odjechać cichcem, o świcie, z całym niemal ekwipunkiem fotograficznym i nawet się nie pożegnać.

Przepraszam. Konrad roześmiał się.

- Próbowaliśmy się porozumieć z Wenkinsem, bo myśleliśmy, że może wie, co się z tobą dzieje, ale w jego biurze była tylko jakaś rozhisteryzowana kobieta, która powiedziała, że utopił się w jeziorze Wemmer Pan.

- Dzwoniliśmy jeszcze do kilku osób - powiedział Evan. - Między innymi do van Hurenów.

A do Dana? - napisałem.

- Nie - potrząsnął głową Evan. - Nie pomyśleliśmy o nim. Poza tym nie wiedzieliśmy nawet, gdzie go szukać. - Wziął duży kęs sandwicza. - Byliśmy na ciebie wściekli za to, że ulotniłeś się nie zawiadamiając żywej duszy dokąd, i dopiero wczoraj wpadło nam do głowy, że może zablądziłeś w rezerwacie i dlatego nie wróciłeś jeszcze do Johannesburga. Przekonaliśmy więc, za pomocą wiesz czego, recepcjonistę z Satary, żeby zadzwonił do kolegi w Numbi i zapytał, o której godzinie przejeżdżałeś w piątek rano przez tamtejszą bramę. Sprawdzili rejestr gości i odpowiedzieli, że w ogóle nie przejeżdżałeś, czyli że wcale nie wyjeżdżałeś z Numbi.

- Zadzwoniliśmy też do Haagnera, drogi chłopcze - powiedział Konrad. - Wy tłumaczyliśmy mu, co i jak, ale się nie przejął. Mówił, że kupa ludzi wjeżdża i wyjeżdża z Numbi bez żadnych dokumentów, mimo że teoretycznie każdy gość powinien przedstawić przy bramie pokwitowanie za nocleg. Pan Lincoln pewnie oświadczył strażnikom, że panowie Evan i Konrad jeszcze zostają i że zapłacą cały rachunek. Strażnicy z Numbi zadzwoniliby dla porządku do Skukuzy i na pewno przepuściliby pana Lincolna. Dodał jeszcze, że wyklucza, że zablądziłeś w rezerwacie, bo jesteś na to zbyt doświadczonym kierowcą. Tylko durniom trafiają się takie przygody. Takim, co to jadą kilometrami po zakazanych drogach. Jak takim zepsuje się samochód, to jest klops, powiedział.. I pewnie wyobraziliście sobie, że właśnie to mi się przytrafiło, pomyślałem, ale nie miałem do nich pretensji.

Otwierali puszki z piwem i popijali sandwicze wielkimi łykami. Ja sącyłem swoje powoli.

- Zapłaciliśmy za ciebie rachunek w Skukuzie, bracie - powiedział Evan z wyrzutem w głosie. - Za to stłuczone okno też.

Wystarczyło, że chwyciłem za pióro.

- Mój ty Boże! - krzyknął Evan. - To przecież Dan Cavesey wybił to okno. W ten sposób dostał się do twojego *rondavela*.

Chyba tak, pomyślałem. Miałem zamknięte drzwi. I nawet mnie nie obudził.

- Jesteś raczej cenną zgubą, drogi chłopcze - uśmiechnął się Konrad. - Więc postanowiliśmy cię poszukać.

- Natknęliśmy się na wspaniałe stado słoni - dodał, żeby mnie zapewnić, że jego samarytańskie zabiegi nie poszły zupełnie na marne. - Może i dzisiaj nam się poszczęści.

*

W Satarze pomogli mi wejść do *rondavela*. Poprosiłem ich jednak, żeby wyłączyli klimatyzację, bo teraz było mi bardzo zimno. Bałem się, że jeżeli zmarznę, to znowu chwycą mnie kurcze, a byłem wystarczająco obolały... Leżałem więc na łóżku pod trzema kocami i czułem się jak groch przy drodze.

Konrad przyniósł mi szklankę wody. Evan też krzątał się po pokoju. Wyglądali na zupełnie bezradnych.

- Wiesz co - powiedział Evan po pewnym czasie - może byśmy zdjęli z ciebie te śmierdzące ciuchy? Jesteś brudny jak świnia.

Potrząsnąłem głową.

- Może ci przynieść wody do mycia? Nie, nie.

Evan zatkał sobie nos.

- W takim razie nie miej nam za złe, że nie będziemy tutaj spali.

Potrząsnąłem głową. Wiedziałem, a teraz nawet już czułem, że śmierdę.

Konrad udał się do kampingowego sklepiku i powrócił z butelką mleka i puszką rosołu z kury. Mieli przy sobie wprawdzie tylko otwieracz do piwa, ale po krótkich zmaganiach udało im się wlać rosół do dzbanka. Nie było go na czym zagrzać, więc tylko zmieszali go pół na pół z mlekiem i nalali do szklanki. Popijałem pomalutku.

- A teraz - powiedział Evan z wyraźnym poczuciem zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku - a teraz zabierzemy się do planowania.

Z krtani mojej zaczęły się już wydobywać dźwięki przypominające mniej więcej ludzką mowę.

- Dan mieszka w hotelu Vaal Majestic - zachrypiałem.

- Coś powiedział? Dzięki Bogu, że zaczynasz odzyskiwać głos, ale nic nie zrozumiałem.

Napisałem co i jak.

- Zadzwoń do niego z rana - zaskrzeczałem, ale Evan przerwał mi.

- Lepiej pisz. Będzie szybciej.

Skinąłem głową na znak zgody. Gardło wciąż mnie bolało.

Zadzwoń do niego w porze śniadania i powiecie mu, że jesteście o mnie niespokojni, bo się gdzieś ulotniłem, a w moim samochodzie jest część ekwipunku fotograficznego Konrada. Powiedzcie mu też, że przez nieuwagę zabrałem ze sobą złote pióro Konrada, a Konradowi na tym piórze bardzo zależy. No i jeden z notatników Evana, 10 którym są bardzo ważne zapiski. Powiedzcie mu też, że jesteście tym bardziej niespokojni, że wspominałem, jakoby ktoś czyhał na moje życie.

- Czy jesteś pewny, że to wystarczy, żeby go tutaj sprowadzić? - zastanawiał się Evan.

Gdybyś był mordercą i wiedział, że twoja ofiara ma przy sobie papier i pióro, to czy nie bałbyś się, że napisze, kogo podejrzewa?

- Chyba tak. *No i słusznie.*

Konrad runął ciężko na fotel i w zamyśleniu kiwał głową.

- Ale co dalej, drogi chłopcze?

Wieczorem zadzwońcie do Quentina van Hurena. Powiedzcie mu, gdzie i w jakim stanie znaleźliście mnie. Możecie mu przeczytać, co napisałem. Powiedzcie mu, że chcemy zastawić pułapkę na Dana i żeby zawiadomił policję. Już on będzie wiedział, jak to zrobić.

- Zgoda. Zgoda. - Evan z właściwą mu energią zerwał się z fotela i zebrawszy zarówno moje, jak swoje notatki, pobiegł do głównego budynku, żeby telefonować.

Konrad zapalił cygaro głównie chyba po to, żeby jego zapachem przytłumić gorszy smród.

- Evanowi zawdzięczasz swój ratunek, drogi chłopcze - odezwał się po pewnym czasie. - Dostał zupełnego kręčka. Znasz go i wiesz, jak on się czepia jednej myśli. Wjeżdżaliśmy w najmniejsze dróżki i trakty. Byłem wściekły, bo uważałem, że to zupełnie nie ma sensu... no, ale znaleźliśmy cię.

- Kto - odezwałem się z wysiłkiem - kto mówił Danowi o tej scenie z naszego filmu?

Konrad wzruszył ramionami. Było widoczne, że jest mu przykro.

- Może i ja. Chyba wtedy w Germiston. Wszyscy wypytywali mnie o twój nowy film... wiesz, ci van Hurenowie, Clifford Wenkins, Dan...

Nieważne, pomyślałem. Wenkins zapewne i tak widział film, bo zajmował się w końcu jego reklamą.

- Drogi chłopcze - powiedział po dłuższej pauzie Konrad. - Doszedłem do wniosku, że twój makijaż w filmie jest zupełnie chybiony. Chociaż - dodał, wypuszczając kłęb dymu z cygara - nie powiedziałbym, że wyglądasz w tej chwili pociągająco.

- Dziękuję ci.

- Napijesz się jeszcze zupy?

Evana nie było przez dłuższy czas, wreszcie powrócił bardzo zamyślony.

- Van Huren prosił, żebym zadzwonił trochę później. Był tak zdenerwowany, że mówił prawie od rzeczy. Powiedział tylko, że zastanowi się, co robić. No i jeszcze jedno. Kazał cię zapytać, na jakiej podstawie twierdzisz, że Wenkins był pomocnikiem Dana.

- Wenkins... - zacząłem, ale Evan przerwał mi:

- Pisz - powiedział niecierpliwie. - Skrzeczysz, jak zachrypnięta wrona.

Wenkins zrobiłby wszystko dla reklamy. Zgodził się nawet podstawić uszkodzony mikrofon. Na pewno w przekonaniu, że nikomu nie stanie się nic złego. Liczył na to, że zostanie lekko porażony prądem, że trafi to do gazet, a przy okazji fakt i cel mojego przyjazdu. Jestem pewny, że pomysł wyszedł od Dana. Ale kiedy Katia o mało nie umarła, Wenkins przestraszył się. Widziałem go zaraz potem przy telefonie. Trząśł się na całym ciele. Myślałem, że dzwoni do swojego biura, ale teraz wiem, że rozmawiał z Danem, żeby go zawiadomić o tym, co się stało.

- Z punktu widzenia firmy Worldic, wszystko udało się aż nadspodziewanie dobrze, drogi chłopcze - uśmiechnął się Konrad.

Dyrekcja niemiłosiernie naciskała na Wenkinsa, żeby rozpętał kampanię reklamową wokół mojej osoby, więc sądzę, że kiedy Dan zaproponował mi, że mnie porwie i zamknie w samochodzie tak samo jak w moim filmie, to ten dureń z miejsca się zgodził.

Na trzeci dzień po porwaniu uznałem jednak, że Wenkins nie mógł brać udziału w tej historii, bo na pewno zostałbym już w cudowny sposób uratowany. I dopiero kiedy się dowiedziałem, że Wenkins nie żyje, zrozumiałem, że teraz już tylko Dan wie, gdzie jestem. Nie musiał już nic robić. Odwrotnie, wystarczyło, żeby nic nie robił...

Po znalezieniu moich zwłok policja doszła do wniosku, że Wenkins zaplanował całą tą aferę jako kampanię reklamową i to, oczywiście, w porozumieniu ze mną, a potem miał wypadek, utonął i nie mógł już, rzecz jasna, zorganizować zaplanowanej ekspedycji ratunkowej.

Przypuszczam, że obaj wywieźli mnie samochodem Wenkinsa, tak żeby strażnicy przy bramie w Numbi jego mieli w rejestrze.

Evan niemalże wydarł mi notatnik z rąk. Kiedy pisałem, krążył po pokoju jak oszalały.

- Czy zdajesz sobie sprawę - krzyknął wreszcie - że oskarżasz Dana o zamordowanie Wenkinsa po to tylko, żeby nie można cię było znaleźć?

Skinąłem głową.

- Jestem pewny, że to on go zamordował - zaskrzeczałem. - Za cenę kopalni złota.

*

Zostawili mi pod ręką wodę i zupę, a sami poszli na kolację do restauracji. Kiedy powrócili, okazało się, że Evan powtórnie rozmawiał z van Hurenem przez telefon.

- Już był trochę przytomniejszy - oświadczył z lekką pogardą w głosie. - Przeczytałem mu, co napisałeś o Wenkinsie. Powiedział, że chyba masz rację, że przykro mu z powodu Dana, bo go zdążył polubić, ale że zrobi wszystko, co sugerujesz. Przyleci do Skukuzy jutro

wczesnym ranem. Policja będzie już o wszystkim uprzedzona. Konrad i ja pojedziemy do Skukuzy i jeżeli się okaże, że Dan połknął haczyk, przyjedziemy bezpośrednio na miejsce.

- Postanowiliśmy zadzwonić do Dana nazajutrz rano. Nawet gdyby przyleciał tu najbliższym lotem, zdążymy zrobić wszystko, co do nas należy.

*

Noc była rajem w porównaniu z poprzednimi nocami, chociaż nie czułem się jeszcze zupełnie dobrze. Kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że nie mam już kurczów mięśni i że gardło boli mnie znacznie mniej. O własnych siłach, ale zgięty wpół jak stuletni starzec, poczłapałem do ubikacji. Konrad przyniósł mi banana na śniadanie. Zjadłem go bez większych trudności.

Evan był przy telefonie i dzwonił do Dana. Po chwili zjawił się w drzwiach z uśmiechem zadowolenia na ustach.

- Zastąłem go - oświadczył. - No i powiem wam, że połknął haczyk. Jest bardzo speszony... jąka się i tak dalej. Zapytał mnie, czy na pewno wiem, że masz przy sobie złote pióro Konrada. Powiedziałem mu, że tak, bo Konrad pożyczył ci je w czwartek wieczorem, a sam widziałem, jak wsuwał je do kieszeni. A w piątek rano odjechałeś do Johannesburga i zapomniałeś je oddać.

Rozdział siedemnasty

Największy wysiłek, jaki zrobiłem w życiu, to był chyba ten powrót do samochodu.

Zajechaliśmy na miejsce o dziesiątej trzydzieści. Evan i Konrad zaczęli się natychmiast krzątać. Zainstalowali nawet urządzenie alarmowe, które miało dać sygnał w chwili, kiedy samochód Dana zacznie się zbliżać.

Po upływie pół godziny skończyli wszystkie przygotowania. Zaczęło się robić diablo gorąco. Wypiłem butelkę wody i zjadłem jeszcze jednego banana.

Evan niecierpliwił się i przestępował z nogi na nogę.

- Jazda, spiesz się! Nie mamy czasu. Musimy wracać do Skukuzy po van Hurena.

Wyszedłem z furgonetki, przekuśtykałem do samochodu, wsunąłem się na przednie siedzenie i zacisnąłem pasy.

Natychmiast poczułem straszliwy skurcz mięśni.

Konrad podszedł do mnie trzymając kajdanki. Serce we mnie zamarło. Nie mogłem na niego patrzeć. Nie mogłem patrzeć na Evana... Nie chciałem nikogo widzieć, nic wiedzieć. Wszystkie moje nerwy, całe moje ciało buntowało się przeciwko tej torturze.

Nie chcę. Nie mogę. Nie zniosę tego.

- Może dałbyś sobie spokój, Link? - odezwał się Konrad. - To jest twój własny pomysł i nikt cię do tego nie zmusza, drogi chłopcze. Możesz się wycofać. On i tak się tu zjawi, czy będziesz siedział w tym samochodzie, czy nie.

- Nie denerwuj go - wściekał się Evan. - Zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby wszystko zorganizować. A Link sam powiedział, że jeżeli nie będzie go w tym samochodzie, kiedy zjawi się Dan, to trudno będzie temu bydlakowi cokolwiek udowodnić.

Konrad jednakże wahał się.

- No jazda! Kończ już z tym - zażądał Evan. Konrad założył kajdanki najpierw na jeden przegub, potem na drugi. Zadrzałem na całym ciele.

- Drogi chłopcze... - zaczął znów Konrad.

- No jazda! - przynaglał go Evan.

Nie mogłem z siebie wydobyć słowa. Wiedziałem, że jeżeli otworzę usta, to wrzasnę, żeby nie odjeżdżali, żeby mnie nie zostawiali samego. A przecież sam uważałem, że to musi być zrobione.

Evan zatrzasnął brutalnie drzwiczki i ruchem głowy kazał Konradowi wsiąść do furgonetki. Konrad szedł oglądając się za siebie, jak gdyby się spodziewał, że w ostatniej chwili go przywołam.

Wsunęli się do furgonetki. Evan ruszył, dał do tyłu, odjechał i znowu zamknęła się wokół mnie cisza spalonego tropikalnym słońcem rezerwatu.

Natychmiast pożałowałem swojej decyzji. Wnętrze wozu wydawało się gorętsze niż przedtem, upał bardziej nieznośny. Mimo że wypilem dużo wody, już po godzinie zaczęło mnie nękać pragnienie.

Powróciły skurcze mięśni nóg, ból w krzyżu i ramionach.

Przeklinałem samego siebie.

- A jeżeli to potrwa do wieczora? A jeżeli Dan postanowił nie lecieć, ale przyjedzie samochodem? Evan rozmawiał z nim o ósmej. Do Numbi jedzie się co najmniej pięć godzin, a stamtąd jeszcze dobre półtorej godziny... Najwcześniej zjawi się wtedy o trzeciej, czwartej... a to oznacza dobre pięć godzin czekania...

Znowu wsunąłem dłonie w rękawy koszuli i odchyliłem głowę w tył.

Tym razem nie miałem nawet woreczka z folii. Zapisane ołówkiem kartki leżały na moich kolanach, a na nich spoczywało złote pióro Konrada. W głowie miałem chaos, gubiłem się w domysłach, ogarniała mnie to rozpacz, to nadzieja i tak jakoś mijał czas. Bardzo, bardzo powoli.

Każda minuta wlokła się w nieskończoność.

Jutro wieczorem, myślałem, ma się odbyć premiera. Zastanawiałem się nad tym, kto zajmie się jej organizacją, skoro nieszczęsny Clifford Wenkins już nie żyje. Ale czy uda mi się przybyć dokładnie za 24 godziny do hotelu Klipspringer Heights? Muszę się przedtem ogolić, wykąpać, przebrać, a przede wszystkim odpocząć, zjeść coś i wypić. Ludzie zapłacili po dwadzieścia randów za bilety. Byłoby to naprawdę świństwo z mojej strony, gdybym się nie zjawił... ale czy będzie to możliwe?...

*

Czas dłużył się bezlitośnie. Spojrzałem na zegarek.

Była pierwsza. Trochę po pierwszej.

Konrad zainstalował mi nadajnik radiowy i zażądał, że gdybym poczuł, że dłużej tego nie zniosę, żebym nacisnął guziczek, a on i Evan natychmiast przybiegną z pomocą. Ale wtedy prawie na pewno spłoszę Dana.

Żałowałem, że Konrad założył mi tę instalację. Evan przekonał mnie, że jest niezbędna, bo dzięki niej policja i van Huren otrzymają sygnał o przybyciu Dana Casayeya, w razie gdyby rozminęli się z nim w drodze.

Jedno naciśnięcie guzika miało oznaczać, że się zjawił.

Dwa, że odjechał.

A kilka następujących po sobie sygnałów miało ich sprowadzić szybko na miejsce.

*

Poczekam jeszcze dziesięć minut, postanowiłem, a potem dam za wygraną. Jeszcze dziesięć. I jeszcze dziesięć.

Dziesięć minut można zawsze wytrzymać.

A potem usłyszałem ostrzegawczy dźwięk brzęczyka Konrada i zmobilizowałem się.

*

Dan podjechał i zatrzymał się w tym samym miejscu, w którym wczoraj stała furgonetka. Nacisnąłem jeden raz guzik.

Użyłem całego swojego kunsztu aktorskiego i zacząłem grać umierającego człowieka. Nie musiałem się specjalnie wysilać. Dwa sępy siedziały od pewnego czasu na pobliskim drzewie. Wyglądały jak spiskujący anarchiści. Spojrzałem na nie ze zgrozą, ale Dan był wyraźnie zadowolony.

Otworzył drzwiczki mojego samochodu i automatycznie cofnął się przed falą gorąca i smrodu. Warto było nie umyć się, nie przebrać się. Wszystko wskazywało na to, że siedzę tu od chwili, kiedy mnie opuścił. Absolutnie nic temu nie przeczyło.

Spojrzał na moje obrzękłe nogi, zwiotczałe ręce i mętne oczy. Słońce padało na jego złote loki, otaczając jego głowę czymś w rodzaju aureoli. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Piękny chłopiec, wzór młodzieńczej amerykańskiej urody, gładki, bezlitosny i zimny jak lód.

Nachylił się i niemalże porwał leżące na moich kolanach papiery, wziął pióro, rzucił je na tylne siedzenie i przeczytał moje bazgroty... od początku do końca.

- A więc domyśliłeś się... i wszystko spisałeś... - powiedział. - Ed Lincoln, cwaniak z ciebie. Szkoda, że nikt tego nie przeczyta.

Zajrzał w moje półprzymknięte oczy, żeby się przekonać, czy jestem przytomny, czy reaguję na jego słowa. Potem wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalił kartki z moimi zapiskami. Poruszyłem się słabo w siedzeniu na znak protestu. Spodobało mu się to. Uśmiechnął się.

Kiedy papier spłonął, rzucił go na ziemię i wgniół obcasem w suchą trawę.

- No i po wszystkim - powiedział wesoło. Wydałem z siebie słaby jęk. Nie zwrócił na to uwagi.

- Puść... mnie...

- Mowy nie ma.

Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy.

- To są klucze od samochodu. A ten od kajdanków. - Pomachał nimi przed moimi oczami.

- Proszę cię...

- Nie, bracie, twoja śmierć to dla mnie gruba forsa. Przykro mi, to fakt, ale tak już jest.

Wsunął klucze z powrotem do kieszeni, zatrzasnął drzwiczki swojego wozu i odjechał.

*

Biedna Nerissa, pomyślałem, mam nadzieję, że umrze, zanim dowie się, jakiego ma bratanka. Ale los zazwyczaj nie jest tak łaskawy.

*

Niedługo potem zobaczyłem w lusterku odbicie czterech samochodów. Zatrzymały się opodal. Była to furgonetka Evana i Konrada, samochód van Hurena z kierowcą i dwa wozy policyjne. W pierwszym, jak się później dowiedziałem, znajdował się fotograf i lekarz, a w drugim trzech policjantów i... Dan Cavesey.

Wysiedli i stanęli przy samochodach. Wspaniały posiłek dla zgłodniałej lwiej rodziny, gdyby taka przypadkowo tędy przechodziła. Dzięki bestie trzymały się jednak w dyskretnej odległości od ludzi. Może wiedziały, że Dan pobił wszystkie rekordy bestialstwa.

Konrad podbiegł i otworzył moje drzwiczki.

- W porządku, drogi chłopcze? - zapytał. Skinąłem potakująco głową.

Dan mówił bardzo głośno i bardzo stanowczym tonem:

- Przecież wam mówię, że znalazłem go przypadkowo i że właśnie jechałem, żeby sprowadzić pomoc.

- Akurat - wymamrotał Konrad i zaczął majstrować przy kajdankach swoimi drutami.

- On ma klucz od kajdanków w kieszeni - powiedziałem.

- To nie do wiary - powiedział Konrad, ale widać uwierzył, bo podszedł do policjantów, powiedział coś szeptem i po krótkiej utarczce z upartym Danem znalazły się przy nim klucze, zarówno od kajdanków, jak i od samochodu. - Więc może pan Cavesey zechce teraz wytłumaczyć, dlaczego się stąd oddalał, skoro miał w kieszeni klucze od kajdanków i mógł uwolnić pana Lincolna?

Pan Cavesey milczał i patrzył na policjantów spode łba.

- Jechałem po pomoc - powtórzył po chwili.

Evan, który bawił się wprost cudownie, podszedł do drzewa, które kilka dni temu przewrócił słoń, i wyciągnął zza gałęzi umieszczonego na statywie Arriflexa.

- Wszystko, co się tu dziś działo - oświadczył - zostało sfilmowane. Przeprowadziliśmy kabel do samochodu. Wystarczyło nacisnąć guzik, by kamera zaczęła działać. Zrobił to Link w momencie, kiedy nadjechałeś.

Konrad wyciągnął spod samochodu magnetofon i odpiął mikrofon od wewnętrznej framugi drzwiczek.

- A wszystko, co mówiłeś, zostało zarejestrowane na taśmie - oznajmił z satysfakcją.

Policjanci założyli Danowi inne kajdanki. Złoty chłopiec był teraz szary jak płótno.

Quentin van Huren podszedł i spojrzał na mnie. Jeszcze mi nie zdjęto kajdanków, więc siedziałem uwiązany i bezradny jak przez tyle dni.

- Wielki Boże! - krzyknął van Huren - co za tragedia!

Uśmiechnąłem się krzywo i potrząsnąłem głową.

- Złoto jest przyczyną największej tragedii, - powiedziałem ochryple i trochę się zawstydzilem.

Van Huren poruszał ustami, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Był naprawdę wstrząśnięty.

Złoto, ludzka zachłanność i chciwość... fatalna mieszanka.

Evan krzątał się z miną ważnego organizatora. Wyglądał na zadowolonego, zupełnie tak, jak gdyby to on napisał scenariusz i sam wyreżyserował tę całą dziwną historię. Nagle

zorientował się, że nikt mnie nie rozkuł ani nie odpiął mi pasów i zrobiło mu się przykro. Podeszedł więc do mnie z kluczykiem od kajdanków w ręku i na chwilę przystanął obok van Hurena.

Patrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdyby zobaczył zupełnie nowe i niespodziewane zjawisko. A potem, po raz pierwszy od czasu, kiedyśmy się poznali, uśmiechnął się do mnie naprawdę przyjaźnie.

- Stop - powiedział. - Dzisiaj dubli nie będzie.